

A

Przygody kapitana Alatryste

Arturo  
PÉREZ-REVERTE



Kapitan Alatryste

ARTURO PÉREZ-REVERTE

KAPITAN ALATRISTE

(LAS AVENTURAS DEL CAPITÁN ALATRISTE,)

(T.1. CAPITÁN ALATRISTE)

Przełożył: Filip Łobodziński



Wydawnictwo: MUZA 2004

# SPIS TREŚCI

KARTA TYTUŁOWA

MOTTO

I. GOSPODA POD TURKIEM

II. LUDZIE W MASKACH

III. MAŁA DAMA

IV. ZASADZKA

V. DWAJ ANGLICY

VI. SZTUKA POZYSKIWANIA WROGÓW

VII. PARADA ULICZNA

VIII. BRAMA DUCHÓW

IX. NA SCHODACH POD ŚWIĘTYM FILIPEM

X. NA PODWÓRCU PRINCIPE

XI. PIECZĘĆ I LIST

EPILOG

*Wiedźcie bowiem: był tam z nami,  
Walecznymi żołnierzami,  
Z głęboką raną kapitan,  
A śmierć wielkimi krokami  
Szła, by o niego zapytać.  
Nie ma go już między nami!*

*Eduardo Marquina,  
We Flandrii już zapadł zmierzch*



## I. GOSPODA POD TURKIEM



ie grzeszył ni uczciwością, ni pobożnością, lecz jako żywo był człkiem odważnym. Zwał się Diego Alatristory Tenorio i swoje przewojował w barwach regimentu piechoty podczas kampanii flamandzkich. Gdym go poznał, wiódł w Madrycie marny żywot i najmował się za grosze do mało chwalebnych zajęć, nierzadko pojedynkując się w imieniu każdego, komu kunsztu bądź odwagi nie stawało, by samemu załatwić swoje porachunki. A to, drodzy waszmościowie, rogi jakiemuś mężowi przyprawione, a to waśń lub też niejasno wyłożony testament, a to dług spleacony w części jedynie i jeszcze inne pomniejsze sprawki. Dzisiaj łatwo piętnować taki proceder, ale w owych czasach stolica Hiszpanii była miejscem, gdzie człowieczy los rozstrzygał się w błysku stali w lada zaułku i zależał częstokroć od szybkiego uniku. A w takich momentach Diego Alatristory wysmienie radę sobie dawał. Gdy dobywał rapiera, znać było mistrza, na dodatek jego lewica kryła wąski i długi sztylet, zwany przez niektórych lewakiem, którym zawodowe zabijaki nieraz się podówczas posługiwały, on zaś władał nim jak się patrzy. Jak mawiano, i z góry, i z mańki. Przeciwnik, bywało, uwijał się właśnie przy zadawaniu i parowaniu

wykwintnych sztychów, a tu znienacka, od spodu, prosto w wątpia dochodziło go krótkie pchnięcie niby grom z jasnego nieba i czasu już nie miał nawet, by księdza wołać. Taaak. Mówiłem waszmościom, że czasy nie były łaskawe.

Kapitan Alatryste wszelako potrafił rapierem na życie zapracować. Jak sięgam pamięcią, owo „kapitan” było nie tyle faktyczną szarżą, ile raczej przydomkiem. Tytuł ów pochodził z dawnych czasów: oto walcząc jako żołnierz pod królewskim sztandarem, musiał Alatryste pewnej nocy sforsować lodowato zimną rzekę wraz z dwudziestoma dziewięcioma towarzyszami i prawdziwym kapitanem, miarkujecie waszmościowie, wiwat Hiszpania i tak dalej, z rapierami w zębach i w samych koszulach, by od śnieżnej połaci się nie odróżniać. A wszystko to w celu zaskoczenia oddziału Holendrów, oni to bowiem byli podówczas naszymi wrogami, iż niezawisłość pragnęli ogłosić, jakby nigdy nic. Owóz na koniec udało im się, ale nim się wybili, mocno im skórę przetrzepaliśmy. Wracając do kapitana – zamysł był taki, iżby zatrzymać się na owym brzegu czy też grobli, czy bies jeden wie, co to było, i czekać, aż świt nastanie, kiedy to główne siły królewskie do ataku ruszą, a wtedy oddział miał się do nich przyłączyć. Koniec końców, schizmatyków dosięgła sprawiedliwa kara w postaci śmiertelnego żelaza, ani pisnąć nie zdołali. Spali jak susły, gdy nasi, z wody wyszedłszy, ziąbem skuci, ogrzali się natychmiast, posyłając heretyków do piekieł czy gdzie tam lutrów po śmierci przyjmują. Nieszczęsnym trafem świt nadszedł, za nim jasny poranek, a tymczasem hiszpański atak nie nadchodził. Jak powiadano potem, do fermentów pomiędzy marszałkami polnymi a generałami doszło było. Stało się przeto, że naszych trzydziestu jeden mężów pozostawiono ich własnemu losowi, klnących na czym świat stoi i w żywe kamienie, a wokół już roić się poczęło od Holendrów nad wyraz chętnych rzeź kamratów pomścić.

Znaleźli się w opałach większych niżli Niezwyciężona Armada pocziwego króla Filipa Drugiego. Długi to był dzień i ciężki nadzwyczaj. I wystawcie sobie waszmościowie – dwóch tylko Hiszpanów na drugi brzeg dotrzeć zdołało, nim noc zapadła. Jednym z nich był Diego Alatryste, a jako że dzień cały ludźmi dowodził (prawdziwy kapitan już w pierwszej potyczce padł i ducha wyzionął za sprawą stali, która na dwie piędzi z pleców mu wystawała), toteż i przewisko mu zostało, choć nigdy nie zdołał dochrapać się odpowiedniej pozycji. Był kapitanem przez jeden dzionek, mając pod swymi rozkazami oddział ludzi skazanych na śmierć. Drogo skórę swą sprzedali, jeden po drugim, mając rzekę za plecami i złorzecząc najczystszą żołnierską łaciną. Ot, wojenne zawieruchy. Ot, hiszpański los.

Ale, ale. Drugim żołnierzem ocalałym owej nocy był mój ojciec. Zwał się Lope Balboa, pochodził z prowincji baskijskiej Guipuzcoa i również do tchórzy nie należał. Wieść niesie, że on i Diego Alatryste byli wielkimi przyjaciółmi, braćmi nieomal. Musi w tym być ziarno prawdy, jako że później, gdy mój ojciec padł od kuli arkebuza na murach bastionu Julich (to dlatego Diego Velazquez nie uwiecznił go potem na obrazie wyobrażającym poddanie Bredy, kontentując się tylko swym przyjacielem i imiennikiem Alatryste, którego owszem, namalował, widnieje tam zaraz za jednym koniem), kapitan przysiągł mu, że weźmie mnie, podówczas wciąż jeszcze młode pacholę, pod swą opiekę, gdy nieco podrosnę. Otóż i przyczyna, dla której, gdym trzynaście lat ukończył, moja matka zapakowała do tobołka koszulę, gatki, różaniec i skibę chleba i posłała mnie, bym zamieszkał u kapitana, korzystając z tego, że pewien jej kuzyn akurat do Madrytu się wybierał. Tak to począłem pełnić powinności po trosze sługi, po trosze pazia u przyjaciela ojca mego.

Wyznam coś teraz: śmiem wątpić, czy znając dobrze naturę kapitana, macierz moja tak łącno skierowałaby mnie doń na służbę. Mniemam

wszelako, że choć tytuł kapitański był zgoła fałszywy, przydawał mu jednak zaszczytnego poloru. Poza tym moja biedna matka słabowała, a miała jeszcze dwie siostry moje do wyżywienia, wołała przeto pozbyć się kolejnej gęby znad garnka, dając mi przy tym okazję szukania szczęścia bliżej Dworu. Wyekspediowała mnie oto więc ze swym kuzynem, o bliższe szczegóły się nie wypytujac, wyposażyła tylko w pokaźny list sporządzony przez proboszcza z naszej wsi, w którym przypominała Diegowi Alatryste o jego zobowiązaniach i o przyjaźni, jaka łączyła go była z moim nieboszczykiem ojcem. Pamiętam, że gdym wstąpił na służbę, kapitan właśnie dopiero co wrócił był z Flandrii, jako że paskudna rana w boku, jaką otrzymał pod Fleurus, świeżą jeszcze była i moc bólów mu dostarczała. Ja zaś, ledwo co przybywszy, leżąc nieśmiały i wystraszony jak myszka na sienniku, nocami wsłuchiwałem się w jego kroki, gdy chodził po swej izbie w tę i z powrotem, nie mogąc zasnąć. Chwilami słyszałem, jak cichutko nuci przerywane napadami bólu strofy, jak mówi wiersze Lopego, jak rzuca na głos przekleństwo albo skierowaną do siebie samego uwagę, pełną na poły rezygnacji, na poły ubawienia. Taki właśnie był kapitan: wszelakie zło i przeciwność losu przyjmował jako nieuniknioną krotochwilę, płataną mu coraz to przez jakiegoś żadnego rozrywki starego, przewrotnego druha. Może stąd brało się jego osobliwe poczucie humoru, cierpkie, sarkastyczne i gorzkie.

Od owego czasu wiele lat upłynęło i daty trochę mi się we łbie mieszają. Historia jednak, którą sposobie się waszmościom opowiedzieć, musiała wydarzyć się w tysiąc sześćset dwudziestym którymś roku, mylić się tu grubo nie mogę. Była to przygoda, której bohaterami stali się dwaj zamaskowani mężczyźni i dwaj Anglicy, przygoda, która wiele języków poruszyła na Dworze, przygoda wreszcie, w której kapitan nie tylko omal nie postradał życia ocalonego szczęśliwie spod szabel flamandzkich,



tureckich i z rąk berberyjskich korsarzy, ale też pozyskał paru zawziętych wrogów, którzy zapalali doń dozgonną nienawiścią. Myślę tu o sekretarzu królewskim Luisie de Alquezar i jego złowrogim opryszku, milczącym, niebezpiecznym włoskim zabijace, zwanym Gualterio Malatesta. Człek ów tak nawykł zabijać innych ciosem w plecy, że gdy tylko zdarzało mu się przypadkiem uczynić to twarzą w twarz, chodził zwarzony, sądząc, że oto traci swe talenta. I był to również rok, w którym zakochałem się bez pamięci jak szczenię w Angelice de Alquezar, Złu doskonałym, które przewrotność i niegodziwość skryło pod postacią prześlicznego jasnowłosego dziewczęcia lat jedenastu, może dwunastu. Ale opowiedzmy rzecz całą po kolei.

Imię moje: Inigo. I właśnie to imię było pierwszym słowem, jakie kapitan Alatryste wymówił owego ranka, gdy wypuszczono go ze starego więzienia dworskiego, gdzie spędził był trzy tygodnie na królewskim wikcie za niespłacone długi. Ów „wikt” to krasomówcze nadużycie, w tamtej epoce bowiem zarówno w tym, jak i w innych więzieniach jedyne dostatki, na jakie mogli liczyć osadzeni – a do dostatków zaliczała się także strawa – sprowadzały się do tego, za co każdy z nich mógł zapłacić z własnego mieszka. Szczęśliwie kapitan trafił wprawdzie w kazamaty bez grosza zgoła, przyjaciół miał wszakże niemało. I tak to ci, to tamci przychodzili mu w sukurs, gdy za kratami bawił, mniej dokuczliwymi dzięki zupom, które Caridad Cyganicha, karczmarka z Gospody Pod Turkiem, posyłała mu przeze mnie co dni parę, a także dzięki paru poczwórnym realom, które dostawał za sprawą kompanów – Francisca de Quevedo, Juana Vicuñi i jeszcze kilku innych. Względem zaś spraw pozostałych, co mówiąc, mam na myśli udręki samego zamknięcia, kapitan jak nikt umiał stawiać im czoło. Szeroko wieść się w owym czasie niosła o więziennym obyczaju pozbawiania współtowarzyszy z celi już to

osobistego dobytku, już to przyodziewku, ba, butów nawet. Ale madrycka sława Diega Alatryste była jeszcze większa, a do kogo dotrzeć na czas nie zdołała, rychło sam się przekonywał, że lepiej jest podchodzić doń z najwyższą rozwagą. Jakem później się dowiedział, gdy tylko zjawił się był w przybytku, z miejsca poszedł ku najbardziej niebezpiecznemu fanfaronowi pomiędzy skazańcami i pozdrowiłszy go z największą galanterią, przystawił mu do gardzieli krótki nóż rzeźnicki, który zdołał był przemycić, wzbogacając strażnika o kilka marawedi. Metoda okazała się błogosławiona. Po wprowadzeniu nowych zasad z taką zadzierzystością nikt już nie śmiał zaczepiać kapitana, który odtąd mógł spokojnie spać owinięty w płaszcz w jako tako czystym kącie celi, opromieniony famą człowieka z fantazją. Szczodroblliwość, z jaką następnie dzielił się zupami od Cyganichy i flaszki wina, zakupionymi (z pomocą usłużnych przyjaciół) u naczelnika więzienia, zaskarbiły mu bezwzględną lojalność współtowarzyszy niedoli, z dotychczasowym hersztem włącznie – był to kordobańczyk o haniebnym nazwisku Bartolo Cupamagna, który wprawdzie w pamięci ludowej zdołał się już być zapisać jako człek, któremu niestraszne żadne galery ni Boże potępienie, a jednak urazy nijakiej do kapitana nie czuł. Otóż i kolejna cnota Diega Alatryste: przyjaciół potrafił znaleźć choćby w piekle.

Wierzcie lub nie wierzcie: wprawdzie nie pamiętam dobrze, który to rok stulecia był – dwudziesty drugi, trzeci może – ale głowę daję, że kapitan opuścił więzienne mury o poranku takim, jaki często bywa w Madrycie o tej porze: niebo skąpane w rozświetlonym błękicie, a powietrze chłodne, że dech zapiera. Od owego dnia, który (żaden z nas jeszcze tego nie przeczuwał) tak bardzo miał odmienić nasze życie, upłynęło już mnóstwo czasu i wody w rzece Manzanares. Do dziś jednak przed oczyma staje mi jak żywy Diego Alatryste, chudy i nieogolony, na progu ciężkich drzwi z

czarnego drewna, które z trzaskiem zamykają się za jego plecami. Doskonale pamiętam, jak zamrugał powiekami w oślepiającym świetle ulicy, pamiętam jego gruby wąs, skrywający górną wargę, jego smukłą sylwetkę spowitą w płaszcz i kapelusz z szerokim rondem, w którego cieniu iskrzyło się dwoje jasnych, zmrużonych teraz oczu, które zdały się uśmiechać, widząc, że siedzę na placu na ławeczce. W spojrzeniu kapitana było coś szczególnego: z jednej strony było bardzo jasne i bardzo chłodne, modre na podobieństwo porannych kałuż zimowych, z drugiej wszakże ów chłód mógł raptem ustąpić w ciepłe przyjaznego uśmiechu jak tafła lodu, która topnieje pod nagłym naporem gorąca, choć oblicze kapitana pozostawało bez wyrazu, pełne powagi lub też surowości. Miał też w zanadrzu jeszcze jeden, bardziej niepokojący uśmiech, który zostawiał na chwile niebezpieczeństwa bądź smutku: był to grymas ledwo widoczny spod wąsów, lekkie skrzywienie ust w kierunku lewego kącika, grymas nieodmiennie groźny jak pchnięcie rapierem (które często po nim następowało) albo posepny jak zła wróżba, gdy towarzyszył szeregowi butelczyn wina, jakie zdarzało się kapitanowi spełniać w samotności w dniach, gdy ni słowem nie zwykł odzywać się do nikogo. Półtorej szklanicy jednym tchem i ten gest otarcia wąsów wierzchem dłoni, wzrok wtopiony w ścianę naprzeciw. Flaszki, które miały przepędzić upiory – tak mawiał, choć nigdy nie zdołał przepędzić ich na amen.

Uśmiech, jaki posłał mi owego ranka, gdym czekał na niego, należał do tej pierwszej kategorii: rozjaśniał mu oczy na przekór odwiecznej powadze oblicza i oschłości, z jaką tak skrupulatnie cedził słowa, choćby w głębi serca jej zgoła nie doświadczał. Spojrzał w górę i w dół ulicy, z widoczną ulgą przyjął nieobecność na widnokręgu kolejnego wierzyciela, zbliżył się do mnie, mimo chłodu zdjął płaszcz, zwinął w bezkształtny kłęb i wcisnął mi go w rękę.

– Inigo – odezwał się. – Wygotuj go. Aż roi się w nim od pluskiew.

Płaszcz cuchnął podobnie jak jego właściciel. Także i w przyodziewku mrowiły się insekta, jakby na najwykwintniejszy cymes zwołane. Nim jednak upłynęła godzina, kapitan wyglądał niemalże jak nowy, a to za sprawą wizyty w łaźni golibrody Mendo Toskańczyka. Ów człek w młodości wojował w Neapolu, a Diega Alatryste darzył głębokim szacunkiem i zaufaniem. Gdym przybiegł tam ze zmianą bielizny i jedyną szatą, jaką kapitan chował w naszej garderobie, czyli stoczonej przez korniki starej szafie, on stał już w drewnianej balii i wycierał ciało do sucha. Toskańczyk zdążył przez ten czas uczesać mu brodę i ciemne włosy. Krótkie, wilgotne i zaczesane do tyłu, z przedziałkiem pośrodku głowy, odsłaniały teraz szerokie kapitańskie czoło, spalone słońcem na więziennym dziedzińcu, i niewielką bliznę opadającą ku lewej brwi.



Właśnie skończył się wycierać i jął naciągać na siebie koszulę i gacie, ja tymczasem przypatrywałem się innym bliznom, tak mi już dobrze znanym. Jedna, w kształcie półksiężyca, pomiędzy pępkiem a prawą piersią. Inna, w formie długiego zygzaka, na udzie. Zadane były przez broń białą, rapier lub sztylet. W przeciwieństwie do tej czwartej, na plecach, o charakterystycznym rysunku gwiazdy, nieomylnie wskazującym na pocisk. Piąta szrama, fioletowy ślad na lewym boku, pochodziła z czasów

niedawnych, miała niewiele ponad rok: jeszcze do końca niezabliźniona, niekiedy otwierała się i ropiała nieco. To ona, pamiątka z bitwy pod Fleurus, zakłócała kapitanowi nocny spoczynek, wszelako tego dnia, gdy jej właściciel wychodził z balii, prezentowała się zgoła nie najgorzej.

Pomagałem mu, gdy tak odziewał się powoli i niedbale: ciemnoszary kaftan i tej samej barwy portki, zwane pludrami, zapięte na kolanach tuż nad wysokimi sznurowanymi butami, skrywającymi pocerowane pończochy. Natenczas opiął się w talii skórzanym pasem, który w czas nieobecności jego smarowałem skrupulatnie, i wsunął za niego rapier o wydatnych jelcach, którego głownię i gardę pokrywały ślady, wyszczerbienia i draśnięcia, świadectwa innych lat i innych kling. Był to rapier zacny, długi, ze złowrogiej toledańskiej stali; przy wsuwaniu i wysuwaniu z pochwy wydawał niekończący się metaliczny pisk, od którego skóra cierpła. Na koniec przejrzał się w wiszącym w izbie pokancerowanym lustrze i przywołał na twarz leciutki, znużony uśmiezek: – Klnę się na Boga – wycedził przez zęby – że chce mi się pić.

Co powiedziawszy, ruszył przodem po schodach na dół, następnie zaś ulicą Toledo prościutko do Gospody Pod Turkiem. Nie mając na sobie płaszcza, wybrał tę stronę, po której przygrzewało słońce, i kroczył z dumnie uniesioną głową w kapeluszu, który zdobiło sfatygowane czerwone pióro. Chwilami muskał dłonią szerokie rondo, pozdrawiając znajomą twarz, lub też uchylał go, widząc damy szczególnej konduity. Podążałem za nim zamyślony, popatrując na skaczących po ulicy małych huncwotów, na kramarki handlujące w podcieniach warzywami i na próżniaków, którzy wygrzewali się na słońcu pod kościołem Jezuitów, pogrążeni w gwarnej dyspucie. Aczkolwiek nigdy nie należał do nadzwyczaj naiwnych pacholąt, a miesiące, którym w okolicy już zdążył spędzić, zdołały mnie co nieco ociosać, to jednak wciąż wciągała mnie zwykła w tak młodym

wieku ciekawość, chłonałem przeto świat oczami pełnymi zadziwienia, pilnując, by ani jednego drobiazgu nie uronić. Wtedy posłyszałem za naszymi plecami zbliżający się odgłos kopyt dwóch mułów pociągowych i skrzypienie kół. Zrazu anim na to uwagi nie zwrócił, wozy i karoce stanowiły tu częsty widok, ulica ta bowiem służyła jako wygodny trakt, którym można się było dostać na plac Mayor i do Pałacu Królewskiego. Jednakże gdy powóz zrównał się z nami, uniosłem na chwilę wzrok, który napotkał wpierw drzwiczki bez herbu, a powyżej, w okienku, twarz dziewczynki, jasne loki i najbardziej błękitne, czyste i zniewalające oczy, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się podziwiać. Spojrzenie ich na moment skrzyżowało się z moim, po czym, uniesione pędem karocy, przepadło w głębi ulicy. Ja zaś zadrzałem, choć czemu – nie wiedziałem. Drżałbym wszakże jeszcze bardziej, gdybym wiedział, że właśnie zobaczyłem samego Diabła.

– Bić się nam przyjdzie – rzekł Francisco de Quevedo.

Na stole tłoczyły się puste butelki, a ilekroć mość Francisco folgował sobie z winem San Martin de Valdeiglesias – co zdarzało się wcale często – już był gotów wyciągać rapier i wadzić się choćby z samym Panem Bogiem. Z talentu poeta, był człkiem chromym i krótkowzrocznym, ale pyszałkowatym, kawalerem Zakonu Świętego Jakuba, a przy tym mężem wszetecznym, równie ciętym i szybkim w rapierze, co i w dowcipie. Na królewskim Dworze cieszył się zarówno dobrą sławą pierwszorzędnego poety, jak i sławą złą nieprzeciętnego raptusa. Tej ostatniej zawdzięczał niekiedy już to banicję, już to więzienną celę. Trzeba bowiem waszmościom wiedzieć, że choć nasz poczciwy król i pan Filip Czwarty oraz jego faworyt hrabia de Olivares, jak zresztą cały Madryt, rozsmakowywali się w jego celnych wierszach, to jednak absolutnie nie było im w smak, gdy sami stawali się ich bohaterami. Dlatego gdy światło

dziennie ujrzał jakiś anonimowy sonet lub też kwintylla, w których łącznie rozpoznać można było rękę naszego poety, zaraz strażnicy z pachołkami pojawiali się w drzwiach gospody, u niego w domu albo w jakim innym uczęszczanym przezeń miejscu publicznym, i z całym szacunkiem prosili go, by im towarzyszył, wskutek czego zniknął z oczu na kilka dni, względnie i miesięcy. A jako że mość Francisco należał do ludzi upartych i dumnych, co to nigdy gorzkich nauk do serc sobie nie biorą, perypetie owe spotykały go nader często, dodatkowego kwasu dolewając do i tak złej krwi poety. Wszelako był zarazem wyśmienitym kompanem biesiadnym, a i dla przyjaciół swych, do których zaliczał się kapitan Alatryste, druhem był niezastąpionym. Obydwaj chętnie odwiedzali Gospodę Pod Turkiem, gdzie nieodmiennie zasiadali w większym gronie wokół jednego z najlepszych stołów, jaki Caridad Cyganicha – ongiś dziwka, w owym czasie od czasu do czasu darząca swymi wdziękami kapitana, wszelako za darmo – zawsze dla nich ostawiała. Tego poranka kompanii mości Franciscowi i kapitanowi dotrzymywało stałe grono: licencjat Calzas, Juan Vicuña, Klecha Perez i Cyklop Fadrique, aptekarz z Puerta Cerrada.

– Bić się nam przyjdzie – powtórzył z naciskiem poeta.

Jak już nadmieniałem, animuszu dodawała mu pokaźna ilość wypitego Valdeiglesias. Powstał, przewracając przy tym taboret, położył dłoń na rękojeści rapiera i jął spojrzeniem miotać gromy w stronę dwóch nieznanych kawalerów zasiadających przy sąsiednim stole, których oręż i płaszcze zwisały z kołków na ścianie. Przybysze dopiero co głośno wychwalali naszego poetę za strofy, które w rzeczywistości wyszły spod pióra Luisa de Góngora, ten zaś był najbardziej znienawidzonym adwersarzem Queveda w całej poetyckiej Rzeczypospolitej. Pan Francisco po wielekroć nie omieszkał obrzucać go najgorszymi w swych ustach obelgami: zwał go sodomitą, psem i Żydem. Omyłka w dobrej wierze, w



każdym razie tak mogło się wydawać, jednakże przyjaciel mojego kapitana nie zamierzał puszczać tego płazem:

*Żebyś w me wiersze zębów wbić nie zdołał,  
W boczek je włożę, mości Gongorele...*

... jął improwizować, chwiejąc się i kurczowo zaciskając dłoń na rękojeści rapiera, a przybysze tymczasem nuże przeproszać, kapitan zaś i pozostali kompani przytrzymywali mości Francisca, ażeby broni nie dobywał i na tamtych dwóch nie ruszał.

– Toż to afront, do kroćset – dyszał poeta, usiłując wyswobodzić unieruchomioną przez przyjaciół prawicę, podczas gdy drugą ręką poprawiał sobie przekrzywione szkła na nosie. – Miotła żelazna wnet by tu zaprowadziła, hep, porządek.

– Strasznieś pan chętny do szastania żelazem od samego rana, mości Francisco – mitygował go roztropnie Diego Alatryste.

– I tak mniej, niżby trzeba – Quevedo pociągał wąsa z marsową miną, nie spuszczać oczu z tamtych. – Ale zgoda, bądźmy szczodrzy: po jednym okładzie żelaznym dla każdego z tych takich owakich, którzy pewnikiem, a wbrew prawdzie, szlachcicami się być mienią, tedy zaszlachtować by ich należało jak pokrewne im bydło.

Po tych ostrych słowach rozsierzzeni przybysze już sięgali po swoje rapier, gotowi wychodzić na zewnątrz. Kapitan zaś i reszta przyjaciół, nie widząc sposobu na uniknięcie potyczki, jeżeli błagać ich, by zważyli na nietrzeźwy stan poety i ustąpili pola, boć żadnej chwały nie przynosi bitka z człkiem napitym ani też hańby nijakiej, gdy się ostrożnie wycofasz, by większej biedy me napytać.

– *Bella gerant alii* – mruknął pojednawczo Klecha Perez.

Klecha Perez był jezuitą i pełnił posługi kapłańskie w pobliskim kościele Świętych Piotra i Pawła. Jego dobrotliwa natura i biegła łacina zazwyczaj kojąco wpływały na otoczenie, osobliwie że zawsze odzywał się tonem świadczącym o wielkim rozsądku. Wszelako tamtych dwóch łaciny nie rozumiało, a uwagi o szlachtowaniu bywała łatwo przełknąć nie zamierzali. Co więcej, mediacje klechy wniwecz obrócił swymi jawnymi kpinkami licencjat Calzas, szczwany, cyniczny i podstępny kauzyperda, zasiedziały w trybunałach, który w nieskończoność potrafił ciągnąć cudzą sprawę, aż ostatniego marawedi z sakiewki swego klienta wysupłał. Licencjat ubóstwiał zwady i nieraz już dopiekleł przypadkowym ludziom.

– Mości Francisco, nie sumitujże się – rzekł półgłosem. – Niechaj spłacają rachunki.

Goście gospody szykowali się zatem na widowisko, o jakim nazajutrz czytuje się w „Obwieszczeniach” i „Nowinach”. Kapitan Alatryste zaś, widząc, że próby uspokojenia przyjaciela spełzły na niczym, już był gotów wyjść na dwór i skrzyżować rapiery z przybyłymi, nie chciał bowiem pozostawić mości Francisca na ich pastwę.

– *Aio te mncere posse* – zakonkludował z rezygnacją Klecha Perez, a licencjat Calzas tymczasem skrywał uśmiezek, zanurzając nos w szklanicy wina. Kapitan westchnął głęboko i podniósł się od stołu. Mość Francisco zaś, który już zdołał wysunąć na cztery palce głownię swego rapiersa, rzucił mu pełne wdzięczności spojrzenie i miał jeszcze na tyle fantazji, by zadedykować mu dwuwiersz:

*W żyłach twych płynie cna krew Alatristów,  
A rapier twój ród blaskiem opromienia...*

– Nie pierdolże, mości Francisco – uciął rozeźlony kapitan. – Bijmy się, z kim bić się należy, ale nie pierdol.

– Oto słowa prawdziwego, hep, męża – odrzekł poeta, najwidoczniej kontent z zamieszania, jakie wywołał. Pozostali kompani zagrzewali go chórem do boju, poniechawszy wzorem Klechy Pereza prób koncyliacji. W głębi ducha każdy z nich już radował się na przedstawienie, bowiem Francisco de Quevedo, choćby i zalany, szermierzem był strasznym, a w parze z kapitanem Alatryste nie mógł pozostawić cienia wątpliwości co do wyniku potyczki. Wśród gości czyniono już zakłady, ile ciosów zgarnie w pierś każdy z przybyszów, nieświadomych, że stawki wskazują jednoznacznie na zwycięzców.

Zatem kapitan na stojąco wychylił łyk wina, popatrzył na tamtych, jakby prosząc o wybaczenie, że zabawa zaszła nieco za daleko, i ruchem głowy wskazał drzwi wyjściowe, nie chcąc niepokoić Caridad Cyganichy, która słusznie obawiała się o umeblowanie.

– Jesteśmy do waszmościów dyspozycji.

Tamci przypięli oręż i wszyscy ruszyli na dwór, odprowadzani podnieconymi spojrzeniami, starając się nie zwracać tyłem do przeciwników. Przykazał bowiem nasz Pan: oto bracia moi – ale o kuzynach nie wspominał. I tak kroczyli, klingi wciąż mając schowane, gdy ku rozczarowaniu zgromadzonych i uldze kapitana Alatryste w drzwiach ukazała się znajoma sylwetka porucznika straży, Martina Saldaña.

– I po balu – westchnął Francisco de Quevedo. Wzruszył ramionami, poprawił szkła, zerknął spoza nich z ukosa, powrócił do stołu, odkorkował kolejną butelczynę i zapomniał o wszystkim.

– Mam dla ciebie zadanie.

Dowódca straży Martin Saldaña był człkiem krzepkim i smagłym jak cegła. Nałożony na kaftan napierśnik ze skóry łosia, podbity od wewnątrz,

znakomicie zabezpieczał go przed ewentualnymi ciosami nożem. Uzbrojony w rapier, sztylet, nóż, pistolety i co tam jeszcze, porucznik miał na sobie więcej broni niż cała Biskaja. Walczył był w kampaniach flamandzkich, podobnie jak Diego Alatryste i mój nieboszczyk ojciec, w wielkiej przyjaźni przez długie lata doświadczali wspólnych doli i niedoli. Atoli fortuna łaskawszą się dlań okazała, mój rodziciel bowiem gryzł teraz heretycką ziemię, kapitan żył z tego, że najmował się jako szermierz, a tymczasem jakiś szwagier ochmistrz z Pałacu i pewna dojrzała, choć nadal ponętna niewiasta pomogli Saldańi zakwitnąć w Madrycie wkrótce po flamandzkich bojach, w okresie rozejmu, jaki zawarł był nieboszczyk pan nasz król Filip Trzeci z Holendrami. Co się tyczy owej niewiasty, to dowodów nie mam – zbyt młody byłem, by szczegóły należycie poznać – ale mawiano tu i ówdzie, że któryś alkad korzystał z wdzięków wspomnianej, co z kolei ponoć umożliwiło mianowanie jej męża rotmistrem straży, które to stanowisko odpowiadało rangą dowódcy oddziałów patrolujących madryckie dzielnice, zwane podówczas kwartałami. Jak tam było, tak tam było, nikt wszelako nie śmiał nigdy uczynić Martinowi Saldańi jakiegokolwiek uwagi na ten temat. Miał rogi czy też ich nie miał, co innego wszakże miał na pewno – serce odważne, a nerwy na wierzchu. Jako żołnierz okrył się sławą, skórę upstrzoną miał ranami jak ospą, a i szacunek umiał sobie zdobyć, czy to szablą toledańską, czy gołą pięścią. I jak na rotmistrza straży i na owe czasy, był człkiem honoru. Diega Alatryste cenił nad wyraz i ilekroć mógł, usługi wyświadczać mu się starał. Łączyła ich stara, żołnierska przyjaźń, szorstka, boć w surowych terminach wykuta, ale trzeźwa i szczerza.

– Zadanie – powtórzył kapitan. Wyszli właśnie na słońce, oparli się o mur, każdy ze swą szklanicą w dłoni, i popatrywali na przechodniów i powozy mknące ulicą Toledo. Saldańa zerknął na kapitana, poskubał swą

brodę obficie haftowaną srebrną, wojenną nicią. Nosił zarost gesty, a to, by skryć głęboką szramę, ciągnącą się od ust po prawe ucho.

– Kilka godzin temu wyszedłeś z więzienia i nie masz w sakiewce ani miedziaka – odezwał się. – Nie miną dwa dni, a przyjmiesz lada pracę, choćby eskortowanie jakiegoś galanta, by brat jego kochanki nie zakatrupił go gdzieś za rogiem, albo zgodzisz się naszpikować kogoś żelazem na zlecenie wierzyciela. Może zaczniesz wizytować domy uciech i szulernie, żeby zobaczyć, co się da wyiskać z przyjezdnych lub też z klechów, którzy przychodzą tam gwoli przeczyszczenia komina świętemu Eufrazemu... Niebawem wpadniesz w nowe tarapaty: cios poniżej pasa, burda, donos... I wracamy do punktu wyjścia – upił nieco wina, nie spuszczając z kapitana półprzymkniętych oczu. – Myślisz, że coś warte takie życie?

Diego Alatryste wzruszył ramionami:

– A masz coś lepszego?

Nie spuszczał otwartego spojrzenia ze swego dawnego towarzysza z Flandrii. Nie wszyscy mamy to szczęście, by mienić się rotmistrzami straży – można było wyczytać z jego miny. Saldaña podłubał paznokciem w zębach i dwukrotnie skinął głową. Obydwaj wiedzieli aż nadto dobrze, że to dziełem przypadku kapitan, a nie on sam znajduje się w pożałowania godnej sytuacji. Madryckie ulice i place pełne były starych wiarusów, pędzących lada jakie życie. Wszyscy mieli poprzyczepiane do pasów cylindry blaszane, ot, rurki, w których chowali pomięte listy polecające, petycje i bezużyteczne poręczenia, co na nikim nie robiły nijakiego wrażenia. Na wypadek, gdyby fortuna zechciała się do nich uśmiechnąć, co nie następowało nigdy.

– Właśnie dlatego przychodzę, Diego. Jest ktoś, kto cię potrzebuje.

– Mnie czy mojego rapiera?

Poruszył wąsem, co niekiedy pełniło rolę uśmiechu. Saldaña zarechotał w głos.

– Nedorzeczne pytanie – odparł. – Niektóre niewiasty budzą zainteresowanie dzięki swej gładkości, księża dzięki odpustom, starcy dzięki pieniądzom... A mężczyźni tacy jak ty czy jak ja dzięki swoim rapierom – tu zamilkł na moment, rozejrzał się w obydwie strony, pociągnął kolejny łyk wina i prawił dalej, ściszywszy nieco głos: – W grę wchodzi ludzie szlachetnego urodzenia. Czysta robota, ryzyko nie większe niż zazwyczaj... Za to szykują ci całkiem okazały mieszek.

Kapitan popatrzył z ciekawością na przyjaciela. Były chwile, gdy słowo „mieszek” zdolne było wyrwać go z najgłębszego snu albo odciągnąć od największego pijaństwa.

– Jak okazały?  
– Będzie z sześćdziesiąt eskudów. W poczwórnych dublonach.  
– Nie wygląda źle – źrenice jasnych oczu Diega Alatryste wyraźnie się zwężyły. – Trzeba będzie zabić?

Saldaña przybrał minę wymijającą, przelotnie zerkając w stronę wejścia do gospody.

– Niewykluczone, jednakże szczegóły nie są mi wiadome... I to mi się podoba, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Wiem jedynie, że chodzi o zasadzkę. Pełna dyskrecja, noc, oblicza zasłonięte i w ogóle. Ciach, ciach i po krzyku.

– Samemu czy z kimś innym?  
– Jak tuszę, jeszcze z kimś. Macie załatwić dwóch takich. A może tylko ich postraszyć. Może złożyć podpis nożem na twarzy czy coś w tym rodzaju... Kto wie.

– Kim są te ptaszki?

Tu Saldaña pokręcił głową, jakby się bał, że powiedział więcej, niż zamierzał.

– Wszystko w swoim czasie. A zresztą ja jestem jedynie pośrednikiem.

Kapitan osuszył szklanę w zamyśleniu. W owych czasach piętnaście poczwórnych dublonów ze złota warte było więcej niż sześćset reali: wystarczało, by wydobyć się z biedy, zakupić bieliznę, odzienie, popłacić długi, ustatkować się nieco. Oporządzić dwie nędzne izdebki, któreśmy wynajmowali z kapitanem w gospodzie od podwórza, z oknami wychodzącymi na ulicę Arcabuz. Zjeść czasem ciepłą strawę, nie musząc jej zawdzięczać gościnnym udom Caridad Cyganichy. – A poza tym – dodał Saldaña, jakby śledził tok myśli kapitana – ta praca pozwoli ci poznać ważnych ludzi. Ludzi, od których może zależeć twoja przyszłość. – Moja przyszłość – powtórzył machinalnie kapitan niczym echo.



## II. LUDZIE W MASKACH



a pogrążonej w mroku ulicy nie było widać żywego ducha. Diego Alatryste, owinięty w stary płaszcz pożyczony od mości Francisca de Quevedo, zatrzymał się pod ścianą i rzucił czujne spojrzenie. Latarnia, tak zapowiedział Saldaña. W rzeczy samej, wnękę furtki oświetlała latarenka, a w głębi, skryty za gałęziami drzew, ciemniał dach jakiegoś domu. Pora była nieprzytulna, coś około północy, kiedy to sąsiedzi wołają „leje się!” i wylewają nieczystości przez okna, a wynajęte zbiry i opryszkowie zasadzają się na swe ofiary w uliczkach oświetlenia pozbawionych. Tutaj wszelako nie było żadnego sąsiada, okolica zdawała się wyludniona od wieków. Na ewentualnych rzezimieszków czy zabójców Diego Alatryste był przygotowany. Ponadto od wczesnej młodości zdołał wpoić sobie podstawową zasadę pozwalającą żyć i przeżyć: gdy stawiasz czoło niebezpieczeństwu, sam możesz być równie groźny jak ci, co krzyżują z tobą swe szlaki. Albo i bardziej. Co się tyczy spotkania w pamiętną noc, zalecone było, by kapitan przeszedł przez dawne rogatki Świętej Barbary, skręcił w pierwszą ulicę w prawo i dotarł do ceglanego muru z jedną latarnią. Do tego momentu wszystko szło dobrze. Kapitan



zatrzymał się na chwilę i rozejrzał bacznie, starając się nie zwracać oczu bezpośrednio ku lampie, by nie oślepiła mu wzroku, gdy ten się przyda podczas wpatrywania się w najciemniejsze zakątki. Nareszcie pomacał pod szatą napierśnik z bawolej skóry, nałożony na wypadek, gdyby czyhało gdzieś nań czyjeś ostrze, nasunął kapelusz niżej na oczy i z wolna podszedł ku furtce. Jeszcze godzinę wcześniej patrzyłem, jak się odziewał ze sprawnością starego żołnierza, mówiąc:

– Późno dziś wrócę, Inigo. Kładź się spać, nie czekaj. Spożyliśmy wieczerzę, na którą złożyły się zupa z grzankami, kwaterka wina i dwa jajka na twardo. Następnie Diego Alatryste umył sobie twarz i ręce w miednicy, w czasie zaś, gdy ja łątałem mu wysłużone płudry w świetle łożówki, on szykował się do wyjścia z zachowaniem właściwych środków ostrożności. Nie żeby podejrzewał Martina Saldańę o nieczyste intencje, ale przecież i rotmistrza straży można było oszukać albo przekupić. Nawet gdy przywdzieje taki skórę starego przyjaciela lub towarzysza broni. I gdyby tak się rzeczy miały, Alatryste nie czułby doń nijakiej urazy. Naonczas, za panowania owego młodego, ujmującego, zalotnego, pobożnego i zgubnego dla obojga Hiszpanii monarchy, jakim był pocziwy Filip Czwarty, każdą rzecz mogłeś kupić za pieniądze, w tym także sumienie. I wcaleśmy się od tamtej pory bardzo nie odmienili. A zatem – na spotkanie kapitan udawał się z zachowaniem przezorności. Z tyłu do pasa przytroczył sobie lewak, a zdołałem też spostrzec, jak za cholewę prawego buta wsuwa krótki nóż rzeźnicki, który tak akuratnym się okazał za murami królewskiej turmy. Gdy się tak sposobił do wyjścia, ukradkiem zerkałem na jego posępne, nieobecne oblicze o jeszcze bardziej w świetle łożówki zapadniętych policzkach, na srogi cień wąsów. Zerkałem, lecz nie dostrzegłem tam ani śladu dumy. Wtem, swym jasnym wzrokiem rapiera szukając, natknął się na me spojrzenie i natychmiast uciekł oczami w bok, jakby w przestachu, że

mógłbym w nich wyczytać coś zgoła niepożądanego. Trwało to sekundę może, wreszcie popatrzył na mnie ponownie, otwarcie tym razem, i nawet uśmiechnął się nieznacznie.

– Trzeba na chleb zarobić, młodzieńcze.

To rzekłszy, wsunął za pas rapier – nigdy w czasach pokoju nie kwapił się przewieszać go u ramienia na modłę zawadiaków i zapalczywych frantów – sprawdził, czy bez trudu z pochwy wychodzi, i narzucił na się płaszcz, pożyczony tegoż dnia od mości Francisca. Pomijając fakt, że był marzec i noce nie sprzyjały przechadzkom w lekkich szatach, płaszcz użyteczny był jeszcze i dla tej przyczyny, że przydawał się podczas potyczek na broń białą, o jakie nietrudno w marnie oświetlonych, wąskich uliczkach niebezpiecznego miasta, za jakie uchodził Madryt w owych czasach. Naciągnięty na pierś lub wokół lewego ramienia, służył jako tarcza, narzucony zaś na *żelazo* przeciwnika, krępował mu ruchy podczas zadawania stosownego ciosu. Wiecie waszmościowie: gdy rzecz toczyła się o to, by skórę ocalić, czyste zagrania może zaskarbiłyby człekowi zbawienie duszy w życiu wiecznym, jeśli chodzi wszelako o życie doczesne, bez cienia wątpliwości gwarantowały najkrótszą drogę na tamten świat, na domiar z miną durnia i pamiątką w postaci piędzi żelaza w wątrobie. A w tamte strony Diego Alatryste bynajmniej się jeszcze nie wybierał.

W mętnym świetle latarni kapitan zbliżył się do furtki i, jak przekazał mu Saldaña, zastukał mocno cztery razy. To uczyniwszy, odsłonił rękojeść rapiera, lewą dłoń zaś przesunął ku tyłowi, by móc łącno dobyć lewaka. Po drugiej stronie dały się słyszeć kroki i drzwi uchyliły się bezszelestnie. W progu zamajaczyła postać sługi.

– Nazwisko?

– Alatryste.

Nie ozwawszy się na to, służący ruszył przodem ścieżką wiodącą pod drzewami przez ogród. Zbliźali się do domostwa, które w oczach kapitana wyglądało na opuszczone. Nie znał wprawdzie nazbyt dobrze tej części Madrytu, przylegającej do traktu na Hortalezę, zdołał atoli w pamięci przywołać i mury, i dach walącego się wielkiego domu, które musiał kiedyś pobieżnie zoczyć podczas przechadzki.

– Zaczekajcie tu waszmość, aż was zawołają. Znaleźli się właśnie w niewielkiej izbie bez mebli, za to z kandelabrem na podłodze, oświetlającym malowidła na odsłoniętych ścianach. W kącie stał jakiś zamaskowany mężczyzna w czarnym płaszczu i takiejże barwy kapeluszu o szerokim rondzie. Gdy kapitan wszedł, tamten nawet się nie poruszył. Także gdy służący – płomienie świec pozwalały dostrzec, że człowiek to w średnim wieku, pozbawiony liberii właściwej jego zatrudnieniu – wycofał się, by pozostawić ich samych, nieznajomy trwał dalej nieruchomo niby mroczny posąg, przyglądając się tylko przybyłemu. Jedyнным widomym znakiem życia pomiędzy płaszczem a kapeluszem były oczy – nader czarne i błyszczące, które w padającym z dołu świetle nabierały złowróżbnego, upiornego blasku. Okiem znawcy Diego Alatryste przyjrzał się skórzanym butom obcego i czubkowi rapiera, który nieco unosił mu z tyłu brzeg płaszcza. Postawa zdradzała płatnego szermierza lub wojaka. Nie zamienili ze sobą ani słowa, trwali tylko po dwóch stronach kandelabru i przypatrywali się sobie nawzajem, miarkując, czy z druhem, czy też z przeciwnikiem stanąć twarzą w twarz przyszło. Nadmienić się godzi, że w profesji Diega Alatryste oba te przypadki mogły z powodzeniem zdarzyć się równocześnie.

– Nie życzę sobie trupów – ozwał się wysoki mężczyzna w masce.

Był potężny, o barach szerokich, on też jedynie pozostał całkowicie okryty, oblicze osłaniając dodatkowo kapeluszem bez pióra, wstęgi ni

jakichkolwiek ozdób. Spod zasłaniającej mu twarz maski wystawał czubek gęstej, czarnej brody. Człowiek ów odziany był w szaty ciemne, przedniej jakości, u mankietów i kołnierza koronkami flamandzkimi zdobne, pod narzuconym na ramiona płaszczem zaś widniał złoty łańcuch i połączona rękojeść rapiera. Przemawiał głosem nawykłym do wydawania rozkazów, które bezzwłocznie są wykonywane, co potwierdzały względy, jakimi darzył go towarzysz: człowiek średniego wzrostu, o czaszce okrągłej, z rzadka włosami okrytej, owinięty w ciemną suknię skrywającą zasadnicze odzienie. Diego Alatryste i drugi gość musieli odczekać w przedpokoju pół godziny, nim obydwaj zamaskowani mężczyźni pokwapili się ich przyjąć.

– Ani trupów, ani krwi – dodał ów potężny. – A przynajmniej tej ostatniej niedużo.

Drugi, ten o okrągłej czaszce, uniósł obydwie dłonie. Diego Alatryste zdołał dostrzec brudne paznokcie i plamy od inkaustu na palcach, jakby tamten był skrybą. Na małym palcu lewej dłoni miał wszelako gruby złoty sygnet.

– Powiedzmy, lekkie draśnięcie – dał się słyszeć jego ostrożny głos. – Coś, co całemu zajściu nadałoby pozory prawdopodobieństwa.

– Ale tylko wobec tego jaśniejszego – uzupełnił pierwszy.

– W rzeczy samej, Wasza Ekscelencjo. Alatryste zamienił z mężczyzną w czerni spojrzenie zawodowców, jakby konsultowali ze sobą znaczenie słowa „draśnięcie” oraz szansę – raczej niewielkie – by podczas nocnego starcia odróżnić jaśniejszego przeciwnika od tego drugiego. Bo wystawcie sobie waszmościowie scenę: czy byłby wasza miłość tak łaskaw przybliżyć się ku światłu i odkryć głowę, dzięki serdeczne, jak widzę, masz waść jaśniejsze włosy, za pozwoleniem, chciałbym zatopić w waszmościnych wątpiach co nieco stali toledańskiej. Nic to. Wróćmy do nieznanego w czerni: wchodząc do drugiej izby, odsłonił twarz i teraz Alatryste mógł się

jej przyjrzeć w świetle kaganka stojącego na stole i rzucającego słabą poświatę na czterech uczestników spotkania i na ściany zakurzonej i przeżartej przez myszy biblioteki. Tajemniczy przybysz był wysoki, chudy i milczący. Na oko miał trzydzieści wiosen z okładem, twarz podziobaną przez dawno przebytą ospę, a pod nosem cienki, krótko przycięty wąsik, który nadawał mu obcy, cudzoziemski wręcz wygląd. Jego sięgające ramion włosy oraz oczy były równie czarne jak szaty. Nosił do pasa przypięty rapier o nadmiernie wybujałej, okrągłej gardzie ze stali i długich jelcach, jakiego nikt nie śmiałyby zaprezentować przed niestroniącą od szyderstw gawiedzią – nikt z wyjątkiem wytrawnego szermierza, obdarzonego dostateczną odwagą i sztuki znajomością, by czynem wesprzeć i usprawiedliwić tak cudaczną broń. Ten osobnik wszakże nie wyglądał na kogoś, kto by dopuścił do szyderstw. Gdybyście waszmościowie szukali kiedy w uczonej księdze słów „zabijaka” i „morderca”, pewnikiem odnajdziecie tam jego konterfekt.

– Są to dwaj młodzi szlachcice, cudzoziemcy – ciągnął mężczyzna o okrągłej czaszce. – Podróżują incognito, ich prawdziwe imiona i kondycja nie mają przeto znaczenia. Starszy z nich każe się mienić Thomas Smith i nie ma więcej nad trzydzieści lat. Drugi, niejaki John Smith, ma ich co najwyżej dwadzieścia trzy. Wjadą do Madrytu konno, sami, w piątek jeszcze przed wschodem słońca. Jak śmiem podejrzewać, będą utrudzeni kilkudniową jazdą. Nie wiemy, przez które rogatki się tu zjawią, zatem najłacniej zasadzać się na nich trzeba blisko celu ich podróży, a jest nim Dom pod Siedmioma Kominami... Znacie go waszmościowie?

Diego Alatryste i jego towarzysz skinęli głowami. Cały Madryt znał rezydencję hrabiego Bristolu, ambasadora Anglii.

– Incydent winien przebiec tak – prawil dalej mężczyzna – jak gdyby dwaj podróżni padli ofiarami napaści pospolitych rzezimieszków. Będzie

im trzeba więc zabrać wszystko, co przy nich znajdziecie. Stosownym się wydaje, by ów jaśniejszy i bardziej wyniosły, czyli starszy z nich, odniósł ranę. Ot, pchnięcie w nogę względnie w ramię, zgoła niegroźne. Względem zaś tego młodszego, wystarczy porządnie go przełębnić – tu mówca zwrócił się z lekka ku drugiemu, temu potężnemu, jakby szukając jego aprobaty. – Istotne jest, by zdobyć wszelkie listy i dokumenty, jakie będą ze sobą wieźli, i dostarczyć je na czas.

– Komu? – zapytał Alatryste.

– Komuś, kto będzie czekał po drugiej stronie klasztoru Karmelitów Bosych. Hasło brzmi „Myśliwi”, odzew zaś „Szwajcarzy”.

Mówiąc to, człowiek o okrągłej czaszce sięgnął pod ciemną suknię okrywającą jego odzienie i wydobył niewielką sakiewkę. Przez mgnienie oka kapitanowi zdało się, że widzi na jego piersi jaskrawoczerwony haftowany krzyż Zakonu Calatrava, jego uwagę rychło jednak przykuły pieniądze, jakie zamaskowany mężczyzna wykladał na stół: w świetle kaganka rozbliły się po pięć poczwórnych dublonów dla każdego z wynajętych napastników. W czystych, wypolerowanych monetach. Leżały, *władzę doczesną się mieniąc*, jak powiedziałyby mość Francisco de Quevedo, gdyby uczestniczył w owej schadzce. Jeszcze dziewicze złoto, dopiero co bite w mennicach naszego miłościwego władcy. Chwała w pełnym majestacie, za którą można kupić nocleg, strawę, przyodziewek i ciepło niewieściego ciała.

– Brakuje jeszcze dziesięciu sztuk – ozwał się kapitan.

– Dla każdego.

Głos tamtego zabrzmiał szorstko:

– Człowiek, który będzie czekał na waszmościów jutro w nocy, dostarczy resztę pieniędzy w zamian za dokumenty obydwu przyjezdnych.

– A jeśli coś się nie uda?

Skryte pod maską oczy tego potężnego, którego jego towarzysz nazywał Ekscelencją, zdawały się przewiercać kapitana na wskroś.

– Dla dobra wszystkich lepiej, by wszystko się udało – powiedział.

W jego tonie pobrzmiało echo groźby i jasnym się stało, że groźba właśnie w powszednim jest użyciu u owego jegomości. Nie należało ponadto wątpić, że należał on do tych, którzy tylko raz grożą, a w większości przypadków zapewne i do tego uciekać się nie muszą. Mimo tego Alatryste podkreślił dwoma palcami wąsa i surowym wzrokiem odpowiadał na nieubłagane spojrzenie tamtego, stojąc pewnie na obydwu stopach, gotów nie dać się zastraszyć jakiegokolwiek Ekscelencji czy nawet In Saecula Saeculorum. Nie lubił otrzymywać wynagrodzenia na raty, a jeszcze mniej wysłuchiwać reprimendy, szczególnie nocą, w świetle kaganka, z ust zamaskowanych nieznajomych, którzy na domiar wszystkiego nie dysponują pełną gotówką. Atoli jego towarzysza o ospowatym obliczu, najwidoczniej mniej uczulonego, zainteresowały raczej inne kwestie: – A co z sakiewkami tych dwóch ptaszków? – spytał.

– Również mamy je przekazać?



Włoch – wywnioskował kapitan z jego akcentu. Przemawiał głosem cichym i niskim, niemalże konfidencjonalnym, a przy tym stłumionym i oschłym, budzącym w słuchaczach niemiłe doznania. Rzekłbyś – wypalono mu struny głosowe czystym spirytusem. Co do formy, ton osobnika w czerni pełen był respektu, pobrzmiewała w nim jednak jakaś fałszywa nuta. Jakby zuchwalstwo, co lubo skrywane, przecież zgoła nie mniej niepokojące. Spoglądał na zamaskowanych mężczyzn z uśmiechem zarazem przyjaznym i złowrogim, odsłaniającym biel zębów pod



przyciętym wąsikiem. Nietrudno było wyimaginarować go sobie, jak z tym samym uśmiezkiem ciach, ciach, rozcina sztyletem szatę i znajdujące się pod spodem ciało jakiegoś nieszczęśnika. Wyraz jego oblicza tak był kordialny, że aż ciarki mrowiły się po grzbiecie.

– Nie ma potrzeby – odparł ów z okrągłą czaszką, zerknąwszy uprzednio na drugiego, który skinął w milczeniu głową. – Sakiewki możecie sobie waszmościowie zatrzymać, jeśli taka wasza wola. Jako nawiązkę.

Włoch zagwizdał przez zęby melodyjkę podobną do chacony, coś jakby *tiruri-ta-ta* powtórzone po kilkakroć, po czym spojrzał na kapitana z ukosa: – Chyba podoba mi się ta robota.

Uśmiech pierzchnął mu z ust, kryjąc się teraz w czarnych oczach, które załśniły niebezpiecznym błyskiem. Wtedy to właśnie Alatryste pierwszy raz ujrział uśmiech Gualteria Malatesty. I gdy kapitan opowiadał mi później o tym spotkaniu, stanowiącym preludium do długiej i burzliwej serii, napomknął, że dokładnie w owej chwili pomyślał sobie: jeśli ktokolwiek kiedyś powita go takim uśmiezkiem w ciemnym zaułku, to nim zdoła ów uśmiezek powtórzyć, on sam już będzie w dłoni dźwiżył dobyty rapier. Stając oko w oko z tym osobnikiem, czułeś, że lepiej go uprzedzić, niżli dać się uprzedzić jemu. Przedstawcie sobie waszmościowie żmiję podstępłą a groźną, która nie wiadomo po czyjej stronie stoi, aż miarkujecie, że ona trzyma jedynie swoją stronę, reszta zaś waży dla niej tyle co puch. Taki to był przewrotny, lisi typ, wykrętny i mroczny, przy którym absolutnie nigdy nie wolno wam ukołysać własnej czujności i któremu lepiej wrazić żelazo w ciało, ot na wszelki wypadek, żeby tylko nie uczynił wam tego samego.

Potężny mężczyzna należał raczej do milczków. Trwał dłuższą chwilę bez słowa, przysłuchując się jeno z uwagą, jak ten drugi, z okrągłą czaszką, eksplikuje Diegowi Alatryste i Włochowi ostatnie szczegóły sprawy. Ze

dwa może razy skinął głową na potwierdzenie tego, co słyszał. Nareszcie obrócił się na pięcie i ku drzwiom ruszył.

– Jeśli krew przelewać, to niedużo – jeszcze raz z naciskiem rzucił od progu.

Z uprzednich wskazówek, ze sposobu bycia i nade wszystko z widomej czci, jaką drugi zamaskowany mężczyzna wychodzącego darzył, kapitan snadnie wnosił, że ów ostatni wysokie musiał zajmować stanowisko. Właśnie medytował sobie na ten temat, gdy naraz osobnik o okrągłej czaszce wsparł dłoń na stole i jął w najwyższym skupieniu na obydwu szermierzy patrzeć przez dziurki w masce. W spojrzeniu jego jawiło się teraz coś nowego, jakowyś błysk niepokojący, jakby wciąż nie wszystko zostało powiedziane. W pełnej cieni izbie zapanowało nader przykre milczenie, Alatryste i Włoch zerknęli przeto po sobie nawzajem z ukosa, zastanawiając się, co jeszcze będzie im tu wyłożone. Tymczasem zamaskowany człowiek trwał przed nimi bez ruchu, pewnikiem czekając na coś lub też na kogoś.

Odpowiedź nadeszła wkrótce, gdy w mroku poruszył się gobelin, na ścianie wśród szaf z książkami wiszący. Za nim odsłoniły się ukryte dotąd drzwi, a z nich poczęła się wyłaniać jakaś sylwetka mroczna a złowroga, którą ktoś mniej wstrzemięźliwy od Diega Alatryste za zjawę wziąć byłby gotów. Przybysz uczynił kilka kroków i natenczas światło kaganka dobyło z ciemności jego zapadłe, wygolone policzki, nad którymi lśniły chorobliwe oczy, gęstymi brwiami zwieńczone. Człowiek ów miał na sobie białoczarny habit dominikański, oblicze zaś miał odkryte: oblicze wychudłe, ascetyczne, zacięte, jakby fanatyczne, co podkreślały dodatkowo owe błyszczące oczy. Mógł mieć pięćdziesiąt lat z okładem. Siwe włosy, krótko przycięte, sprawiały wrażenie czepka skronie okalającego, z pokaźną tonsurą na szczycie głowy. Dłonie, które wchodząc, wysunął z rękawów

habitu, były suche i kościste, rzekłbyś – trupie. Wionęło od nich chłodem niby od samej kostuchy. Osobnik o okrągłej czaszce zwrócił się do owego mnicha z najwyższym uszanowaniem: – Czy Wasza Wielbność słyszał wszystko? Dominikanin skinął krótkim, oschłym ruchem głowy, oczu z kapitana i Włocha nie spuszczał, jakby ich szacował. Po chwili zwrócił się ku zamaskowanemu, ten zaś na ów niemy znak czy rozkaz może na powrót przemówił do przybyłych: – Mąż, któregośmy właśnie pożegnali, godzien jest naszego pełnego szacunku i poważania. Nie tylko on wszelako w tej sprawie decyduje, wskazane jest zatem, abyśmy pewnym rzeczom nadali wyraźniejszą miarę.

Tu zamaskowany wymienił spojrzenie z duchownym, zapewne licząc na aprobatę, tamten atoli nawet się nie poruszył.

– Ze względów zdecydowanie politycznych – ciągnął przeto – i pomimo tego, co nieobecny już wśród nas wielmożny pan raczył był nam powiedzieć, dwaj Anglicy winni zostać unieszkodliwieni w sposób... – przerwał na chwilę, szukając może właściwego słowa pod maską – bardziej dobitny. – Tu rzucił szybkie spojrzenie na duchownego. – Czyli ostateczny.

– Wasza miłość ma na myśli... – zaczął Diego Alatryste, gustujący w jasnych sytuacjach.

Dominikanin, który dotąd w milczeniu się przysłuchiwał i w widomy sposób jął się niecierpliwić, przerwał mu, unosząc kościstą dłoń.

– Ma na myśli, że obydwaj heretycy muszą umrzeć.

– Obydwaj?

– Obydwaj.

Włoch znów zagwizdał przez zęby swoją melodyjkę. Tu—*ruri-ta-ta*. Uśmiechał się przy tym już to z ciekawością, już to z rozbawieniem. Kapitan zaś popatrzył niepewnie na leżące na stole pieniądze, pomedytował chwilę i wzruszył ramionami.

– Wszystko jedno – ozwał się. – A i memu towarzyszowi zmiana planów specjalnej alteracji nie czyni.

– Radością wręcz napawa – podkreślił Włoch, uśmiechać się nie przestając.

– Rzec można, że i ułatwia co nieco – ciągnął Alatryste nieporuszony. – Nocą zranić kogoś trudniej jest niż załatwić go na amen.

– Sztuka prostoty – dopełnił tamten.

Teraz kapitan przeniósł wzrok na człowieka w masce.

– Jedno tylko niepokój mój wzbudza – rzekł. – Mąż, który raczył opuścić to miejsce, wygląda na szlachetnie urodzonego i wspominał, że nie życzy sobie niczyjego zgonu... Nie wiem, co sądzi mój towarzysz, ja nie chciałbym wszakże narazić się temu, którego sami zwaliście Ekscelencją, kimkolwiek on jest, a tylko po to, by się waszmościom przypodobać.

– Może zatem więcej pieniędzy... – rzucił zamaskowany po krótkim wahaniu.

– Stosownie byłoby określić, ile więcej.

– Jeszcze dziesięć poczwórnych dublonów. Wraz z brakującymi dziesięcioma i tymi tu pięcioma daje to sumę dwudziestu pięciu dublonów dla każdego z waszmościów. Plus sakiewki panów Thomasa i Johna Smithów.

– To mi odpowiada – orzekł Włoch.

Bez wątpienia było mu wszystko jedno, czy dwóch, czy dwudziestu, czy mają być ranni, martwi czy marynowani. Alatryste wszelako zadumał się na moment i pokręcił głową. Mnóstwo pieniędzy jak na zapłatę za podziurawienie dwóch bezimiennych. Tu właśnie leżał pies pogrzebany: dziwny i niepokojący to interes, gdzie płacą aż za dobrze. Instynkt starego wiarusa zwęszył niebezpieczeństwo.

– To nie jest kwestia pieniędzy.

– Madryt pęka w szwach od beczynnych szermierzy – odparł z irytacją człowiek w masce. I kapitan nie był pewien, czy tamten miał na myśli kogoś, kto go zastąpi, lubo też kogoś, kto sam wymierzy mu sprawiedliwość, gdyby odrzucił propozycję. Ewentualna groźba wcale a wcale nie przypadła mu do gustu. Podkreślił prawą dłońią wąsa, jak to miał w zwyczaju, lewą zaś wsparł na rękojeści rapiera. Gest ten nie uszedł uwagi nikogo z obecnych.

W tym momencie duchowny stanął z kapitanem twarzą w twarz. Surowe oblicze fanatycznego ascety stężało, a głęboko osadzone oczy miały na rozmówcę płomienne strzały.

– Jestem – ozwał się nieprzyjemnym głosem – wielebny Emilio Bocanegra, przewodniczący Trybunału Świętej Inkwizycji.

Po tych słowach rzekłbyś, że przez izbę przeszedł lodowaty podmuch. Dominikanin zaś tym samym tonem jął wyjaśniać kapitanowi i Włochowi zwięźle i nadzwyczaj oschle, że jemu nijaka maska potrzebna nie jest, że swej tożsamości ukrywać nie musi ni przychodzić do nich jak złodziej w nocy, albowiem władza, jaką Bóg go obdarzył, wystarcza, by wszelkich wrogów Świętego Kościoła i Jego Katolickiej Wysokości Króla Obojga Hiszpanii unicestwić. Słuchacze przełknęli głośno ślinę, mówca zaś uczynił pauzę, żeby sprawdzić efekt, jaki słowa jego wywarły. Po chwili mówił dalej złowieszczym głosem: – Jesteście najemnymi, grzesznymi rękami, krwią splamionymi, jako i wasze rapiery, i sumienia. Atoli dłoń Wszechmogącego pisze równo także wtedy, gdy pióra są wyszczerbione.

Wyszczerbione pióra spojrzały po sobie z zaniepokojeniem, duchowny tymczasem kontynuował przemowę. Tej nocy, powiadał, zadanie przez niebiosa postawione dostajecie i tak dalej. I wypełnicie je co do joty, w ten bowiem sposób zadość uczynicie Bożej Sprawiedliwości. Jeżeli odmówicie, jeśli sianem się wykręcicie, spadnie na was gniew Najwyższego pod

postacią długiego i straszliwego ramienia Świętego Oficjum. Którym my pokierujemy.

To rzekłszy, dominikanin zamilkł, a zapadłej ciszy nikt zakłócić nie śmiał. Nawet Włochowi niespieszne było do gwizdania, a to już dużo mówiło. W Hiszpanii naówczas kto zadarł z przepotęzną Inkwizycją, narażał się na okropności, wśród których nierzadko bywały więzienie, tortury, stos i śmierć. Nawet najtwardsi ludzie drżeli na samo wspomnienie Świętego Oficjum. Przy tym Diego Alatryste, podobnie jak i cały Madryt, aż nadto znał ponurą sławę brata Emilia Bocanegry, przewodniczącego Rady Sześciu Sędziów, którego wpływy sięgały aż do Wielkiego Inkwizytora i prywatnych korytarzy Zamku Królewskiego. Nie dalej jak tydzień wcześniej wielebny Emilio Bocanegra sprawił, że Trybunał kazał spalić za *crimen pessimum*, czyli haniebną zbrodnię, czterech młodych służących hrabiego Monteprieto. Nieszczęśni, wydani na męki, obwinili się nawzajem o sodomie. Co zaś się tyczy samego hrabiego, leciwego, samotnego magnata melancholijnej natury, tylko tytuł granda Hiszpanii cudem ocalił go przed podobnym losem, król zadowolił się jedynie dekretem nakazującym konfiskatę majątku i wygnanie do Włoch. Bezlitosny ojciec Bocanegra osobiście przeprowadził całą procedurę, umacniając dzięki owemu triumfowi swą straszliwą pozycję na Dworze. Nawet faworyt króla, hrabia Olivares, wolał z dominikaninem w dobrych stosunkach pozostawać.

Nikt choćby mrugnąć nie śmiał. Westchnąwszy w głębi duszy, kapitan pojął, że dwaj Anglicy, kimkolwiek są i jakiegokolwiek intencje miał co do nich potężny mężczyzna w masce, skazani są bez odwołania. Narazili się Kościołowi i tu wszelka dysputa mała że bezużyteczną, jeszcze groźną się jawiła.

– Co należy uczynić? – rzekł wreszcie, bezradny wobec nieuchronnego losu.

– Zabić ich bez litości – brat Emilio nie zwlekał z odpowiedzią. Oczy błyszczały mu fanatycznym ogniem.

– Nie dowiadując się, kto to zacz?

– Już powiedzieliśmy, kto zacz – odrzekł człowiek z okrągłą czaszką.

– Mister Thomas i mister John Smithowie. Podróżni z Anglii.

– I bezbożni anglikanie – dodał duchowny, dysząc gniewem. – Was wszakże nie obchodzi, kim są. Wystarczy, że pochodzą z kraju schizmatyków, z rasy wiarołomców, żądnych przynieść zgubę Hiszpanii i religii katolickiej. Wymierzając im Bożą Sprawiedliwość, oddacie ceną przysługę Wszechmogącemu i Koronie.

To mówiąc, dominikanin wyciągnął jeszcze jeden mieszek z dwudziestoma złotymi monetami i z odrazą cisnął go na stół.

– Jak widzicie – rzekł – w przeciwieństwie do sprawiedliwości doczesnej, niebieska płaci z góry, chociaż należność pobiera w terminie – wpatrywał się w kapitana i we Włocha, jakby chciał wyryć im w pamięci własne oblicze. – Nikt jej oczu umknąć nie jest zdolny, a Bóg wie bardzo dobrze, jak odebrać swoje długi.

Diego Alatryste skinął głową na znak zgody. Śmiałości mu nie brakowało, ale tym razem uczynił to, by ukryć drżenie. W świetle kaganka duchowny miał wygląd diaboliczny, słowa przezeń wypowiedziane mogły snadź zachwiać postawą najśmielszego. A i Włoch pobladł, bez swojego *tiruri-ta-ta* i bez cienia uśmiechu. Nawet zamaskowany mężczyzna o okrągłej czaszce ust otworzyć się nie ośmielił.



### III. MAŁA DAMA



owiadają, że prawdziwą ojczyzną człowieka jest jego dzieciństwo, i może dlatego, na przekór upływowi czasu, z tęsknicą powracam myślami do Gospody Pod Turkiem. Nie masz już dzisiaj ani tego miejsca, ani kapitana Alatryste, burzliwe lata młodości mej też nie powrócą. W owych czasach wszakże, za panowania naszego Filipa Czwartego, Gospoda była jednym z czterystu przybytków, w których 70 tysięcy dusz, jakie liczył Madryt, pragnienie mogło ugasić. Wypadało więc nas 175 osób na jedną gospodę – a do tego dochodziły jeszcze lupanary, domy hazardu i inne adresy swobodniejszego czy wręcz wątpliwego autoramentu, które w owej jedynej i niepowtarzalnej, pełnej paradoksów Hiszpanii cieszyły się równie wielkim powodzeniem co kościoły. Często u tych samych osób.

Pod Turkiem była w istocie szynkiem, z tych, gdzie się jada, pija i popala, a mieściła się na rogu ulic Toledo i Arcabuz, będzie z pięćset kroków od placu Mayor. Dwie izby, w których mieszkaliśmy, Diego Alatryste i ja, mieściły się tuż nad nią, przeto karczma Cyganichy służyła nam nierzadko jako pokój stołowy. Kapitan chętnie schodził tam i siadał, by czas zabić, gdy nic lepszego do roboty się nie trafiało, czyli z reguły. Pomimo zapachu smażenia i dymu z kuchni dobiegających, pomimo



brudu panującego na podłodze i na stołach, pomimo myszy wreszcie, już to uciekających przed kotem, już to za okruszkami chleba biegających, miejsce oferowało wystarczającą wygodę. A i rozrywki nie brakowało, odwiedzali je bowiem kurierzy z pocztą śpieszący, sądowi urzędnicy, skrybowie i woźni, kwiaciarze i kramarze z pobliskich placów Providencia i Cebada, a także weterani wojenni, skuszeni bliskim sąsiedztwem głównych ulic miasta i zakątka plotkarzy zwanego San Felipe el Real. Niczego przy tym nie ujmując urodzie (nieco przygasłej, atoli wciąż widocznej) i dawnej sławie właścicielki gospody, przedniemu winu z Valdemoro, muszkatelowi i słodkiemu jerezowi z San Martin de Valdeiglesias. Ze nie wspomnę o nadzwyczajnej zalecie, jaką stanowiło tylne wyjście na podwórze i drugą ulicę – co bardzo było sposobne, gdy niespodzianą wizytę składali tu strażnicy miejscy, pacholki, wierzyciele, poeci, szukający pożyczki przyjaciele i wszelaka inna nieproszona hołota. Diegowi Alatryste przysługiwał wygodny i osłoneczniony stół blisko drzwi stojący, gdzie Caridad Cyganicha dogadzała czasem kapitanowi dzbanem wina prosto z kuchni wyniesionym, któremu towarzyszył jakiś pasztecik lub garstka skwarek. Już w młodości, o której skąpo opowiadał, mój opiekun nabrał osobliwej ciągoty do czytania. Nie należał przeto do rzadkości widok następujący: rapier i kapelusz wiszą na kołku, a kapitan samotnie przy stole siedzi zatopiony w lekturze świeżo wydanej nowej sztuki Lopego – jego ulubionego autora – która właśnie wystawiana jest na podwórku Principe albo de la Cruz.

Czytywał też gazety i ulotki z anonimowymi wierszykami satyrycznymi, jakie kursowały wokół Dworu w owej epoce zarazem wspaniałej, zepsutej, nieszczęsnej i nadzwyczajnej. Poezje owe potrafiły oczernić i faworyta, i całą monarchię, i nawet samą jutrzeńkę. Niejeden to raz Alatryste, czytając,

rozpoznawał urągliwy koncept i już przysłowiową żółć przyjaciela, niepoprawnego gdery i popularnego poety mości Francisca de Quevedo:

*Tu spoczywa Mesje de la Florida,  
Co bodaj nawet w samym Lucyferze  
Odnalazłby współnika.*

*Do żadnej nigdy kuciapki nie mierzył,  
Lecz Heroda oskarżać był gotowy,  
Rzeź niewiniątek ganiać tymi słowy:  
„Śliczne maleństwa zostały zarżnięte,  
podczas gdy winny być raczej zerżnięte”*

I inne śliczności w tym guście. Łacno imaginować mogę, że moja owdowiała macierz biedaczka, pozywająca w odległym baskijskim siole, nie byłaby specjalnie kontenta, gdyby wiedziała, na jaką nietypową kompanię naraża mnie służba pazia u mego kapitana. Ale spoglądając na rzecz całą z perspektywy trzynastu lat młodocianego Iníga Balboi, wszystko to stanowiło dla mnie nadzwyczajny spektakl i osobliwą szkołę życia. Jak już z początku niniejszej opowieści napomykałem, zarówno mość Francisco, jak i licencjat Calzas, Juan Vicuña, Klecha Perez, aptekarz Fadrique i pozostali przyjaciele kapitana często zachodzili do gospody, w długie dysputy się wdając na temat polityki, teatru, poezji czy też niewiast, że nie wspomnę tu o szczegółowych opowieściach z rozlicznych wojen, jakich przeszły i obecny los nie szczędził tej naszej niefortunnej Hiszpanii, wciąż potężnej i strach w świecie budzącej, choć przecie zżeranej przez mór od wewnątrz. Wojen, w których odtwarzaniu na blacie stołu biegły był Estremadurczyk Juan Vicuña, posiłkując się przy tym kawałkami chleba,

naczyniami i dzbanami z winem. Jako niegdysiejszy sierżant kawalerii, okaleczony pod Nieuwpoort, olśniewał kunsztem wytrawnego stratega. Wojenne sprawy znów aktualności nabrały, bo, o ile pamięć mi nie szwankuje, w czasie awantury z osobnikami w maskach i Anglikami już dwa albo i trzy lata mijały od chwili, gdy Niderlandy znów bunt były podniosły, jak tylko końca dobiegł dwunastoletni rozejm, podpisany z Holendrami jeszcze przez nieboszczyka króla Filipa Trzeciego, człeka pokoju i ojca miłościwie nam panującego młodzieńca. Otóż właśnie ów długi rozejm czy raczej jego efekty stały się przyczyną, dla której tylu weteranów wojennych wciąż wędrowało po obojgu Hiszpaniach i po świecie całym, pomnażając zastępy bezczynnych zawadiaków, fanfaronów i pyszałków, gotowych imać się najplugawszych a występnych zajęć. W tym gronie znalazł się też i Diego Alatriste. Kapitan atoli należał do gatunku milczków i nigdy nie słyszano, by chełpił się kampaniami czy ranami, czego o tylu innych powiedzieć tu nie możemy. Na dokładkę, gdy ponownie zagrały tarabany jego regimentu, Alatriste, mój rodzic i jeszcze wielu walecznych mężów, nie mieszkając, zaciągnęli się pod rozkazy swego dawnego generała, mości Ambrosia Spinoli, i rzucili się w wir zamętu, który dziś wojną trzydziestoletnią zwiemy. I służyłby kapitan w tej wojnie do jej samego końca, gdyby nie dotkliwa rana, jaką otrzymał pod Fleurus. Wszelako, lubo wojna przeciwko Niderlandom i zawierucha w całej Europie była podówczas głównym tematem rozmów, nadzwyczaj rzadko Diego Alatriste o swym żołnierskim życiu napomykał, czym jeszcze większą admirację mą sobie zaskarbił. Zwyczajny bowiem byłem setek mijanych na ulicy mężów, którzy nosa zadzierając i bajki o Flandrii prawiąc, całe dnie mitrężyli na buńczucznych, donośnych opowieściach o swych domniemanych triumfach i wałęsali się po Puerta del Sol względnie po ulicy Montera, pobrzękując rapierami, albo też paradowali po stopniach

kościół Świętego Filipa, objuczeni porzewiałyymi puszkami, pełnymi dyplomów uznania za czyny wojenne i waleczność, nie mniej fałszywych niż ołowiane dublony.

O świcie trochę padało i na podłodze gospody plamy z błota się pojawiły wraz z zapachem zawilgłych trocin, częstym w miejscach publicznych, gdy mokry dzień nastanie. Niebo właśnie przecierać się poczęło i nieśmiały zrazu, a chwilę potem śmielszy już promień słońca oświetlił stół, przy którym zasiedli pospołu Diego Alatryste, licencjat Calzas, Klecha Perez i Juan Vicuña, posiliwszy się wprzód. Ja zająłem miejsce na taborecie nieopodal drzwi i ćwiczyłem się w kaligrafii, mając po temu gęsie pióro, kałamarz i ryzę papieru, które to przedmioty licencjat przyniósł mi był za namową kapitana: – Niech się chłopię poduczy i zacznie studiować prawa, żeby potem klientów w sądzie do ostatniego marawedi wykrwawiać. Jak to czynicie waszmościowie adwokaci, skrybowie i wszelka inna podobna wam hałastra. Calzas zaniósł się śmiechem. Charakter miał wyborny, coś jakby podszyty cynizmem dobry humor zdolny znieść najgorsze urąganie. A i przyjaźń jego z Biegiem Alatryste ufundowana była na wieloletniej zażyłości.

– Oj, co prawda, to prawda, na mą duszę – odrzekł rozweselony i oko do mnie puścił. – Pióro, Iñigo, więcej pożytku przynosi niżli rapier.

– *Longa manus calami* – dodał sentencjonalnie Klecha. Z czym wszyscy współbiesiadnicy się zgodzili, czy to że jednomyślni byli, czy może z powodu nieznamomości łaciny. Nazajutrz licencjat przyniósł mi przybory do pisania, które ani chybi łącno sprzeniewierzył był z trybunału, gdzie zarabiał na całkiem dostatni żywot, a to wskutek ogólnego zepsucia panującego w tej profesji. Alatryste nic nie rzekł, nawet rady nijakiej nie udzielił mi względem użytku, jaki należało zrobić z pióra, papieru i inkaustu. Wszelako w jego spokojnych oczach aprobatę wyczytałem, gdym

usiadł wedle drzwi, by wprawiać się w sztuce kaligrafii. Zabrałem się do dzieła i jałem spisywać wiersze Lopego, które niejednokrotnie kapitan przy mnie raczył był recytować, gdy nocami rana spod Fleurus doskwierała mu bardziej niż zwykle:

*Los ciągle trzyma pod pieczę  
Łotra, co chciał zaszczyt mieć  
Na drodze napotkać śmierć,  
Zacną mą dłonią usieczon...*

Wprawdzie kapitan podśmiewał się nieraz cichaczem, recytując powyższe strofy, może chcąc uśmierzyć ból starej rany, nie przeszkadzało to wszakże, bym ja sam dostrzegał w nich przepiękną poezję. Podobnie jak w tych, do których również zabrałem się owego poranka, tak dobrze bowiem pamiętałem je z bezsennych nocy Diega Alatryste:

*Jawnej z nim walki potrzebę  
Czuję i dopaść go muszę  
Pod jasnym Sewilli niebem;  
Bo bez walki zgładzić gorzej,  
Niż wziąć na się grzechów siedem,  
A być ofiarą podstępu  
Lepiej niż podstępnie zabić.*

Kończyłem właśnie pisać ostatnią linijkę, gdy kapitan, który poderwał się był od stołu, by nieco wody z cebra wychylić, wziął ode mnie kartkę i rzucił na nią okiem. Stojąc obok mnie, przeczytał w milczeniu, com napisał, po czym popatrzył na mnie przeciągle. Jak dobrze znałem te długie,

spokojne spojrzenia, bardziej jeszcze wymowne niżli tysiące słów, które potrafiłem z warg jego wyczytać, choćby nigdy ich nie wypowiadał! Pomnę, że wciąż onieśmielone słońce przesłało pomiędzy dachami ulicy Toledo ukośny promień prosto na pozostałe kartki na mym podołku spoczywające i na wpatrzone we mnie jasnozielone, rzekłbyś, przezroczyście oczy kapitana. W tym świetle wysechł nareszcie nadal świeży inkaust na papierze, który Diego Alatryste w dłoni dzierżył. Kapitan się nie uśmiechnął, lada gestu nie uczynił. Oddał mi kartkę bez słowa i powrócił do stołu, atoli jeszcze stamtąd widziałem, jak posyła mi ostatnie długie spojrzenie, by na koniec ponownie zagłębić się w rozmowie z przyjaciółmi.

W niedługim czasie dołączyli do nich, niemal jeden po drugim, Cyklop Fadrique i mość Francisco de Quevedo. Fadrique nadciągnął ze swej apteki przy Puerta Cerrada, gdzie przyrządzał był leki dla swych klientów, i teraz gardło paliło go od waporów, powidełek i podejrzanych wyziewów. Przeto ledwie się zjawił, kwaterek wina Valdemoro ucapił i jął Klesze Perezowi objawiać przeczyszczające własności skórki czarnego orzecha z Hindustanu. Na to wszedł mość Francisco, otrzepując buty powalane dopiero co w ulicznych kałużach.

*Błoto, z którego powstał, myśl podsuwa...*

... mruczał z nieukontentowaniem. Zatrzymał się przy mnie, poprawiając sobie szkła, zerknął na wiersze, które przepisywałem, i uniósł brwi w miłym zaskoczeniu, widząc, że nie pochodzą spod pióra Alarcona czy Gongory. Następnie ruszył koślawym krokiem – od dzieciństwa nogi miał szpotawe, co nie przeszkadzało mu być zwinnym a wytrawnym szermierzem – by pospołu ze swymi kompanami przy stole zasiąść. Co uczyniwszy, sięgnął w te pędy po najbliższy dzban.

*Ach, nie skąpie mi, człowiecze,  
Bachusa sławnej a niebiańskiej cieczy...*

... ozwał się tymi słowy do Juana Vicuña. Ów, jak już wspominałem, były sierżant kawalerii, silny i okazałej postury mąż, utracił był prawą rękę pod Nieuwpoort i żył dzięki zyskom czerpanym z niewielkiej szulerni, na którą licencję posiadał. Vicuña podsunął poecie dzban valdemoro, a mość Francisco, lubo ku białemu winu z Valdeiglesias większy pociąg odczuwał, przecież i to duszkiem wypił.

– Co tam słyhać z memorandum? – zaciekał się Vicuña.

Przybysz osuszył sobie usta wierzchem dłoni, lecz kilka kropel wina skapnęło mu na wyhaftowany na piersi krzyż świętego Jakuba.

– Tuszę – odrzekł – że Filip Wspaniały podtarł sobie nim zadek.

– To i tak zaszczyt – napomknął licencjat Calzas. Mość Francisco sięgnął po kolejny dzban.

– Z pewnością – ciągnął z przerwami na łykanie wina – to zaszczyt dla jego królewskiej dupy. Zacny papier, po pół dukata za ryżę. Plus moje wykwiłtne pismo.

Jego podły humor brał się stąd, że nie były to dobre czasy dla niego, dla jego prozy, poezji czy stanu materialnego. Niele dwie kilka tygodni wstecz Filip Czwarty uchylił wreszcie wyroki, zrazu więzienia, potem i banicji, ciężące na naszym poecie, od kiedy dwa lub trzy lata wcześniej popadł był w niełaskę jego przyjaciel i protektor, książę de Osuną. Zrehabilitowany mość Francisco do Madrytu mógł powrócić, odczuwał wszelako niedostatek środków pieniężnych, a memorandum, w którym zwracał się do monarchy o przywrócenie mu dawnej pensji w wysokości czterystu eskudów, przyznanej mu niegdyś za służbę we Włoszech (służył jako

szpieg w Wenecji, skąd musiał salwować się ucieczką, dwóch zaś jego kompanów pod topór poszło) – wciąż pozostawało bez nijakiej odpowiedzi. To rozsierdzało go jeszcze bardziej, wyostrzając mu cięty język oraz geniusz, u Queveda parę nierozłączną, i powodowało, że nowych bied łącznie mógł sobie napytać.

– *Patientia lenietur Pńnceps* – pocieszał go Klecha Perez. – Cierpliwością będzie książę ubłagany<sup>1</sup>.

– A mnie, wielobny ojczy, stek szyderstw większą ulgę przynosi.

Jezuista rozejrzał się z obawą. Gdy tylko któryś z jego przyjaciół w kłopoty popadał, właśnie Klecha Perez jako człowiek duchowny musiał ręczyć zań przed władzą. Bywało, załatwiał im uniewinnienie *sub conditione*, choć zgoła o to nie zabiegali. Podstępem, jak mawiał kapitan. Mniej obłudny niż większość członków jego zgromadzenia, Klecha czuł nierzadko na sobie zaszczytny obowiązek łagodzenia konfliktów. Człkiem był obytym, dobrym teologiem, zrozumienie mającym dla ludzkich słabostek, do przesady wręcz dobrotliwym i łagodnym. To sprawiało, że bliźnim wielką pobłażliwość okazywał, dlatego w jego kościele niewiasty tłumnie z grzechów się spowiadały, zachęczone jego sławą mało surowego sędziego człowieczych sumień. Z kolei współbiesiadnicy Pod Turkiem nigdy w jego przytomności nie dyskutowali o nieczystych sprawkach ani o białogłowach. Taką zasadę przyjęli towarzysze w imię jego wyrozumiałości i przyjaźni. O deliktach i amorach rozmawiam w konfesjonale – mawiał. Jeżeli zaś jego duchowni przełożeni wytykali mu, że z poetami i zabijakami w gospodzie czas marnotrawi, odpowiadał, że święci sami o swe zbawienie zadbać potrafią, grzeszników trzeba zaś szukać w miejscach, do których uczęszczają. Dodam jeszcze gwoli jego chwały, że wina niemal nie pijał i nigdy nie słyszałem, by złym językiem o kimś prawił. Co tak w ówczesnej, jak i dzisiejszej Hiszpanii w ustach kapłana jest rzeczą niezwykłą.



– Zachowajmy ostrożność, panie Quevedo – dodał teraz po wygłoszeniu kolejnej sposobnej sentencji łacińskiej. – Kondycja waszmości nie sprzyja temu, byś mamrotał takie rzeczy wszem wobec.

Mość Francisco zerknął na Klechę, poprawiając sobie szkła.

– Ja i mamrotanie?... Jesteś w błędzie, Klecho. Ja nie mamroczę, ja stwierdzam wszem wobec.

I stanąwszy na równe nogi, zwracając się ku pozostałym, wyrecytował uczonym, donośnym i jasnym głosem:

*Na ustach kładziesz palec, milczeć radząc, lub tymże palcem w czoło  
postukujesz.*

*Ty nie mów mi, żem wariat, nie strasz władzę.*

*Prawego ducha chcę wypłenić szuje?*

*Czy zawsze trzeba czuć to, co się rzecze?*

*Czy nigdy rzec nie wolno, co się czuje?*

Juan Vicuña i licencjat Calzas przyklasnęli, Cyklop Fadrique skinął posępnie głową. Kapitan Alatryste spoglądał na mość Francisca z szerokim, melancholijnym uśmiechem, Klecha Perez zaś, uznawszy sprawę za przegraną, muszkatelowi mocno wodą chrzczonego uwagę poświęcił. Poeta tymczasem znów atakował, tym razem przywołując sonet, do którego chętnie wracał od czasu do czasu:

*Mam przed oczami mej ojczyzny mury,  
Co ongiś mocne, dzisiaj legły w gruzach...*

Caridad Cyganicha pozbiwała ze stołu opróżnione dzbany i, poprosiwszy o umiarkowanie, oddaliła się, kręcąc biodrami. Wszyscy wzrokiem za nią podążyli prócz Klechy, mocno swym muszkatelem zajętego, i mości Francisca, co kolejny toczył właśnie bój z milczącymi upiorami:

Oto *i dom mój, co też się rozpada*, On, który dawniej moją był opoką;  
Laska podpory nie da nawet ćwierci.

*A oto rdzą przeżarta wierna szpada;  
Gdziekolwiek wokół spojrzę moje oko,  
Wszędy dostrzegam już zwiastuny śmierci*

Do gospody weszło właśnie kilku nieznanym, przeto Diego Alatryste położył na ramieniu poety swą dłoń, do spokoju go przywołując. „Zwiastuny śmierci!” – powtórzył jeszcze na koniec mość Francisco, tym razem bardziej do siebie, siadł i ujął w dłoń kolejny dzban, podany mu przez kapitana. Prawdą jest, że pan de Quevedo żył w stolicy zawsze od więzienia do więzienia albo od banicji do banicji. I może dlatego, chociaż kiedyś zakupił był tu domy (których czynsz częstokroć podkradali mu zarządcy), nigdy nie próbował zapuścić na stałe korzeni w Madrycie, wybierając noclegi w przybytkach publicznych. Przeciwności rzadko wytchnąć mu dawały i krótkimi ów szczególny człek okresami dobrobytu się cieszył. Postrach wrogów i radość dla przyjaciół, choć o jego względy zabiegali tak możni, jak i geniusze pióra, a przecież zdarzało się, że sakiewka jego haniebnymi świeciła pustkami. Fortuna zmienną jest panią, a choć zmiany u niej częste, jakoś nigdy ku lepszemu nie prowadzą.

– Bić się nam *przyjdzie* – rzucił poeta po upływie kilku chwil.

Mówił zadumany, do własnych myśli. Jedno oko na amen w winie miał skąpane, drugie podążało rychło w ślad za pierwszym. Alatriste, wciąż trzymając dłoń na jego ramieniu, pochylił się i ze smutnym uśmiechem zagadnął: – A przeciw komuż to, mości Francisco?

Wyrzekł to z miną nieobecną, jakby odpowiedzi się nie spodziewał. Tamten uniósł palec w górę. Szkła zsunęły mu się z nosa i dyndały teraz na tasiemce, ledwie dwa cale nad krawędzią dzbana.

– Przeciw głupocie, niegodziwości, przesądom, zawiści i ignorancji – powiedział powoli, bodaj wpatrując się w swe odbicie w trunku. – Inaczej mówiąc, przeciwko Hiszpanii, przeciwko wszystkiemu.

Słuchałem tych wywodów w zadziwieniu i z niepokojem, siedząc na moim taboreciku przy drzwiach. Domyślałem się, że za cierpkimi słowami mości Francisca kryją się mroczne powody, których umysłem ogarnąć nie byłem zdolny, a których ani chybi nasz krewki poeta nie potrafił unicestwić lada napadem gniewu. Młodym będąc, nie miałem świadomości, jak srogo można mówić o czymś, co się kocha, i że właśnie afekt ten upoważnia do cierpkich słów. Mość Francisca de Quevedo, co poniewczasie pojąłem, cierpieniem napawała Hiszpania. Hiszpania wciąż w świecie postrach budząca, ale pomimo blichtru i pysznego wizerunku, pomimo naszego młodego, sympatycznego króla, pomimo narodowej dumy i mężnych czynów wojennych, ta Hiszpania z wolna zasypiała, omamiona blaskiem złota i srebra przyplywającego na galeonach z Indii. A przecież owo złoto i srebro przepadało w gnuśnych, znieprawionych i próżniaczych rękach magnatów, urzędników i kleru, marnotrawione na jałowe awantury w rodzaju wznowionej właśnie kosztownej wojny w Niderlandach, a na wszelką krytykę owych poczynań możni panowie jeżyli się, jakby im wszystkie piki z flamandzkiego frontu wyrosły na grzbiecie. Takoz i sami Holendrzy, z którymi bo jeśmy toczyli, odprzedawali nam produkty swych

manufaktur i nawet w samym Kadyksie kontrakta kupieckie byli podpisali, żeby tylko dorwać się do szlachetnych metali, które nasze statki, uykając przed ich korsarzami, z Zachodu przywoziły. Aragończycy i Katalończycy chronili się za praw swych zasłoną, posłuszeństwo Portugalii wisiało na włosku, handel kontrolowali cudzoziemcy, finansami zawiadywali bankierzy genueńscy, pracą zaś zajmowali się jedynie nieszczęśni włościanie, bez litości oskubywani przez magnackich i królewskich poborców. A wśród tego zepsucia i szaleństwa pożałowania godna Hiszpania rzuciła harde wyzwanie nowym czasom niby wspaniały i z pozoru groźny zwierz, co to jeszcze zbrojną w pazury łapą machnąć potrafi, lecz serce tumor już mu zżera – tak i ojczyznę naszą gangrena od wewnątrz zjadała, nieuchronnie ku przepaści ją wiodąc, co przecież swymi jasnowidzącymi oczyma mość Francisco de Quevedo wyraźnie zauważał. Do mnie wszelako w owym czasie docierało li tylko ostrze słów jego, rzucałem przeto trwożliwe spojrzenia na zewnątrz w obawie, że lada chwila pojawią się tam pachołkowie sędziego, kolejny rozkaz więzienia za zuchwalstwo i butę poety niosący.

I wtedy to ujrzałem karocę. Szalbierstwem z mej strony byłoby utrzymywać, że jej przejazdu nie oczekiwałem, przecież defilowała ulicą Toledo mniej więcej o tej samej porze dwa albo trzy razy w tygodniu. Była czarna, obita skórą i czerwonym aksamitem, a stangret nie siedział na koźle, ale paradował na grzbiecie jednego z pary mułów, jak to było w zwyczaju przy tego typu powozach. Sama kareta sprawiała wrażenie solidnej, choć dyskretnej, właściwej osobistościom wysoko postawionym, które atoli nie mogły lub nie chciały swej pozycji demonstrować. Musiała należeć do bogatego kupca albo ważnego urzędnika, który szlachetnie urodzonym nie będąc, cieszył się przecie sporą władzą na Dworze.

Mnie jednak mniej obchodził sam pojazd, bardziej zaś jego zawartość. Owa wciąż dziecięca dłoń, biała niby alabaster, leciutko wysunięta i oparta o ramę okienka. Złoty odbłysek słońca w jasnych, długich włosach, utrefionych w loki. No i oczy. Dużo wody upłynęło od tamtego czasu, niejedną przygodę i niejedną gorycz zawdzięczałem tym błękitnym klejnotom w nadchodzących latach, a mimo to nawet dzisiaj opisać nie jestem zdolny waszmościom wrażenia, jakie jej jasne, przeczyste spojrzenie, zwodniczo nieskalane, na mnie wywarło, spojrzenie koloru madryckiego nieba, tak doskonale odmalowanego później przez ulubionego malarza naszego Najjaśniejszego Pana, czyli mość Diega Velazqueza.

W owym czasie Angelica de Alquezar musiała mieć jedenaście, może dwanaście lat, ale już znać było w niej obietnicę niezwyklej piękności, jaką z czasem się stała, o czym przekonuje sam Velazquez swym wybornym obrazem, do którego pozowała w roku 1635. Atoli z górą dziesięć lat wcześniej, owego marcowego poranka poprzedzającego incydent z Anglikami, pojęcia nie miałem, kim jest ta młoda dama, dziewczę jeszcze, które co dwa lub trzy dni przejeżdżało karocą przez ulicę Toledo w kierunku placu Mayor i Pałacu Królewskiego, gdzie – o czym dowiedziałem się później – towarzyszyło królowej i księżniczkom jako dworka, a to dzięki pozycji, jaką zajmował na Dworze jej wuj, Aragończyk Luis de Alquezar, naówczas jeden z najbardziej wpływowych sekretarzy króla.

Dla mnie owa jasnowłosa twarzyczka w okienku karocy jawiła się niczym niebiańska wizja, cud niemalże, tak odległy od mej kondycji śmiertelnika, jak słońce czy też najpiękniejsza gwiazda odległe były od tego rogu ulicy Toledo, gdzie koła powozów i kopyta mułów bryzgały bezlitośnie błotem na każdego, kto śmiał stanąć na ich drodze.

Owego poranka wszelako coś złamało ustalony porządek. Miast przejechać mimo i pomknąć dalej ulicą, zostawiając mnie jeno z ulotną, a dobrze już znaną wizją jasnej pasażerki, karoca zwolniła, by nareszcie zatrzymać się prawie na mej wysokości, może ze dwadzieścia kroków od wejścia do Gospody Pod Turkiem. Kawalek beczkowej klepki przylepił się wraz z błotem do koła powozu i podczas jazdy w końcu zablokował oś. Stangretowi nie pozostawało zatem nic innego, jak wstrzymać muły i zeskoczyć na ziemię, a raczej w błoto, by zawadę usunąć. Owóz zdarzyło się, jak to bywa na ulicach, że zaraz pojawiła się grupka młokosów i jęła szydzić z woźnicy, ten więc za bicz chwycił, by precz ich popędzić. Nadaremnie. Madryckie huncwoty były podówczas swarliwymi kpiarzami i potrafiły się naprzykrzać jak muchy bydłce – *gdybym w Madrycie się zrodził, ostrzej prowadziłbym spór*, jak śpiewano w popularnej romancy – ponadto zaś nie co dzień nadarza się wyborna sposobność, by poćwiczyć celność na prawdziwej karocy. Uzbrowieni w pecyny błota, poczęli przeto popisywać się precyzyjnymi trafieniami, wykazując przy tym sprawność, jakiej pozazdrościć by im mogli najprzedniejsi arkebuzerzy naszych regimentów.

Podniosłem się zaniepokojony. Los stangreta za nic miałem, pojazd wszelako służył do przewozu czegoś, co w moim pacholęcym mniemaniu było najcenniejszym towarem, jaki potrafiłem sobie wyimaginować. Ponadto mieniłem się synem Lopego Balboi, męża chwalebnie poległego pod sztandarem Najjaśniejszego Pana.



Nie miałem przeto wyboru. Zdecydowany bić się natychmiast w obronie tej, którą – wciąż z dala i z największym należnym jej respektem – uważałem już jednak za swą damę, rzuciłem się na małych łapserdaków i rozdawszy ze dwa mocne kuksańce tudzież dwukrotnie więcej kopniaków, rozniosłem wrogie siły. Te w konsekwencji rozpierzchły się precz, pozostawiając na placu boju mnie w pełnej glorii.

Z rozpędu – choć, przyznam tu szczerze, zgoła rozmyślnego – znalazłem się tuż obok karocy. Stangreta nie dręczyła chyba potrzeba ceregieli,

popatrzył więc na mnie tylko spode łba i powrócił do przerwanej roboty. Już miałem się wycofać, gdy w okienku pojawiła się para błękitnych oczu. Widok ten na amen mnie unieruchomił, czułem tylko, jak na twarz uderza mi pąs z siłą wystrzału. Dziewczę, panienka wpatrywała się we mnie z taką uporczywością, że mogłaby spojrzeniem bieg wody w pobliskiej fontannie powstrzymać. Jasne włosy. Biała cera. Niezwykła uroda. Ach, co będę waszmościom opowiadał. Nie uśmiechnęła się nawet, tylko przypatrywała mi się z zaciekawieniem. Rzeczy siłą postępek mój nie mógł pozostać niezauważony. Dla mnie zaś owo spojrzenie, owo zjawisko wynagrodziło ze szczętem wysiłek włożony w całe zajście. Uniosłem dłoń ku miejscu, gdzie kapelusz znajdować się winien, i skłoniłem się.

– Inigo Balboa, do waszych usług – wybełkotałem, przydając wszakże słowom mym niejakię twardości, którą uważałem za znak galanterii. – Paż osobisty kapitana Diega Alariste. Panienka z niezmaconym spokojem wytrzymała me spojrzenie. Stangret wsiadł już na muła i ponaglił zwierzęta, powóz przeto miał za chwilę ruszać. Dałem krok nazad, nie chcąc, by mnie koła błotem zbrukały, w tym momencie jednak ona położyła swą drobną, idealną, śnieżnobiałą dłoń na ramie okienka, a mnie zdało się, że oto podaje mi ją do ucałowania. Wówczas usta jej, o wybornym rysunku, leciutko zadrżały, układając się w coś, co jeśli nie uśmiechem było, nieobecny, zagadkowy i zgoła tajemniczy, to z pewnością mogło go zwiastować. Posłyszałem trzaśnięcie biczem, karoca drgnęła i powiozła w dal ów uśmiech, który do dziś dnia nie wiem, rzeczywistością był albo też przywidzeniem. I zostałem tam pośrodku ulicy, zakochany każdym mego serca zakamarkiem, patrząc, jak oddala się ode mnie dziewczyna białemu aniołowi podobna, i nie wiedząc, nieszczęsny, zem właśnie poznał mego najśłodszeo, najgorszeo i najbardziej śmiertelneo wroga.







## IV. ZASADZKA



W marcu noc zapada rychło. Jeszcze po niebie błąkał się jaśniejący skrawek, wąskie uliczki wszakże, skryte pod cienistymi okapami dachów, spowijały egipskie ciemności. Kapitan Alatryste i jego współnik wybrali ciasny, mroczny i opuszczony zaułek, którym dwaj Anglicy musieli przejeżdżać, udając się do Domu pod Siedmioma Kominami. Od posłańca dowiedzieli się o planowanej godzinie i trasie przejazdu przybyszów. Umyślny dostarczył też ich najświeższy konterfekt, dla uniknięcia omyłki: mister Thomas Smith, młodzieniec o jaśniejszych włosach i w starszym wieku, podązał na jabłkowitym koniu i miał na sobie strój podróżny w kolorze szarym, dyskretnymi ornamentami ze srebra zdobny, wysokie buty z równie szarej skóry i kapelusz ze wstęgą takiejże barwy. Co zaś się tyczy mister Johna Smitha, tego młodszego, jechał na bułanku. Odziany był w barwę kasztanową, skórzane buty i kapelusz z trzema niewielkimi, białymi piórami. Obydwaj zakurzeni i utrudzeni wielodniową jazdą wierzchem. Ekwipunek wieźli skąpy, upakowany w dwa sakwojaże przytroczone rzemieniami do zadów swoich wierzchowców.

Ukryty w cieniu bramy, Diego Alatryste popatrzył ku lampie, którą razem ze współnikiem powiesili byli w zakolu uliczki, by oświetliła jadących, nim tamci zdolają dostrzec zaczajonych. Gościuiec, zakręcający tu pod kątem prostym, odchodził od ulicy Barquillo, wedle pałacu hrabiego Guadalmediny, i przemykając wzdłuż muru ogrodu przy klasztorze Karmelitów Bosych, dochodził do samego Domu pod Siedmioma Kominami, przy skrzyżowaniu ulic Torres i Infantas. Na pułapkę wybrany został pierwszy odcinek, gdzie mrok zalegał najgęstszy z uwagi na ciasnotę i odosobnienie. Tam bowiem zaatakowanych zniecka jeźdźców można było bez trudu z koni zrzucić.

Brał ziąb, kapitan otulił się przeto szczelniej swym nowym płaszczem, nabytym dzięki zaliczce w złocie, otrzymanej od zamaskowanych mężczyzn. Gdy to czynił, zadzwoniło lekko żelazo, które przypięte miał pod spodem: to lewak trącił czubkiem rękojeści rapiera i kolbę nabitego i pełnego prochu pistoletu, który wsunął był za pas na plecach, gdyby trzeba było uciec się do ostateczności, czyli do owego hałaśliwego i bezlitosnego przyrzędu, zakazanego wyraźnie przez królewskie edykty, atoli zabieranego w szczególniejszych okazjach na wypadek, gdyby poważne terminy nadejść miały. Owej nocy Alatryste dopełnił swe oporządzenie napierśnikiem z bawolej skóry, chroniącym korpus przed ewentualnymi sztychami, oraz nożem rzeźnickim, wsuniętym za cholewę jednego ze swych starych butów o wygodnych, zdartych podeszwach, dzięki którym mógł pewnie stanąć na gruncie, gdy zacznie się bal.

O, *przeklęta nieopatrzność*, Nie mam szpady przy mym boku...

... zaczął recytować pod nosem, skracając sobie czas oczekiwania. Wyszpeptał jeszcze kilka fragmentów *Owczego Źródła* Lopego, które było

jedną z jego ulubionych sztuk, i na powrót zamilkł, z obliczem skrytym pod szerokim rondem nasuniętego na oczy kapelusza. Opodal jego posterunku, w podcieniu wrót wiodących do ogrodu karmelitów, poruszył się leciutko drugi cień. Po upływie pół godziny kompletnego bezruchu Włoch musiał zdrętwieć tak jak i on sam. Osobliwa postać. Na spotkanie przybył odziany na czarno, owinięty czarnym płaszczem i w czarnym kapeluszu, a jego twarz upstrzoną dziobami po ospie ożywił uśmiech jeno w chwili, gdy Alatryste podsunął myśl, by latarnię zawiesić, która oświetli załom ulicy obrany na miejsce zasadzki.

– To mi się podoba – rzucił krótko swym zduszonym, szorstkim głosem.  
– Oni w świetle, my w cieniu. Tam widać, tu nie widać.

Po czym jął gwizdać swoją najwyraźniej ulubioną melodyjkę, *tiruri-ta-ta*, gdy po cichu, sprawnie i biegle podzielili się adwersarzami. Alatryste miał zająć się starszym z dwóch młodzieńców, szarym Anglikiem na koniu jabłkowitym, Włoch zaś skierowałby swą głównię ku temu w brązach na bułanku. Żadnej strzelaniny, wszystko miało przebiec w dyskrecji koniecznej, by – kiedy już przeszkoda zostanie usunięta – móc bagaże przeszukać, dokumenty odnaleźć i, rzecz jasna, od złota świeżą padlinę uwolnić. Gdyby hałas poczynili i gawiedź zwabili, całe przedsięwzięcie byłoby diabła warte. W dodatku Dom pod Siedmioma Kominami stał nieopodal i służba angielskiego posła mogła przybyć rodakom z odsieczą. Należało zatem przeprowadzić atak szybki i skuteczny: ciach, ciach, hop i po krzyku. Idźcie w drogę do piekieł czy dokąd tam heretyków posyłać należy. Ci przynajmniej nie będą wrzaskliwie spowiedzi się domagać, jak to dobrzy katolicy czynić zwykli, budząc przy tym pół Madrytu.

Kapitan poprawił sobie płaszcz na ramionach i zerknął w kierunku zakrętu uliczki, oświetlonego bladym płomykiem lampy. Lewica jego spoczywała pod ciepłym sukniem na rękojeści rapiera. Przez moment myśli

zaprzętało mu pytanie, iluż to ludzi w życiu zgładził: nie w czasie wojny, gdzie pośród zawieruchy trudno sprawdzić skutek ciosu czy wystrzału z arkebuzą, ale z bliska, twarzą w twarz. Kwestia stawania do walki twarzą w twarz była rzeczą istotną, dla niego przynajmniej. Diego Alatriste, w przeciwieństwie do innych płatnych zabijaków, nigdy nie godził w drugiego człowieka od tyłu. Prawda, nie zawsze miał okazję ustawić się odpowiednio, nie ulega wszelako wątpliwości, że nigdy nie zadał ciosu komuś, kto nie byłby ku niemu zwrócony i główni nie miałby na wierzchu. Pominąwszy pewnego strażnika holenderskiego, zarżniętego w środku nocy, ale to była okoliczność wojnie właściwa, podobnie jak z tyłoma innymi protestantami, co bunt w Maastricht podnieśli, czy z mnóstwem innych przeciwników na śmierć podczas kampanii posłanych. Nie żeby w owych czasach larum w tej sprawie od razu wzniecano, kapitan wszakże należał do ludzi baczących, by wymówka pozwoliła mu zachować choć trochę szacunku dla samego siebie. Każdy skacze po szachownicy życia tak, jak umie. Trzymając się takiego kodeksu, mógł kapitan liczyć, że uzyska choćby słabe usprawiedliwienie lub sumienie uspokoi. A jeśli nawet to nie wystarczało, jeśli widać było w jego oczach, że gorzałka zbudziła dręczących go wszystkich czartów, czuł, że przynajmniej ma się na czym oprzeć, gdy wstręt kazał mu siadać i z nadmiernym zaciekawieniem wpatrywać się w czarne otwory pistoletowych luf.

Wreszcie się doliczył: jedenastu. Nie licząc wojny, miał na sumieniu czterech zabitych w żołnierskich pojedynkach we Flandrii i Włoszech, jednego w Madrycie i jeszcze jednego w Sewilli. Za przyczyną zakładu, wyzywających słów albo z powodu kobiety.



Pozostali to sprawy na zlecenie: pięciu ludzi wystawionych na cel rapiera. Każdy z nich był człkiem sił pełnym i zdrowym, bronić się zdolnym, niektórzy z nich wręcz łotrami spod ciemnej gwiazdy mienić się mogli. Żadnego przeto wyrzutu sumienia kapitan nie odczuwał, wyjąwszy dwa przypadki. Jeden to był galancik pewnej damy, której mąż nie miał wystarczającej fantazji, by samemu rogi ze łba sobie zgolić – chłopak popił

był nadmiernie owej nocy, gdy Diego Alatryste zaskoczył go w mrocznym zaułku. Kapitan na zawsze miał zapamiętać jego mętne spojrzenie, nierozumiejące tego, co się właśnie działo, a choć zdołał chwiejną dłonią za rapier chwycić, ledwie go z pochwy wydobył, już jego własna pierś przebita była żelazem. Drugi to piękniś z Dworu, naiwne chłopię jeszcze, ustrojony w kokardki i wstążeczki, którego obecność pośród żywych mocno doskwierała hrabiemu de Guadalmedina, a to z uwagi na proces, na testament i spadek. Otóż więc mość Guadalmedina polecił Diegowi Alatryste uprościć prawną procedurę. Rzec została rozstrzygnięta podczas wycieczki, jaką ów młodzian, niejaki markiz Alvaro de Soto, odbył z przyjaciółmi ku Fontannie Stalowej, ażeby pozalecać się do niewiast, co po wodę przychodziły po drugiej stronie mostu w Segovii. Lada pretekst, jakieś szturchnięcie, kilka oszczerstw w tę i nazad rzuconych, a już ów ledwie dwudziestoletni chłopak gniewem się uniósł i pochopnie za rękę chwycił. Wszystko potoczyło się błyskawicznie, a nim ktokolwiek mrugnąc zdołał, już kapitan Alatryste współ z dwoma kompanami, co tyły mu osłaniali, ulotnił się jak kamfora, zostawiając markiza bez ducha i solidnie krwią broczącego. A działo się to na przerażonych oczach dam i współtowarzyszy fatalnej wycieczki. Potem nawet i głośno o tej sprawie było, ale wpływy Guadalmediny dostateczną zabójcy ochronę zapewniły. Wszelako Alatryste długo nie mógł dojść do siebie, ścigany wspomnieniem trwogi na pobladłym obliczu chłopca, który choć zgoła nie zamierzał pojedynkować się z owym nieznajomym wąsaczem o zimnych, jasnych oczach i groźnych rysach, przecież musiał sięgnąć po żelazo, bo rzecz odbywała się w przytomności dam i przyjaciół. Mówiąc krótko, kapitan przekuł mu szyję zwykłym ciosem wyprowadzonym z pełnego obrotu, gdy tamten dopiero usiłował przyjąć bojową pozycję, pilnując rytmu i

właściwego ułożenia ciała, zgodnie z tym, co niegdyś wykładał mu w schludnej sali ćwiczeń nauczyciel szermierki.

Jedenastu ludzi – przeliczył jeszcze raz Alatryste. Na domiar złego, wyjąwszy młodego markiza i jednego uczestnika pojedynku we Flandrii, żołnierza nazwiskiem Carmelo Tejada, nie był sobie w stanie żadnego spośród pozostałych dziewięciu nazwisk przypomnieć. Może ich zresztą nigdy nie był poznał. Dlatego też teraz, czekając w ukryciu na ofiary zasadzki i znosząc ćmiącą go wciąż ranę, która uwiązała go na czas jakiś w stolicy, Diego Alatryste ponownie zatęsknił za flamandzkimi równinami, za trzaskaniem arkebuzów, za rzeniem koni, za znojnymi zmaganiem ramię z ramię z towarzyszami broni, za warkotem tarabanów i za regimentami spokojnie ruszającymi na pole bitwy pod dobrze znajomymi sztandarami. W porównaniu z Madrytem, z tą uliczką, gdzie szykował się, by zgładzić dwóch nigdy przedtem niewidzianych mężów, w porównaniu z jego własnymi wspomnieniami – wojna i jej zgiełk jawiły mu się owej nocy jako coś czystego i odległego, gdzie wrogiem jest ten, co stoi naprzeciw, a Bóg, jak powiadali, stał zawsze po naszej stronie.

Na wieży u karmelitów wybiła ósma. Kilka zaledwie chwil później, jak gdyby dzwony sygnałem były, odgłos kopyt końskich dobiegł z drugiego krańca ulicy, zza załomu klasztornego muru. Diego Alatryste zerknął w stronę drugiego cienia schowanego w mroku przy furcie i po melodyjce z cicha zagwizdanej poznał, że tamten też jest w gotowości. Rozwiązał rzemyk płaszcza, zdjął go, by mu ruchów nie krepował, i złożył w kostkę na ziemi w bramie. Wpatrywał się uważnie w oświetlony latarnią narożnik, wsłuchując się w narastający klekot podkutych kopyt. Żółtawe światło odbiło się w odsłoniętej klindze Włocha po drugiej stronie.

Kapitan poprawił na sobie napierśnik i wysunął rapier z pochwy. Podkowy dźwięczały tuż za rogiem, na przeciwległej ścianie już zaczął się



rysować olbrzymi nad miarę cień ludzkiej sylwetki. Alatryste westchnął głęboko pięć, może sześć razy, by złe humory z piersi precz przepędzić, i z jaśniejszym umysłem tudzież w lepszej kondycji z mroku kryjówki wychynął, rapier w prawicy dzierżąc, a drugą po lewaka sięgając. Po tamtej stronie z ciemnej wnęki bramy wysunęła się druga postać, stał połyskiwała w obu jej dłoniach. Obydwaj napastnicy ruszyli pospołu ku tamtym istotom, które światło latarni już z czerni nocy wyłuskało, cienie ich na mur rzucając. Krok, dwa, jeszcze jeden. Zaulek był piekielnie ciasny, wszystko znajdowało się tuż, tuż. Cienie w okamgnieniu zmieszały się ze sobą, a towarzyszył im błysk stali, przestach w zaskoczonych oczach i gwałtowny oddech Włocha, który rzucił się ku wybranej ofierze. Podróżni podążali na piechotę, prowadząc wierzchowce za cugle. Początek prostym się wydawał do chwili, gdy Alatryste zaczął wzrok z jednego na drugiego przesuwając, by swego przeciwnika rozpoznać. Jego włoski towarzysz musiał być bystrzejszy albo bardziej rezolutny, bo niby grom natarł na bliższego przybysza, już to dlatego, że błyskawicznie wyłowił z mroku swego Anglika, już to dla obojętności, z jaką uprzednie ustalenia traktował, uznając, że trzeba ruszyć na tego, co przodem idzie i mniej czasu ma na przygotowanie. Tak czy też inaczej, wybrał trafnie, Alatryste dostrzegł bowiem jasnowłosego młodzieńca, odzianego w brązową szatę i prowadzącego za cugle bułanka. Chłopak wydał okrzyk i w bok uskoczył, cudem unikając sztychu, jaki Włoch ku niemu natychmiast skierował, by nie dać ofierze nawet czasu na wyciągnięcie broni.

– Steenie!... Steenie!

Brzmiało to bardziej jak ostrzeżenie pod adresem współtowarzysza podróży niżli wołanie o pomoc. Alatryste słyszał owo zawołanie dwukrotnie, sam tymczasem ruszył w swoją stronę, wyminął zad konia, który swobodę poczuwszy, jął wolty czynić, i z rapierem gotowym rzucił

się ku drugiemu Anglikowi, temu w szarym odzieniu, w skąym świetle nadzwyczaj podobnemu do tamtego. Włosy również miał bardzo jasne, jako i cieniutki wąsik. Ów młodzian właśnie puścił wodze swego konia i kilka kroków wstecz dawszy, swą głównię z pochwy z prędkością błyskawicy wysunął. Heretyk nie heretyk, sprowadził tym samym sytuację na właściwe tory, kapitan ruszył tedy ku niemu otwarcie. Anglik wyciągnął rapier daleko przed siebie, chcąc zwiększyć dystans, Alariste stanął pewnie jedną stopą, drugą wysunął ku przodowi, zadał wrogowi raptowny cios, a gdy tamten odbił mu głównię, momentalnie lewakiem zaatakował, by ostrze Anglika na bok odepchnąć i szyki mu popsuć. Przeciwnik cofnął się jakie cztery kroki i z desperacją bił się, plecami do muru stojąc i ledwie miejsce na składne ruchy mając, kapitan tymczasem nieustępliwie i sprawnie przymierzał się już, by w pierwszą lepszą odśloniętą dziurę sztych rapiera wepchnąć i sprawę tym samym zakończyć. Rzecz nie wydawała się trudna, jako że w młodzianie, lubo walczył mężnie i dłoń miał pewną, jednak czupurność i zapamiętanie brały górę. Alariste słyszał za plecami brzęk stali Włocha i drugiego Anglika, ich zziajane oddechy i rzucane przekleństwa, kątem oka dostrzegał taniec ich cieni na pobliskim murze.

Wtem wśród szczeku broni jęk się rozległ i kapitan ujrzał, jak cień młodszego z Anglików osuwa się na kolana. Ranę musiał otrzymać, gdyż z trudem coraz większym bronił się w tej zgoła niewygodnej pozycji przed nacierającym Włochem. Fakt ów drugiego przybysza do cna z równowagi wytrącił: ni stąd, ni zowąd opuściły go instynkt przetrwania i zwinność, z jaką dotąd lepiej lub gorzej stawiał czoło przeciwnikowi.

– Oszczędź mego towarzysza! – zawołał, parując kolejny cios. Mówił prostą hiszpańszczyzną, z silnym obcym akcentem. – Oszczędź mego towarzysza!

Rozproszony widokiem i własnymi krzykami utracił dotychczasową czujność, kapitan przeto przy najbliższej nadarzającej się okazji dzięki szybkiej fincie lewakiem pozbawił go broni. Niech diabli porwą tego schizmatyka i jego jaja! – pomyślał. Jakże można błagać o litość dla drugiego, gdy samemu się zaraz będzie wachało kwiatki od spodu? Rapier Anglika jeszcze na ziemię nie opadł, gdy Alatryste skierował puntę swojej broni prosto ku szyi tamtego i o pięć łokieć cofnął, by gardziel mu przeszyć bez trudu i zabawę tę zakończyć. Oszczędź mego towarzysza... trzeba być durniem albo Anglikiem, żeby wrzeszczyć coś podobnego pośród madryckiej nocy, gdy wokoło siecze stal.

Podówczas Anglik uczynił znowu coś przedziwnego. Miast o zmiłowanie dla siebie błagać lub – co też niewykluczone, jako że wyraźnie był bojaźni pozbawiony – po bezużyteczny już sztylecik sięgnąć, co go miał do pasa przytroczony, ten jeszcze raz z rozpaczą popatrzył na drugiego młodziana, który słabł coraz bardziej, i wskazując go Biegowi Alatryste, jął na powrót krzyczeć: – Oszczędź mego towarzysza!

Zdezorientowany kapitan wstrzymał na chwilę ruch ramienia. Ów jasnowłosy chłopak z wykwintnym wąsikiem, o długich włosach potarganych od długiej podróży i w szarym, pokrytym pyłem odzieniu, lękał się tylko o swego kompana, który zaraz miał zginąć z ręki Włocha. Dopiero teraz, przy lampie, co nadal miejsce potyczki oświetlała, Alatryste mógł się nareszcie przyjrzeć błękitnym oczom Anglika, jego szczupłej, bladej twarzy zdjętej trwogą, która – to widać było aż nadto dobrze – nie wynikała ze strachu przed własną śmiercią. Dłonie jasne, delikatne. To był arystokrata. Aż czuć w nich obu było ludzi bardzo szlachetnie urodzonych. A to z kolei – pomyślał, błyskawicznie przypominając sobie rozmowę w osobnikami w maskach, z których jeden pragnął, by nie polało się dużo krwi, drugi zaś, za przyzwoleniem inkwizytora Bocanegry, zabicia obydwu

podróżnych się domagał – to z kolei oznaczało zbyt wiele ciemnych stron całej sprawy, by rzecz można było załatwić tak po prostu: ciach, ciach i kwita.

Co za gówno. Gówniane gówno. Boże Przenajświętszy, do diabła ciężkiego i niech to lichy porwie. Nadal swój rapier ledwie piędź od gardła Anglika trzymając, Diego Alatryste zawahał się, co uwadze tamtego bynajmniej nie umknęło. Chłopak wówczas z miną nadzwyczaj szlachetną, niebywałą – zważywszy na opresję, w jakiej się *znalazł* – popatrzył mu w oczy głęboko i prawą dłoń z wolna ku piersi uniósł, na sercu swym ją kładąc, jakby przysięgę składał uroczystą, a nie prośbę zanosił.

– Oszczędź go! – poprosił ostatni raz, cicho, tonem zgoła konfidencjonalnym.

I Diego Alatryste, który wciąż zaklinał się na wszystkie demony, wiedział, że teraz już nie zdoła z zimną krwią zabić przeklętego Anglika, przynajmniej nie tej nocy i nie w owym miejscu. Wiedział także, opuszczając głównię rapiera i zwracając się ku Włochowi i drugiemu młodzianowi, że jak ostatni głupiec kolejny raz ładuje się w niebotyczną kabałę.

Nie ulegało kwestii, że Włoch bawił się w najlepsze. Nieraz już mógł rannego zgładzić, ale wciąż straszył go rozmaitymi zwodami i fintami, jakby rozkoszą napawało go odwlekanie momentu, gdy wreszcie cios ostateczny a śmiertelny zada. Przypominał chudego czarnego kota, co myszkę dręczy, nim ją w pazury chwyci. U jego stóp klęczał z ramieniem opartym o mur młodszy z Anglików, jedną ręką usiłując przez szatę zatamować sobie krew z rany brocząca, drugą zaś półprzytomnie i z ogromnym wysiłkiem odpierając ataki wroga. Nie błagał o litość, na jego śmiertelnie bladym obliczu malowała się determinacja godności pełna –

szczęki zacisnął i był gotów umrzeć bez jednego krzyku, bez skargi najmniejszej.

– Zostaw go! – zawołał Alatryste do Włocha. Ten przerwał w pół kolejnego cios i zerknął na kapitana, ze zdumieniem widząc wedle niego drugiego Anglika bez broni, a przecie wciąż dychającego. Zawahał się przez chwilę, jeszcze raz spojrzął na swego przeciwnika, zadał mu bez przekonania następne pchnięcie i na powrót na kapitana oczy swe zwrócił.

– Kpisz waszmość? – rzekł, cofając się o krok, by oddechu zaczerpnąć, i zafurkotał rapierem, siekąc w powietrzu na prawo i lewo.

– Zostaw go – powtórzył Alatryste dobitnie.

Włoch wpatrywał się weń uważnie, własnym uszom nie dowierzając. W bladym świetle latarni jego ospowate oblicze zdało się podobne do powierzchni księżyca. Po chwili wykrzywił usta i czarny wąsik w złowieszczym uśmiešku, odsłaniając śnieżnobiałe zęby.

– Co to za pierdoły? – zapytał w końcu.

Alatryste postąpił ku niemu o krok, Włoch zerknął szybko na jego rapier. Z ziemi ranny Anglik spoglądał zdziwionymi oczyma to na jednego, to na drugiego, nie mogąc pojąć, co właściwie się dzieje.

– To jakaś mętna sprawa – oświadczył kapitan. – Bardzo mętna. Przeto zabijemy ich innym razem.

Tamten nie spuszczał zeń wzroku. Jego uśmiech, zrazu coraz szerszy i coraz bardziej nieufny, raptem zniknął. Włoch pokręcił głową.

– Waszmość oszalałeś – powiedział. – Zapłacimy za to głowami.

– Biorę na siebie odpowiedzialność.

– Ach, tak...

Włoch jakby coś miarkował. I naraz w okamgnieniu wyprowadził ku leżącemu na ziemi Anglikowi cios tak błyskawiczny, że gdyby Alatryste nie zdążył sparować go swoim rapierem, chłopak byłby już na amen do muru

przygwożdżony. Mieląc przekleństwo pod nosem, Włoch odwrócił się, i tym razem to sam kapitan musiał się do całego swego szermierczego kunsztu i siły uciec, by odbić ledwie dwa cale od własnego serca kolejny cios, wymierzony przez napastnika z największą perfidią, na jaką stać śmiertelnika.

– Jeszcze się spotkamy! – zakrzyknął tamten. – Nie znasz dnia!

I gasząc latarnię jednym kopniakiem, czmychnął w ciemność, jaka na powrót ulicę spowiła. I tylko śmiech jego zabrzmiał po chwili gdzieś w oddali niczym złowróżbne przekleństwo.



## V. DWAJ ANGLICY



Młodszy Anglik nie był dotkliwie trafiony. Jego towarzysz wspólnie z Biegiem Alatryste ponieśli go bliżej latarni i na nowo ją zapalili. Tam, oparłszy go o mur ogrodu karmelitów, przyrzekli się ranie zadanej chłopcu przez Włocha. Było to jedno z tych powierzchownych draśnień, od których krwawi się obficie, gorszych skutków atoli nieprzynoszące, dzięki czemu później taki galant, rękę na temblaku od niewielkiej szkody nosząc, może się nią pysznić przed damami. Tutaj zaś i temblak nie zdawał się konieczny. Szaro odziany kompan rannego przycisnął mu czystą chustkę do rany pod lewą pachą, zaczęł ją mu na powrót koszulę, kaftan i kurtę zapinać, jednocześnie przemawiając doń cicho i łagodnie w swoim języku. Podczas tych zabiegów Anglik odwrócił się do kapitana plecami, jakby nie obawiał się już niczego z jego strony, ten zaś miał sposobność poczynić nowe obserwacje. Stwierdził na przykład, że szaremu Anglikowi, mimo pozornego spokoju, drżały dłonie, gdy szaty młodszego towarzysza rozpinał, ażeby zmiarkować, jak poważne ów odniósł obrażenia. Alatryste spostrzegł także jeszcze jedno: wprawdzie mowę angielską znał jedynie w zakresie, jaki stosowano w huku bitewnym

pomiędzy burtami okrętów bądź parapetami fortyfikacji – każdy hiszpański weteran posługiwał się jeno zwrotami w rodzaju *fakju* (pierdol się), *sonz ofde grejtbicz* (wy ciężkie skurwysyny) lub *uergojn tukat jurbols* (jaja wam urżniemy) – mimo to jednak kapitan stwierdził, że szaro odziany Anglik przemawia do swego kompana ze swoistym, uczucia pełnym respektem i że o ile tamten nazywał go Steenie, co bez wątpienia było imieniem czy poufałym przyjacielskim przezwiskiem, to ten do rannego nie zwracał się inaczej, jak *milord*. Tu leżał pies pogrzebany, a nie był to byle kundelek uliczny, liszajami pokryty, ale pies zgoła wielkiej rasy. Taką ciekawość to w Alatristem wzbudziło, że miast uciec, gdzie pieprz rośnie, jak podszeptował mu rozpaczliwie rozsądek, trwał cicho przy Anglikach, których dopiero co miał w ostatnią podróż wyekspediować, i z goryczą przeżuwał znane porzekadło: że ciekawość pierwszy stopień do piekła. Nie ulegało atoli wątpliwości, że po incydencie z Włochem i po wyraźnym żądaniu zamaskowanego męża i brata Emilia Bocanegry, by definitywnie rzecz załatwić, widział przed sobą również dalsze stopnie piekielne. Zatem czyby uciekał, został czy *chaconę* odtańczył, wyszłoby na to samo. Chować głowę w piasek jak struś, ów dziwaczny ptak, co podobno zamieszkuje w Afryce, niczego nie rozwiązywało, na dodatek nie licowało z charakterem Diega Alatriste. Miał świadomość, że parując sztych Włocha, uczynił krok w kierunku, z którego zawrócić już nie mógł, nie pozostawało mu przeto nic innego, jak zagrać nowymi kartami, jakie Los szyderca w dłonie mu wsuwał – lubo były to karty dużo podlejsze. Popatrzył na obydwu młodzieńców, którzy o tej porze zgodnie z umową (brzęczała mu w kieszeni zaliczka w złocie) mieli już być sztywni, i poczuł na kołnierzu krople potu. Parszywy mój los – przeklął w duchu. Zacny moment doprawdy wybrał sobie, by się w honorowego szlachcica pełnego skrupułów bawić w jakiejś



podejrzanej uliczce madryckiej, gdy takie chmury nad głową się gromadzą. A to dopiero zwiastuny burzy.

Szary Anglik powstał i jął kapitana wzrokiem mierzyć. Ten z kolei ponownie przyjrzał mu się w świetle latarni: kręcony jasny wąsik, elegancka powierzchowność, podkrążone od strudzenia błękitne oczy. Mógł dobiegać trzydziestki, ale wyglądał nader godnie. I podobnie jak jego kompan, blady był jak alabaster. Krew odeszła im z obliczy w chwili, gdy Alatryste i Włoch napadli na nich z nienacką, i dotychczas nie wrócili.

– Jesteśmy waszmości dłużnikami – ozwał się ten szary i po dłuższej przerwie dodał: – Mimo wszystko.

Mówił hiszpańszczyzną mocno niedoskonałą, zepsutą północnym, czyli brytyjskim akcentem. Ton brzmiał szczerze. Łacno wnosić można było, że zarówno on, jak i jego towarzysz oto spotkali się byli ze śmiercią oko w oko, że dopadła ich nie przy akompaniamencie dziarskich werbli i innych ceregieli, ale po ciemku, niemal od tyłu, jak szczury w zaułku wiele mil odległym od najmniejszych śladów chwały. Doświadczenie zgoła wskazane dla tych reprezentantów stanu wyższego, którzy zbyt nawykli do wojenki przy wtórze piszczałek i tarabanów. Młody człowiek, przyznać trzeba, mrugał co chwila powiekami, choć oka z kapitana nie spuszczał, może zdziwiony, że wciąż jest pośród żywych. A prawdę rzekłszy, mógł już nie być, schizmatyk jeden.

– Mimo wszystko – powtórzył.

Kapitan nie wiedział, co rzec na to. Ostatecznie jednak, lubo incydent zakończył się inaczej, on i jego przygodny kompan dopiero co usiłowali zabić dwóch młodych panów Smithów, czy jak tam ich diabli wołają. Chcąc niezręczną ciszę jakoś zatuszować, rozejrzał się i dostrzegł na ziemi błysk rapiera swego niedawnego przeciwnika, ruszył ku niemu przeto i oddał go właścicielowi. Niejaki Steenie lub Thomas Smith, czy jakkolwiek się do

kroćset zwał, zważył broń w dłoni w zamyśleniu, nim do pochwy na powrót ją wsunął. I znów jął się w Diega Alatryste wpatrywać spojrzeniem swych szczerych błękitnych oczu, które w taką konfuzję kapitana wprawiało.

– W pierwszym momencie wzięliśmy was... – przemówił i zamilkł, jakby spodziewał się, że Alatryste zań dokończy. Ten wszelako ramionami jeno wzruszył. Naówczas ranny zrobił ruch, chcąc wstać może, niejaki Steenie zwrócił się wiec ku niemu, by pomocy mu udzielić. Obydwaj mieli już broń na powrót przy boku i z ciekawością przypatrywali się kapitanowi w świetle lampy stojącej na ziemi.

– Nie jesteś waszmość lada jakim zbójcą – orzekł na koniec rzeczony Steenie, któremu kolory z wolna jęły na twarz wracać.

Alatryste okiem rzucił na młodszego, którego kompan jego po kilkakroć tytułował słowem *milord*. Jasny wąsik, szczupłe dłonie, magnacki wygląd pomimo stroju podróznego, powalanego pyłem i brudem z drogi. Jeśli ten młodzian nie pochodził z bardzo dobrej rodziny, kapitan gotów był natychmiast wiarę bisurmańską przyjąć. Jak mu życie miłe.

– Jak wasza godność? – zapytał ów w szarym odzieniu.

Aż dziw brał, że jeszcze byli żywi, bo nie dość, że schizma, to jeszcze naiwność ich stoczyła. A może właśnie ta naiwność żywoty im ocaliła. Alatryste, uważacie waszmościowie, stał niewzruszony, słowa nie mówiąc. Nie nawykł do zwierzeń się posuwać, osobliwie w przytomności dwóch osobników, których dopiero co zamierzał zgładzić. Ów fircyk pewnikiem imaginował sobie, że on mu teraz serce otworzy jakby nigdy nic, ale w imię czego miałyby się tak stać, kapitan pojęcia nie miał.



I chociaż ciekawiło go nadzwyczaj, o co tu do diabła ciężkiego chodzi, pomyślał wszelako, że może lepiej będzie za pas nogi wziąć. Zagłębiać się teraz w pytania i eksplikacje bynajmniej wskazane nie było. Co gorsza, mógł się pojawić ktoś obcy: oddział sądowych łapaczy lub jakaś inna niewygodna osoba, która sytuację skomplikować mogła. To nie wszystko: mógł też powrócić Włoch ze swoim *timń-ta-ta* i większą kompanią, żeby

dzieła dokończyć. Ta myśl kazała mu zerknąć poza siebie, w głąb ciemnej ulicy. Trzeba było zabierać się stąd, i to co rychlej.

– Kto was nasłał? – indagował dalej Anglik. Alatryste bez słowa ruszył po swój płaszcz, złożył go i narzucił na ramię, by jedną rękę mieć swobodną w razie, gdyby trzeba było znów do rapiera się uciec. Opodał wałęsały się konie, ciągnąc wodze po ziemi.

– Wsiadajcie i odjeżdżajcie stąd – odezwał się w końcu.

Człowiek zwany Steenie nie drgnął, zagadał jeno do swego towarzysza, który dotąd ni słowa po hiszpańsku nie wyrzekł i ledwo co z naszej mowy rozumiał. Zamienili ze sobą po cichu kilka zdań we własnym języku, na koniec ranny skinął głową. Młodzian w szarej szacie do kapitana się zwrócił: – Waszmość miałeś mnie zabić, atoli tego nie uczyniłeś. Ocaliłeś też życie mego przyjaciela... Czemu?

– Lata. Z wiekiem miękne. Anglik pokręcił głową.

– To nie przypadek – popatrzył na kompana, potem z nowym zainteresowaniem znów na Diega Alatryste. – Ktoś waszmościów nasłał na nas, prawda?

Kapitana te pytania mocno rozsierdziły, a już do cna się spieklił, gdy tamten sięgnął po trzos u pasa wiszący, jakby do zrozumienia dawał, że każde cenne objaśnienie zostanie sowicie wynagrodzone. Zmarszczył czoło, przygryzł wąsa i położył dłoń na rękojeści rapiera.

– Przyjrzyjże mi się waszmość dobrze – powiedział. – Czy wyglądam na kogoś, kto o życiu swym przechodniom na ulicy prawi?

Anglik spoglądał nań z uwagą przez dłuższą chwilę, po czym odsunął dłoń od trzosa.

– Nie – zgodził się. – Zupełnie waszmość nie wyglądasz. Alatryste pokiwał głową z ukontentowaniem.

– Raduje mnie, że pojął to waszmość. A teraz zabierzcie konie i umykajcie stąd. Mój kompan może lada chwila wrócić.

– A waszmość?

– Ja sobie dam radę.

Anglicy znów między sobą poszwargotali. Szary skrzyżował ręce i oparłszy podbródek na dwóch palcach, wyraźnie nad czymś deliberował. Był to gest staroświecki, zgoła nienaturalny, eleganckim londyńskim pałacom właściwszy niżli ciemnej uliczce starego Madrytu, do niego wszelako bardzo pasował – rzekłbyś, nawykł stawać przed ludźmi w wystudiowanych pozach. Błady i jasnowłosy, z powodzeniem mógł za fircyka albo dworzanina uchodzić, atoli bil się zwinnie i dzielnie, jako i jego towarzysz. Maniery tego drugiego, jak zdołał zmiarkować kapitan, z identycznej formy wyszły. Oto dwóch rasowych młodzianów – zawyrokował. W drogę ruszyli z powodu kobiety, religii lub polityki. A może dla wszystkich tych trzech powodów naraz.

– O tym nikt wiedzieć prawa nie ma – ozwał się nareszcie Anglik, a słysząc to, Diego Alatryste aż zaśmiał się pod wąsem.

– Jak najdalszy jestem od tego, by rzecz rozgłaszać. Rozmówcę musiał zadziwić ów śmiech, a może trudu go nieco kosztowało zrozumienie sensu wypowiedzianych słów. Po chwili atoli sam też się uśmiechnął. Lekko, z kurtuazją. I może trochę z pogardą.

– Ta sprawa ważnych kwestii dotyczy – nadmienił. Alatryste był z nim co do tego absolutnie zgodny.

– Mojej głowy – mruknął. – Na przykład.

Jeśli nawet Anglik nutę kpiny pochwycił, nie dał po sobie poznać. Znów popadł w zamyślenie.

– Mój przyjaciel musi nieco odetchnąć. A człęk, który ranę mu zadał, czeka może gdzieś dalej... – na powrót badawczo wpatrywał się w

człowieka przed nim stojącego, usiłując dociec, ile w nim spiskowca, a ile poczciwca. W końcu wzruszył ramionami, co oznaczać miało, że ani on, ani jego towarzysz nie mają specjalnie wyboru. – Znasz waszmość cel naszej podróży?

Niezłomny Alatryste wytrzymał jego spojrzenie.

- Możliwe.
- Znasz Dom pod Siedmioma Kominami?
- Kto wie...
- Zaprowadzisz nas tam?
- Nie.
- A zanieziesz tam waszmość list?
- Chyba śnisz waszmość.

Ten obcy musiał go chyba wziąć za durnia. Jeszcze właśnie tego brakowało: w paszczę lwa zawitać, alarmując ambasadora angielskiego i jego służbę. Nie pchaj palca między drzwi – rzekł sobie w duchu, rozglądając się niespokojnie. Powtarzał sobie w myślach, że naprawdę czas własną skórę ratować, którą łącznie niejeden miałby teraz ochotę podziurawić. Czas był po temu, by o siebie zadbać, przeto zrobił gest, jakby miał zakończyć konwersację. Anglik wszelako jeszcze go zatrzymał.

– Czy znasz waszmość nieopodal jakieś miejsce, gdzie na pomoc moglibyśmy liczyć? Albo choćby ulżyć strudzonym członkom?

Ostatni raz miał Diego Alatryste zaprzeczyć i przepaść w mroku ulicy, gdy wtem myśl pewna przeszła mu głowę niczym błyskawica. On sam przecież nie ma gdzie się schronić, wszak Włoch i inni ludzie, nasłani przez osobników w maskach i ojca Bocanegrę, mogli już nań w domu przy ulicy Arcabuz czekać, gdzie ja w tym czasie spałem snem sprawiedliwego. Atoli mnie nikt krzywdy uczynić nie zamierował, jemu zaś gotowi byli gardło w talarki posiekać, nimby za rękojęść chwycić zdołał. Jedna tylko

ewentualność się nadarzała, by nocleg wyprosić i pomoc przed tym, co nadejść miało, a także Anglików ochronić i przy sposobności dowiedzieć się czegoś więcej o nich i o tych, co taką chętkę wysłać ich na tamten świat poczuli. Takim asem w rękawie, do którego Diego Alatriste starał się nie uciekać zbyt często, był Alvaro de la Marca, hrabia de Guadalmedina. A jego pałac stał zaledwie setkę kroków od nich.

– Wpakowałeś się w niezłą kabałę.

Alvaro Luis Gonzaga de la Marca y Alvarez de Sidonia, hrabia de Guadalmedina, był człowiekiem godnej postury, wytwornym i tak mającym, że w ciągu nocy jednej potrafił przepuć 10 tysięcy dukatów na grę hazardową lub z którąś ze swych kochanek i nawet okiem nie mrugnąć. W czasie opisywanych tu wypadków mógł mieć trzydzieści trzy, może trzydzieści cztery wiosny, i był zaprawdę w kwiecie wieku. Jako syn starego hrabiego de Guadalmedina – mości Fernanda Gonzagi de la Marca, bohatera kampanii flamandzkich za panowania wielkiego Filipa Drugiego i jego następcy Filipa Trzeciego – Alvaro de la Marca odziedziczył tytuł granda Hiszpanii i miał prawo w przytomności naszego młodego monarchy pozostawać z głową zakrytą. Filip Czwarty darzył go bowiem przyjaźnią i, jak powiadano, obydwaj) nierzadko na wspólne podboje nocne się udawali do aktorek i dam lżejszej konduity, i że zarówno jeden, jak i drugi w takich przygodach miłosnych gustowali. Kawaler, fircyk, elegant i człek światły, chwilami także poeta, galant i uwodziciel, Guadalmedina zakupił był od króla urząd naczelnego poczmistrza, a było to zaraz po niedawnej i niesławnej śmierci poprzedniego beneficjanta, hrabiego de Yillamediana. Incydent nader wstydlivy, za którym kryła się jakaś spódnica albo czyjaś zazdrość. W ówczesnej zepsutej Hiszpanii, gdzie wszystko na sprzedaż było, od stanowisk kościelnych po najbardziej popłatne stanowiska państwowe, tytuł i korzyści z urzędu naczelnego poczmistrza płynące

jeszcze bardziej wpływy Guadalmediny na Dworze umacniały – wpływy dodatkowo wsparte piękną, choć krótką, kartą wojskową z czasów młodości, kiedy to dwudziestokilkuletni magnat do spółki z księciem de Osuną wszedł w skład sztabu generalnego i z pokładu hiszpańskich galer w Neapolu bił się przeciw Wenecjanom i Turkom. Z owych czasów właśnie datowała się jego znajomość z Diegiem Alatryste. – W kabałę piekielną – dodał Guadalmedina. Kapitan wzruszył ramionami. Zdjął był kapelusz i płaszcz i stał w małej salce flamandzkimi arrasami wyłożonej, tuż obok stołu obitego zielonym suknem, na którym stała szklanka okowity, wciąż przezeń nietkniętej. Guadalmedina, otulony wytwornym szlafrokiem i w satynowych pantoflach, spacerował ze zmarszczonym czołem wedle rozjarzonego kominka, dumając nad tym, co właśnie od kapitana był usłyszał: historię prawdziwą o zaszłych wypadkach, opowiedzianą krok po kroku z pominięciem kilku szczegółów, od spotkania z ludźmi w maskach po potyczkę w ciemnej ulicy. Hrabia należał do nielicznych osób, którym Alatryste ślepo mógł zawierzyć, a zresztą, wiodąc doń dwóch Anglików, wiedział też, że nie miał wielkiego wyboru.

– Wiesz, kogoś próbował dziś zabić?

– Nie, nie wiem – Alatryste starannie dobierał słowa. – Na dobrą sprawę niejakiego Thomasa Smitha i jego kompana. Tak mówią. Mówili.

– Któż ci mówił?

– Sam bym chciał wiedzieć.

Alvaro de la Marca stanął naprzeciw niego i popatrzył nań ni to z podziwem, ni to z wyrzutem. Kapitan jeno głową lekko skinął i usłyszał, jak hrabia mamrocze: „na niebiosa”, ruszając ponownie w swą wędrówkę w tę i z powrotem po izbie. W tym czasie jego służba rażno zajęła się już Anglikami z największą pieczołowitością, lokując ich w najlepszym salonie. Czekając na hrabiego, Alatryste słyszał krzątanie, trzask drzwi,



krzyki służby i rzenie dobiegające ze stajni. Gdy spoglądał w ich stronę przez wypełnione witrażami okna, dostrzegał migotanie pochodni. Cały dom zdawał się postawiony na baczność. Sam hrabia napisał był kilka pilnych listów w swoim gabinecie, nim do kapitana dołączył. Alatryste rzadko widywał go tak zaniepokojonego, a przecież Guadalmedina znany był z zimnej krwi i wyśmienitego humoru.

– Thomas Smith, powiadasz – mruknął hrabia.

– Tak mówili.

– Thomas Smith, ni mniej, ni więcej?

– Zgadza się.

Guadalmedina ponownie przed nim stanął.

– Guzik, a nie Thomas Smith – wybuchnął wreszcie z niecierpliwością.

– Człek w szarej szacie zwie się George Villiers. Mówi ci to coś?... – Pochwycił raptem szklanę, której Alatryste nie raczył tknąć, i opróżnił ją duszkiem. – W Europie bardziej znany pod swym angielskim tytułem markiza Buckingham.

Mąż mniej opanowany niż Diego Alatryste y Tenorio, dawny żołnierz regimentów flamandzkich, pośpiesznie szukałby krzesła, by mieć gdzie spocząć. Albo raczej: by mieć gdzie się zwalić. On stał wszelako, spojrzenie Guadalmediny wytrzymując, jakby sprawa ta go nie dotyczyła. Atoli później, przy dzbanie wina i w mojej jeno przytomności, przyznał się, że w owej chwili musiał kciuki za pas zatknąć, by drzenie dłoni zamaskować. I że w głowie jęło mu wirować, jak gdyby na karuzeli jarmarcznej siedział. Każde dziecko w Hiszpanii wiedziało, że markiz Buckingham był młodym faworytem angielskiego króla Jakuba I: sam kwiat szlachty brytyjskiej, rycerz znamienity i wytworny dworzanin, przez damy ubóstwiany i wyznaczany przez Jego Królewską Wysokość do

najważniejszych zadań politycznych. Zresztą niedługo potem, podczas pobytu w Madrycie, otrzymał tytuł książęcy.

– Reasumując – ozwał się cierpko Guadalmedina – gotowałeś się zgładzić pupila króla Anglii, podróżującego u nas incognito. Co zaś tyczy się drugiego...

– Johna Smitha?

Tym razem w głosie Diega Alatryste odezwała się nutka gorzkiego humoru. Guadalmedina już miał dłonie do głowy unieść i kapitan spostrzegł, że na samą wzmiankę na temat mister Johna Smitha, kimkolwiek był naprawdę, arystokrata całkiem zbladł. Po chwili Alvaro de la Marca poskrobał się paznokciem po bródce i znów zmierzył kapitana od stóp do głów wzrokiem pełnym admiracji.

– Jesteś niebywały, Alatryste – dwa kroki po izbie uczyniwszy, stanął i jeszcze raz popatrzył na gościa. – Niebywały.

Uczucie Guadalmedinę i weterana łączące z pewnością nie zasługiwało na miano przyjaźni, atoli było w nim coś z wzajemnego, acz powściągliwego szacunku. Alvaro de la Marca bez wątpienia darzył kapitana wielkim uważaniem, a wiązało się to z czasami młodości Diega Alatryste, gdy służył był we Flandrii pod rozkazami starego hrabiego de Guadalmedina, który już naówczas miał sposobność swą estymę i uznanie mu okazać. Lata później zawierucha wojenna cisnęła młodego hrabiego w pobliże kapitana, do Neapolu, i jak powiadają, ten ostatni, zwykłym żołnierzem będąc, wyświadczył synowi swego dawnego generała istotne przysługi podczas fatalnego wypadu na Querąennę. Alvaro de la Marca o tym nie zapomniał i gdy odziedziczył fortunę, porzucił wprawdzie zbroję na rzecz życia dworskiego, o kapitana jednak dbał. Bywało, wynajmował go do pojedynków, by rozwiązać kwestię jakichś pieniędzy, ochronę podczas niebezpiecznych miłosnych wypadów lub też rozstrzygnąć spór z mężem

rogaczem, rywalem w konkurach czy też uprzykrzonym wierzyicielem. Tak było w przypadku markiza de Soto, któremu, przypominę waszmościom, wedle przepisu samego Guadalmediny Diego Alatryste przy Fontannie Stalowej zaaplikował takąż śmiertelną dawkę. Nie chcąc jednak nadużywać tej zażyłości, co bez wątpienia uczyniłby niejedyn utytułowany zabijaka, chełpiący się w stolicy czyimś dobrodziejstwem albo kilkoma dublonami – Diego Alatryste wolał zachować dystans i nie nachodził hrabiego, chyba że zniewoliła go absolutna, rozpaczliwa potrzeba, jak przy tej właśnie okazji. A i tego by nie uczynił, gdyby nie miał pewności co do szlachectwa osób, na które się był zasadził. I co do rozmiarów biedy, jakiej łącno sobie napytał.

– Jesteś przekonany, żeś nie rozpoznał żadnego z tych ludzi w maskach, co obarczyli cię zadaniem?

– Już mówiłem waszej miłości. Wyglądali na osoby wysokiego autoramentu, atoli nic więcej wywiedzieć się nie mogłem.

Guadalmedina na powrót po bródce się pogładził.

– Tylko tych dwóch spotkałeś owej nocy?

– O ile pamięć mnie nie myli, tylko dwóch.

– I jeden kazał ci ich nie zabijać, a drugi owszem?

– Mniej więcej.

Hrabia dłuższą chwilę wpatrywał się w kapitana.

– Na Boga, coś przede mną ukrywasz.

Alatryste znów ramionami wzruszył, wzroku nie spuszcżając.

– Może – odparł spokojnie.

Alvaro de la Marca zaśmiał się z przekąsem, wciąż wpatrując się weń badawczo. Zbyt dobrze się znali, by mógł mieć nadzieję, że kapitan powie coś ponad to, co już wyrzekł, choćby hrabia zagroził mu, że umywa ręce i precz go z domu pogna.

– Niechaj i tak będzie – zakonkludował. – Ostatecznie to ty karku nadstawiasz.

Kapitan skinął głową z rezygnacją. Jednym z niewielu pominiętych szczegółów jego opowieści była obecność brata Emilia Bocanegry. Nie żeby chciał ochronić osobę inkwizytora – człek ten raczej strach wzbudzał niżli uczucia opiekuńcze – ale ponieważ nie poczuwał się do donosicielstwa, aczkolwiek w Guadalmedinie wielką ufność pokładał. Co innego powiedzieć o dwóch mężach w maskach, co innego natomiast oskarżyć kogoś, kto zlecił mu zadanie do wykonania. Niezależnie od tego, że osobą tą jest dominikanin, a cała historia z paskudnym finałem może zawieść kapitana w mało przyjemne łapy kata. I tak już korzystał z dobrodziejstwa hrabiego, powierzając w jego ręce los tych dwóch Anglików, a poniekąd i własny. Był może wojakiem i zabijaką do wynajęcia, ale też trzymał się swoistego kodeksu. I nie zamierzał go złamać, choćby żywot miało go to kosztować, o czym Guadalmedina wiedział aż za dobrze. W innych czasach, gdy to o skórę Ałvara de la Marca szła gra, kapitan równie twardo nie puścił pary z gęby i nazwiska jego nie zdradził. Takie panowały reguły w niewielkim światku, w którym obracali się pomimo różnicy stanu. Guadalmedina nie miał też zamiaru ich naruszać, lubo w jego salonie siedzieli właśnie markiz Buckingham i jego towarzysz. Z miny hrabiego łącno wyczytać można było, że szybko medytuje, jak najlepiej wykorzystać tajemnicę państwową, którą los pospołu z Biegiem Alatryste w jego dłonie złożyli. Sługa w pozie uszanowania pełnej stanął na progu izby. Hrabia podszedł doń i Alatryste posłyszał, jak zamienili po cichu kilka słów. Po chwili, gdy znów zostali sami, Guadalmedina zadumany zbliżył się do kapitana.

– Zamiarowałem powiadomić ambasadora angielskiego, atoli zdaniem tych kawalerów spotkanie w moich progach nie byłoby wskazane... Zatem,

skoro już przyszli nieco do siebie, rozkażę, by kilku zaufanych, ze mną na czele, odprowadziło ich do Domu pod Siedmioma Kominami. Zbyteczne są im kolejne niespodzianki po drodze.

– Czy mogę jakoś być waszej miłości pomocnym? Hrabia popatrzył nań z pełnym ironii znużeniem.

– Obawiam się, że co miałeś zrobić, już zrobił. Najlepiej wycofaj się ze sceny.

Alatriste skinął głową i, leciutko wzdychając, kiwnął nieznacznie dłonią na pożegnanie. Zdążył już zmiarkować, że ni w swoje progi, ni do domu żadnego ze swych przyjaciół udać się nie może. Jeśli Guadalmedina gościny mu nie zaoferuje, kapitan będzie musiał teraz błąkać się po ulicach, wystawiony jako łatwy cel już to dla swych wrogów, już to dla łapaczy Martina Saldañi, pewnikiem o wypadkach nocnych dawno uprzedzonych. Hrabia bez trudu się mógł tego domyślać. Domyślał się także, że Diego Alatriste nigdy wprost go o pomoc nie poprosi, gdyż duma mu na to nie zezwala. Skoro zaś do Guadalmediny milcząca wiadomość nie docierała, kapitanowi nie pozostawało nic innego, jak ponownie ulicy czoło stawić, za jedyne wsparcie własny rapier mając. Wszelako hrabia, zatopiony przez moment we własnych myślach, uśmiechnął się.

– Możesz zostać u mnie na noc – powiedział. – A rano zobaczymy, czym nas życie poczęstuje... Poleciałem już, by ci izbę narządzili.

Alatriste ulgę poczuł, lubo jej znać po sobie nie dał. Przez niedomknięte drzwi widział, jak szykowano dla magnata wyjściową odzież. Spostrzegł, że słudzy również nosili napierśniki ze skóry łosia i nabite pistolety. Alvaro de la Marca najwidoczniej chciał zapobiec wszelkiemu ryzyku, jakie mogłoby jeszcze grozić niespodziewanym gościom.

– W ciągu kilku godzin wieść o przybyciu tych tu paniczów rozniesie się wkoło i w całym Madrycie aż huczeć będzie od plotek – szepnął magnat. –

Słowem szlacheckim zobowiązali mnie właśnie, by nic a nic o potyczce z tobą i twoim kompanem do wiadomości powszechnej się nie przedostało, sekretem ma być też fakt, żeś im pomógł znaleźć u mnie schronienie... Widzisz, Alatryste, to wysoce delikatna sprawa, i na szali leży tu coś więcej niżli twoja jeno głowa. Oficjalnie podróż ich ma dobiec końca przed rezydencją ambasadora, bez nijakich incydentów. Tego właśnie teraz chciałbym dopilnować.

Już kierował się ku izbie, gdzie słudzy kończyli strój mu przygotowywać, gdy wtem coś sobie przypomniał.

– Racja – rzekł, stając w pół kroku – chcą cię zobaczyć, nim się oddalą. Nie wiem, u diaska, jakieś tę kwestię ostatecznie rozstrzygnął, ale gdym im opowiedział, kim jesteś i jak do całej ich niefortunnej przygody doszło, wszelki gniew na ciebie jakby się z nich ulotnił. Zaprawdę, ci Anglicy i ich przekłeta brytyjska flegma!... Na Boga klnę się, że gdybyś to mnie takiego stracha napędził, jak im, na cały głos dopominałbym się twojej głowy. Minuty bym nie czekał na sposobność, by cię zgładzić.

Rozmowa trwała krótko i miała miejsce w olbrzymim westybulu, pod obrazem Tycjana, wyobrażającym Danae na chwilę przed tym, jak Zeus pod postacią złotego deszczu zapłodni jej łono. Alvaro de la Marca, wystrojony i zbrojny, jakby przeciwko galerze tureckiej się wybierał – z za pasa sterczały mu kolby dwóch pistoletów, a także rękojeści szpady i sztyletu – poprowadził kapitana ku pomieszczeniu, gdzie obydwaj Anglicy, w płaszcze już owinięci, do wyjścia się sposobili, otoczeni eskortą służących hrabiego, również po zęby uzbrojonych. Na zewnątrz oczekiwała kolejna grupa sług z pochodniami i halabardami, brakowało jeno tarabanu, by przygodny widz mógł wziąć tę grupę za nocny oddział wojska, szykujący się do bitwy.

– Oto ów człowiek – powiedział Guadalmedina z ironią w głosie, wskazując dostojnym gościom kapitana.

Anglicy byli już wyszykowani do dalszej drogi i w pełnym rynsztunku. Szaty mieli ochędożone do niejakiej czystości, młodszy ramię po zranionej stronie zawieszono na owiniętej wokół szyi szerokiej chuście. Drugi, ten szaro odziany, a rozpoznany przez Alvara de la Marca jako Buckingham, odzyskał dumę, jakiej Alatryste nie widział u niego wcześniej. W owym czasie George Yilliers, markiz Buckingham, był już admirałem Anglii i cieszył się znacznymi wpływami w otoczeniu Jakuba Pierwszego. Wytworny, pełen ambicji, inteligentny, wrażliwy i nieustraszony, lada chwila otrzymać miał tytuł książęcy, pod którym przeszedł z czasem do historii i do legendy. Podówczas jednak wciąż był młodym królewskim faworytem i zdecydowanie piął się po szczeblach zaszczytów na Dworze Świętego Jakuba, dlatego też z uwagą podszytą niechęcią przyglądał się swemu niedawnemu przeciwnikowi. Alatryste atoli bez lęku zniósł to badanie. Dla niego ów elegancki i wymuskany młodzian mógł być markizem, arcybiskupem, hultajem, mógł należeć do najbliższego otoczenia króla Jakuba lub do najbliższej rodziny samego papieża – nie czyniło to dlań żadnej różnicy. To z winy brata Emilia Bocanegry i dwóch mężów w maskach musi tej nocy pozostawać nader czujny – a należało się obawiać, że nie tylko tej.

– Prawie nas zabił dziś na ulicy – odezwał się cicho Anglik z silnym cudzoziemskim akcentem. Zwracał się raczej do Guadalmediny niż do kapitana.

– Łaskawy pan raczy wybaczyć – odparł Alatryste ze spokojem, chyląc lekko czoło. – Nie zawsze jesteśmy panami naszych rapierów.

Anglik jeszcze kilka chwil uważnie się weń wpatrywał. W jego błękitnych oczach zagościła wzgarda, wypierając uprzednie zaskoczenie i

szczerść, które znać w nich było tuż po potyczce. Zdołał już w pełni dojść do siebie i świadomość, że był oto wystawiony na łaskę jakiegoś nieznanego zabijaki, mocno jego dumę własną nadwreżyła. Oto skąd brała się owa arogancja na pokaz, której Alatryste nie był dostrzegł, gdy w świetle lampy krzyżował z Anglikiem broń.

– Zatem rozstajemy się w pokoju, jak mniemam – ozwał się przybysz w szarym odzieniu i odwróciwszy się gwałtownie, jął rękawiczki na dłonie naciągać.

Młodszy Anglik, niejaki John Smith, stał obok bez słowa. Czoło miał wysokie, jasne i szlachetne, rysy subtelne, dłonie wytworne i takąż posturę. I pomimo stroju podróznego na milę widać było, że ma się do czynienia z latoroślą najlepszego rodu. Kapitanowi udało się dostrzec pod ledwie sypiącym się blond wąsikiem coś na kształt uśmiechu. Już miał skłonić głowę raz jeszcze i wycofać się, gdy młodzieniec wypowiedział w swej mowie słów kilka, które zwróciły uwagę jego kompana. Kątem oka Alatryste ujrzał, jak Guadalmedina uśmiecha się szeroko – hrabia, poza francuskim i łaciną, także narzeczem schizmatyków władał.

– Mój przyjaciel mówi, że zawdzięcza wam życie – George Yilliers czuł się nieswojo, jak gdyby sam rozmowę za zakończoną był uznał, a teraz tłumaczył słowa młodszego towarzysza na przekór własnej woli. – Ze ostatni cios zadany przez człowieka w czerni byłby śmiertelny.

– Możliwe – Alatryste również na lekki uśmiech sobie pozwolił. – Tuszę, że wszyscyśmy mieli tej nocy szczęście.

Anglik kończył zakładać rękawiczki, słuchając jednocześnie z uwagą zdań wypowiedzianych przez towarzysza.

– Mój przyjaciel zapytuje również, co sprawiło, że waszmość postanowił zmienić stronę i zamiary.



– Strony nie zmieniłem – odrzekł Alatryste. – Ja zawsze stoję po stronie własnej. Jestem samotnym łowcą.

Młodszy przypatrywał mu się z namysłem, przysłuchując się tłumaczeniu tej odpowiedzi. Raptem zrobił się bardziej stanowczy i władczy niż jego kompan. Kapitan zorientował się, że nawet Guadalmedina więcej respektu mu okazywał, choć przecie Buckingham był, kim był. Wówczas młodzian przemówił ponownie, na co starszy zaprotestował gorąco, nie chcąc może tłumaczyć tych ostatnich słów. Młodszy odezwał się jednak z naciskiem i taką mocą, jakiej Alatryste dotychczas u niego nie słyszał.

– Mąż ten powiada – ciągnął Buckingham z niechęcią swoją niedoskonałą hiszpańszczyzną – że nieważne, kim waszmość jesteś i jakiej profesji, w każdym razie postąpiłeś nadzwyczaj szlachetnie, nie pozwalając, by został zabity zdradliwie jak pies... Mówi, że mimo wszystko czuje się waszmości dłużnikiem i chce, byś to wiedział... Mówi też – tutaj tłumacz zawahał się na moment, posyłając zaniepokojone spojrzenie Guadalmedinie – że jutro cała Europa wiedzieć będzie o przybyciu do Madrytu syna i dziedzica króla Anglii Jakuba, w kompanii jeno swego przyjaciela, markiza Buckingham... I chociaż względy państwowe nie zezwalają, by o wypadkach dzisiejszej nocy rozpowiadać, on, Karol, książę Walii, przyszły król Anglii, Szkocji i Irlandii, nigdy nie zapomni, że człowiek nazwiskiem Diego Alatryste mógł go zgładzić, lecz tego nie uczynił.



## VI. SZTUKA POZYSKIWANIA WROGÓW



azajutrz niezwykła wiadomość zbudziła Madryt. Karol Stuart, potomek angielskiego lwa, nie mogąc ścierpieć tego, że pertraktacje w sprawie jego małżeństwa z infantką Marią, siostrą pana naszego Filipa Czwartego, zbyt opieszale się ciągną, pospołu z przyjacielem swym, Buckinghamem, umyślił ów niezwyczajny i poroniony projekt: że pojedzie incognito do Madrytu, by przyszłą pannę młodą poznać i w romans rycerski przemienić zimną kalkulację dyplomatyczną, grzęznącą od miesięcy w gabinetach kancelistów. Ślub pomiędzy anglikańskim księciem a katolicką księżniczką stał się w owym czasie przedsięwzięciem bardziej zawiłym niżli najwykwintniejsza koronka, a maczali w nim palce ambasadorowie, posłowie, ministrowie, zagraniczne rządy i nawet Jego Świątobliwość biskup Rzymu, który miał pobłogosławić ten związek i, co oczywiste, miał zamiar upiec na nim najbardziej soczystą pieczeń. W obawie zatem, że mu postronni obrzydzą kuropatwę – czy co tam ci przekłęci Anglicy po lasach łowią – młodzieńcza wyobraźnia księcia Walii, podsyczona przez Buckinghamą, postanowiła skrócić męczarnie. Oto dłaczego we dwóch ukuli plan owej awantury, pełnej wielorakich

niebezpieczeństw, pewni, że jadąc do Hiszpanii bez zapowiedzi i poza protokołem, księżę z miejsca serce infantki podbije i do Anglii ją powiezie na oczach zdumionej Europy i pośród owacji i wyrazów przychylności ze strony ludu hiszpańskiego i angielskiego.

Taki był mniej więcej zamysł. Król Jakub zrazu opór stawiał, dał się wszelako przekabacić i z błogosławieństwem obydwu młodzianom na wyprawę przyzwolił. Owszem, z punktu widzenia starego monarchy eskapada syna niosła wielkie ryzyko – wystarczyłby wypadek, niepowodzenie misji albo wściekłość Hiszpanów, by narazić honor brytyjskiej korony – atoli w razie powodzenia korzyści tę groźbę co najmniej równoważyły. Po pierwsze, za teścia swego potomka mieć władcę najpotężniejszej podówczas nacji na ziemi to nie było byle co. Poza tym owo małżeństwo, przez dwór brytyjski wyśnione, lecz wielce oziębłe przez hrabiego de Oliyares i ultrakatolickich doradców króla Hiszpanii przyjęte – położyłoby kres odwiecznej nienawiści między obydwoma krajami. Wystawcie sobie waszmościowie, że ledwo co trzydzieści lat upłynęło od czasu Niezwyciężonej Armady. Wiecie przecież, działo strzela, Pan Bóg kule nosi, a człowiek plądruje, szczególnie gdy zewrą się takie potęgi, jak nasz poczciwy król Filip Drugi i ta ruda wiedźma, którą nazywali Elżbietą angielską, patronka protestantów, skurwysynów i piratów, znana lepiej jako Królowa Dziewica, choć dalibóg, nie sposób zmiarkować, jaki łachmyta tknąć by ją chciał. W każdym razie ślub młodziutkiego heretyka z naszą infantką – która może i Wenus nie przypominała, atoli oczu też nie kaleczyła, co widać na późniejszym obrazie Diega Velazqueza: młoda, jasnowłosa, istna dama, z ustami typowymi dla austriackiej dynastii – otóż ślub ów pokojową drogą otwarłby przed angielskimi kupcami wrota do Indii Zachodnich i rozwiązałyby na korzyść Anglii wciąż nabrzmiały

problem Palatynatu. Czego nie będę tu waszmościom streszczał, od tego bowiem są dzieła historyków.

Tak to sprawy się miały owej nocy, gdy jak niemowlę spał smacznie na oba uszy na sienniku przy ulicy Arcabuz, nie mając pojęcia, co się szykuje, a tymczasem kapitan Alatryste czuwał z jedną dłonią na rękojeści pistoletu, a drugą w każdej chwili gotową po rapier sięgać, leżąc w służbówce u hrabiego de Guadalmedina. Co się tyczy Karola Stuarta i Buckinghama, nieco dogodniej i z wszelkimi należnymi honorami spoczęli pod dachem ambasadora angielskiego. Nazajutrz z rana, gdy wieść gruchnęła w mieście, doradcy królewscy z hrabią de Oliyares na czele jęli nad zatuszowaniem skandalu dyplomatycznego się głowić, madrycki lud tymczasem tłumnie stawiał się przed Domem pod Siedmioma Kominami, by wiwatować na cześć dzielnego przybysza. Karol Stuart był żarliwym i dziarskim młodzieńcem, skończył niedawno dwadzieścia dwie wiosny i dzięki zuchwalstwu, właściwemu wszelkim junakom, był zgoła przekonany o swej uwodzicielskiej sile i pewien miłości infantki, której jeszcze nie zdołał poznać. Nie mniej ufał w to, że nie tylko damę, ale i nas, Hiszpanów, tak wysoko rycerską postawę i gościnność ceniących, swym śmiałym postępkom urzeknie. Tu zresztą się młokos nie mylił. Gdyby podczas półwiecznego niemal panowania naszego poczciwego i nieporadnego monarchy Filipa Czwartego, nietrafnie zwanego Wielkim, postawa rycerska i gościnna, msza w dni święte i przechadzka z obnażonym rapierem potrafiły napełnić kałdun albo i języki krytyczne uciszyć, uśmiechnąłby się los i do mnie, i do kapitana Alatryste, i do wszystkich Hiszpanów, do całej nieszczęsnej Hiszpanii wreszcie. Ów pożałowania godny czas zwą dzisiaj Wiekiem Złotym. Prawdą jest wszelako, że my, którzyśmy w nim żyli i cierpieli, złota nie oglądaliśmy zgoła wcale, a srebra tyle, co kot napłakał. Czyste poświęcenie, chwalebne klęski, zepsucie, łotrostwa, nędza i

bezwstyd – o tak, tego mieliśmy w bród. A potem stanie kto przed obrazem Diega Velazqueza, wysłucha wierszy Lopego czy Calderona, przeczyta sonet mości Francisca de Quevedo i powie: proszę bardzo, warto było.

Ale do czego to zmierzałem? Mówiłem właśnie, że wiadomość rozeszła się lotem błyskawicy, trafiając do serc całego Madrytu. Trzeba wszakże przyznać, że – jak się z czasem wywieździeliśmy – na naszego Najjaśniejszego Pana i na hrabiego de Olivares niespodziany przyjazd dziedzica brytyjskiej korony podziałał raczej jak grom z jasnego nieba. Ma się rozumieć, wszelkie formy zostały zachowane, uprzejmościom i słodkim słówkom końca nie było. A o potyczce ulicznej nikt pary z gęby nie puścił. O szczegółach Diego Alatryste wywieździł się, gdy Guadalmedina do domu rankiem powrócił, wielce szczęśliwy, że obydwu Anglików bezpiecznie był odeskortaował i na ich tudzież ambasadora brytyjskiego wdzięczność zasłużył. Po rytualnych ceremoniach w Domu pod Siedmioma Kominami Guadalmedina natychmiast wezwany został do Zamku Królewskiego, gdzie rzecz całą wyłożył młodemu władcy i jego pierwszemu ministrowi. Słowem własnym związany, hrabia nie mógł ujawnić informacji tyczących nocnej zasadzki, wszelako Alvaro de la Marca umiał, bez narażania się na królewską nieprzychylność i nie wystawiając na szwank swego rycerskiego honoru, przekazać tyle szczegółów, posługując się minami, aluzjami i wymownym milczeniem, by i monarcha, i jego faworyt pojęli z przerażeniem, że obydwu nieostrożnych podróżnych nieomal zostało w ciemnym madryckim zaułku na kotlety poszatkowanych.

Wyjaśnienie czy może raczej klucz do niego, wystarczający, by Diego Alatryste pojął, kto rozdaje karty, dostarczył sam Guadalmedina. Ten bowiem, kursując przez kilka godzin pomiędzy Domem pod Siedmioma Kominami a Pałacem, zdobył wieści najświeższe, aczkolwiek mało kapitana uspokajające.

– W rzeczywistości interes jest prosty – podsumował hrabia. – Anglia od dłuższego czasu na rychły ożenek młodych naciska, wszelako Olivares i Rada Ministrów, będąca pod jego wpływami, zgoła się nie śpieszą. Małżeństwo kastylijskiej infantki z anglikańskim księciem zalatuje im siarką... Król, liczący osiemnaście wiosen, jest wciąż za młody, przeto i w tej, i w wielu innych sprawach daje Olivaresowi wolną rękę. Z kręgów pałacowych dochodzą pogłoski, że faworyt nie ma ochoty swej zgody na ślub udzielić, chyba że księżę Walii przejdzie na katolicyzm. Dlatego Olivares tak zwleka i dlatego młody Karol postanowił byka za rogi chwycić, a nas przed faktem dokonany postawić.

Alvaro de la Marca pochłaniał przekąskę, siedząc przy stole zielonym suknem obitym. Było przedpołudnie, siedzieli w tej samej izbie, gdzie hrabia ubiegłej nocy przyjął był Diega Alatryste, teraz zaś z ukontentowaniem zajadał paszteciki z kurczaka, zapijając winem ze srebrnego roztruchana – widowym było, że sukcesy dyplomatyczne i towarzyskie zaostrzyły mu oskome. Zaprosił i gościa, by mu w tej skromnej uczcie towarzyszył, ale kapitan odmówił. Stał o ścianę wsparty i patrzył tylko, jak jego zbawiciel się posila. Był już gotów do wyjścia, płaszcz, rapier i kapelusz spoczywały na krześle nieopodal, a po nieogolonej twarzy znać było, że noc na czuwaniu spędził.

– Jak wasza miłość uważa, komu jeszcze małżeństwo to jest solą w oku?

Guadalmedina przełknął i zerknął na niego.

– Uff, wielu ludziom – odłożył pasztecik na talerz i jął na zatłuszczonych palcach liczyć. – W Hiszpanii Kościół i Inkwizycja są mu całkowicie przeciwne. Do tego dodajmy, że papież, Francja, Sabaudia i Wenecja gotowe są wszelkich starań dołożyć, by zapobiec sojuszowi Anglii

i Hiszpanii... Miarkujesz, co by się stać mogło, gdybyś wczoraj zadźgał księcia i Buckinghamama?

– Jak mniemam, wojna z Anglią.

Hrabia przystąpił na nowo do swej przekąski.

– I dobrze mniemasz – rzekł posepnie. – Chwilowo powszechna zgoda panuje, by incydent cały zatuszować. Następca tronu i Buckingham utrzymują, jakoby padli ofiarą napaści pospolitych rzezimieszków, a król i Olivares udają, że wierzą. Później, gdy byli już sami, król zlecił faworytowi przeprowadzenie śledztwa, a ten przyrzekł, że sprawy dopilnuje – tu Guadalmedina przerwał, by tęgi łyk wina pociągnąć, następnie wąsik i bródkę osuszył okazałą białą serwetą, aż chrzęszczącą od krochmalu. – O ile znam Olivaresa, on sam byłby zdolny zamach taki zmontować, choć nie wierzę, by tak daleko mógł się posunąć. Rozejm z Niderlandami lada chwila pięknie i nieroztropnością byłoby angażować siły zbrojne w niepotrzebną awanturę z Anglią...

Hrabia rozprawił się z resztką jedzenia, z roztargnieniem patrząc na arras wiszący na ścianie za plecami jego rozmówcy: rycerstwo oblegało tam jakiś zamek, a z bastionów osobnicy w turbanach ciskali w nich wściekle strzały i kamienie. Arras zawisł tam był ze trzydzieści lat wstecz, w czasach, gdy stary generał, mość Fernando de la Marca, uwiózł go jako łup podczas ostatniego zdobycia Antwerpii, za chwały pełnych dni dawnego króla Filipa. Teraz oto syn jego Alvaro rozmyślał pod tkaniną, przeżuwając z wolna resztki strawy. Nareszcie na kapitana oczy swe zwrócił.



– Ci zamaskowani osobnicy, co dali ci zlecenie, mogą być tajnymi agentami Wenecji, Sabaudii, Francji czy Bóg wie kogo jeszcze... Jesteś pewien, że byli Hiszpanami?

– Równie pewien, jak tego, że i my nimi jesteśmy. A w dodatku to ludzie szlachtetnej krwi.

– Nie łudź się co do krwi. Tu wszyscy udają to samo: że są starymi chrześcijanami ze szlachtetnego, rycerskiego rodu. Wczoraj musiałem się z mym balwierzem pożegnać, który usiłował mnie ogolić szpadą do pasa



przypiętą. Już nawet ostatnie sługi je noszą. A że praca hańbi, to nikogo do niej nie uświadczysz.

– Ci, o których mówię, z pewnością byli szlachcicami. I Hiszpanami.

– Niech będzie. Hiszpanie czy też nie, na to samo wychodzi. Tak jakby cudzoziemcy nie mogli zapłacić komuś tu na miejscu... – arystokrata zaśmiał się z goryczą. – W naszej habsburskiej Hiszpanii złotem przekupisz i godnego pana, i byłe huncwota. Wszystko wystawione jest na sprzedaż, wyjąwszy narodową dumę. A i tą kupczymy po kryjomu przy lada sposobności. O reszcie nie muszę ci nawet mówić. Nasze sumienie... – popatrzył na kapitana znad brzegu srebrnego roztruchana. – Nasze rapiery...

– Albo dusze nasze – podsumował Alatryste. Guadalmedina sączył wino, nie spuszczać zeń wzroku.

– Tak – ozwał się w końcu. – Twój tajemniczy zleceniodawcy mogą być nawet na usługach ukochanego papieża Grzegorza Piętnastego. Ojciec Święty nie znosi widoku Hiszpanów nawet na płótnie.

Wielki kominek z kamienia i marmuru wygasł do cna, słońce zagląające przez okna było ledwie letnie. Wystarczyła jednak ta wzmianka o Kościele, by kapitan poczuł raptem nieprzyjemną falę gorąca. Złowrogie wspomnienie brata Emilia Bocanegry stanęło mu znów przed oczyma jak widmo. Przez noc całą widział je po ciemku na suficie izby, wśród cieni drzew na dworze, w półmroku korytarza. Światło dnia nie zdołało zjawy przegnać. Złowrózbnе słowa Guadalmediny wywołały ją na nowo.

– Kimkolwiek byli – prawil dalej hrabia – cel ich jest jasny: do ślubu nie dopuścić, Anglii ostro nosa przytrzeć i wojnę między naszymi krajami wzniecić. Ty zaś, zmieniając zdanie, wszystko zniweczył. W sztuce pozyskiwania nieprzyjaciół zyskałeś właśnie licencjat, przeto na twoim miejscu ja bym skórę chronił. Kłopot w tym, że dłużej nie mogę cię

osłaniać. Twoja obecność w tych progach sugeruje, że w całą sprawę wplątany. Doradzam więc, wybierz się w długą podróż, wyjedź gdzieś precz... A cokolwiek wiesz, nikomu nawet na spowiedzi nie ujawniaj. Gdyby jakiś klecha dowiedział się o tym wszystkim, zrzuciłby sukienkę, sprzedał tajemnicę i obrósłby w zacne piórka.

– A co z Anglikiem?... Już bezpieczny? Guadalmedina zapewnił go żywo, że tak. Skoro tylko cała Europa zwiędziała się o sprawie, Anglik może się czuć równie bezpiecznie, jak w swojej przeklętej Tower w Londynie. Z jednej strony Olivares i monarcha gotowi byli odwlekać wszelkie postanowienia, iście po królewsku gościć go i obietnicę za obietnicą składać, iżby się wreszcie znużył i majdan zwinął, z drugiej zaś gwarancji nijakiej dać mu nie mogli.

– Pamiętajmy, że Olivares to szczywany lis i do niejednej wolty zdolny – mówił dalej hrabia. – W mig zdanie potrafi zmienić, a król wraz z nim. Wiesz, co rzekł dziś z rana do księcia Walii w mej przytomności?... Ze gdyby Rzym dyspensy im nie udzielił i nie można było infantki jako żony mu ofiarować, będzie mógł ją wziąć jako kochankę... Ten Olivares to nieprzeciętny człek! Skurwysyn, jak się patrzy, zręczny i niebezpieczny, na dudka go nie wystrychniesz. A Karol już wielce radosny, pewien, że ma infantkę Marię w rękach.

– A wiadomo, jak ona rzecz całą widzi?

– Dwadzieścia wiosen liczy, więc wystaw sobie. Łaskawie miłość przyjmuje. Jakiś schizmatyk krwi królewskiej, młody i nadobny, zdolny był, żeby coś takiego dla niej uczynić, a to ją jednocześnie zatrważa i przyciąga. Ze jednak jest infantką tronu Kastylii, protokół wszystko przewiduje zawczasu. Wątpię, by zezwolono im oskubać tę kaczkę samowtór, ani na mgnienie z oka ich nie spuszczać... I właśnie w związku z tym przyszedł mi do głowy początek sonetu:

*Młody Stuart do Hiszpanii po hymen* Przybył, swe zęby ostrząc na, infantkę, Nie wie, że nie śmiałek zgarnia śmietankę, Lecz ten, co cierpliwy i dłużej strzymie.

– ... I co sądzisz? – Alvaro de la Marca zawiesił wyczekujące spojrzenie na Alatristem, który nie śmiał opinii swej wygłaszać, uśmiechał się jeno z lekka, ostrożnie, ale i z rozbawieniem. – Wiem, jaki tam ze mnie Lope, do diaska. A twój przyjaciel Quevedo, jak tuszę, miałby siła zastrzeżeń. Ale jak na mnie te linijki nie są takie złe... Gdybyś trafił na nie gdzieś na drukach ulotnych, będziesz wiedział, czyjego są autorstwa... Ale, ale – hrabia dopił wino i powstał, rzucając serwetę na stół. – Wracając do spraw trudnych, bez wątpienia alians z Anglią dobrze by nas ustawił wobec Francji, bo to oni, zaraz po protestantach, a kto wie, może nawet i przed nimi, naszymi największymi w Europie rywalami. Może z czasem nasi zmienią zdanie i na ten mezalians zezwolą. Atoli wiedząc, co po cichu król i Olivares na ten temat prawią, byłbym mocno zaskoczony.

Uczynił kilka kroków po izbie, znów spojrział na arras zrabowany przez ojca w Antwerpii i stanął zadumany wedle okna.

– Tak czy inaczej – ozwał się na powrót – co innego było zadźgać wczoraj w nocy podróżującego incognito młodziana, którego oficjalnie miało tu nie być, co innego zgoła zaś zasadzać się dziś na życie wnuka Marii Stuart, gościa króla Hiszpanii i przyszłego władcę Anglii. Dogodna chwila przeminęła. Miarkuję przeto, że twoi osobnicy w maskach wpadną w furię i krwi będą żądać. Zapewne nie w smak im też, by świadek mógł mleć ozorem, a zmusić świadka do milczenia najłacniej, wysyłając go na tamten świat... – Tu odwrócił się i spojrział z uwagą na swego rozmówcę. – Pojmujesz sytuację? Rad jestem. A teraz, kapitanie Alatriste, wybac,

poświęciłem ci już zbyt wiele czasu, a mam co robić. Między innymi dokończyć sonet. Uchodź więc z życiem i niech Bóg ma cię w swej opiece.

Cały Madryt wyległ na ulicę, a Dom pod Siedmioma Kominami przypominał środek malowniczego odpustu. Ciekawscy grupkami całymi sunęli ulicą Alcala ku kościołowi Karmelitów Bosych i stawali po drugiej stronie, naprzeciw rezydencji angielskiego wysłannika. Kilku strażników miejskich łagodnie powstrzymywało przed naporem gawieź, która wzniecała gromkie okrzyki na widok każdej karocy, jaka przejeżdżała przez bramę posiadłości w jedną lub w drugą stronę. Słysząc było głosy nawołujące, by księżę Walii pokazał się tłumowi, a gdy przed południem jasnowłosy chłopak na chwilę pojawił się w jednym z okien, powitała go burza oklasków i wiwatów, na co młodzian odpowiedział ruchem dłoni tak wytwornym, że natychmiast sympatię zgromadzenia sobie zjednał. Lud madrycki, szczodry, przyjazny i wdzięczny za okazaną serdeczność, przez kolejne miesiące, jakie następcą brytyjskiego tronu w stolicy spędził, stykał się wciąż z jego strony z takim samym gestem uszanowania i życzliwości – i łatwo mu ową monotonię wybaczał. Inaczej wyglądałyby dzieje naszej nieszczęsnej Hiszpanii, gdyby porywy serca tak często wspaniałomyślnego ludu pierwszeństwo miały przed bezduszną racją stanu, przed egoizmem naszych sprzedajnych i niezdolnych polityków, magnatów i monarchów. Anonimowy poeta w dawnej pieśni o Cydzie te same słowa w usta tłumy wkłada i ilekroć pomyślę o tym, jak wiele lud nasz od siebie dawał, ile szczerego serca, pieniędzy, trudu i krwi ofiarował, tak mało w zamian dostając, łącno przychodzi tamta strofa na myśl: *Boże, tak zacny wasal lepszego godzien jest pana.*

Otóż niemal cała madrycka społeczność stawiała się owego poranka, by księcia Walii powitać. Przybyłem też i ja, towarzysząc Caridad Cyganisze, nie chciałem wszak przedstawienia przegapić. Nie wiem, czy napomykałem

już waszmościom, że Cyganicha liczyła podówczas trzydzieści, może trzydzieści pięć wiosen, że była Andaluzyjką piękną, wyzywającą, ciemnowłosą, nadal wielce zgrabną i nadobną, o ogromnych, czarnych, żywych oczach i pełnej piersi, że ongi przez pięć czy sześć lat pracowała jako aktorka, a potem drugie tyle jako kurtyzana w pewnym przybytku przy ulicy de las Huertas. Znużona takim bytowaniem, gdy tylko dostrzegła na twarzy pierwsze kurze łapki, za wszystkie oszczędności kupiła Gospodę Pod Turkiem, która z czasem pozwoliła jej na życie w miarę godne i wystawne. Dodam tu, co nie było zgoła nijakim sekretem, że Cyganicha po same uszy w kapitanie Alatryste była zakochana, dlatego też nie skąpiła mu strawy i napitków. I że z uwagi na bliskie sąsiedztwo i wspólne podwórze, na które wychodziły tylne drzwi gospody i mieszkania Cyganichy, obydwójce mogli sobie gruchać w łożu do woli. Naturalnie kapitan zawsze w mojej przytomności pełną dyskrecję zachowywał, atoli żyjąc z kimś pospołu, rychło pewne rzeczy dostrzegasz. A ja, choć młokos i do tego z zapadłego Oñate, matołkiem nie byłem.

Owego dnia, uważacie waszmościowie, dotrzymałem kompanii Caridad Cyganisze. Szliśmy ulicami Mayor, Montera i Alcala, aż dotarliśmy do rezydencji angielskiego ambasadora i włączyliśmy się w cizbę wiwatującą na cześć księcia Walii, stojąc wśród próżniaków i osobników wszelakich, którzy przybyli tam powodowani ciekawością. Ulica zamieniła się w deptak gwarniejszy niżli schody pod Świętym Filipem, rychło też zjawili się sprzedawcy zachwalający swe napoje i miody, słodkości i marynaty, w mig też stanęły naprędce sklecone stoiska ze strawą, by gapie głód mogli nasycić za parę miedziaków. Żebracy jęli lamentować, służące, paziowie i giermkowie harmider wszczynać, wszędy jęły krążyć najróżniejsze pogłoski i fantastyczne wymysły, z ust do ust powtarzane relacje z wydarzeń i płotki pałacowe, pod niebiosą wnoszono rozważę i śmiałość

młodego księcia, osobliwie niewiasty podkreślały jego elegancję i postawę oraz inne przymioty jego tudzież Buckingham. Tak oto przebiegało, z istic hiszpańskim ożywieniem, owo sobotnie przedpołudnie.

– Ależ on ułożony! – rzekła Cyganicha, ledwieśmy ujrzeni w oknie księcia. – Jakiż szykowny i wytworny... Oj, pasują ci do siebie z naszą infantką!

I suszyła łyż skrajem chusty. Jak większość żeńskiej części zgromadzenia, stała po stronie zakochanego – zuchwała wyprawa księcia zjednała mu sympatię ludu i wszyscy uważali, że sprawa jest przesądzona.

– Szkoda, że ten blondasek to heretyk. Ale wszystko w rękach dobrego spowiednika, a z czasem to i na chrzest pora przyjdzie... – Poczciwina swym prostym umysłem miarkowała, że anglikanie są jak Turcy, że do chrztu nie stają. – Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle.

I śmiała się, poruszając rytmicznie swymi wybujalymi piersiami, które nieodmiennie w wielką alterację mnie wprawiały i – choć naówczas niełatwo byłoby mi to wyeksplikować – przypominały mą macierz. Jak dziś pamiętam widok gorsu Caridad Cyganichy, gdy schylała się, podając do stołu, a jej bluzka wypełniała się pod ciężarem owych imponujących kształtów, smagłych i tajemniczych. Nierzadko zapytywałem siebie w duchu, co z nimi wyczynia kapitan, gdy posyła mnie po coś do sklepu albo każe mi na ulicę pójść poigrać, sam zaś z Cyganichą jeno zostaje, a ja, po schodach w dół idąc, słyszę jej śmiech głośny i radosny.

Tak tedy staliśmy tam i gorliwie wiwatowaliśmy na widok postaci w oknie się ukazującej, gdy wtem pojawił się kapitan Alatryste. Nie była to bynajmniej pierwsza noc, jaką poza domem spędził, gdzie tam, przeto ja ją przespałem jak dziecko, ufny i spokojny. Ledwie go wszakże przed Domem pod Siedmioma Kominami zoczyłem, wyczułem, że coś jest na rzeczy. Kapelusz miał głęboko na czoło nasunięty, płaszczem owinął się

wokół szyi, lice zaś miał nieogolone, choć poranek już dobrze w dzień był przeszedł – on, który przecie zawsze, jako stary wiarus, z najwyższą dyscypliną do własnej schludności podchodził. Jasne oczy kapitana też ślady zmęczenia i obawy zarazem nosiły, on sam zaś przesuwał się w ciżbie, rozglądając się podejrzliwie jak ktoś, kto lada chwila podstępu się spodziewa.

Pośród całego zbiegowiska znalazły się też osoby przedniejszego autoramentu, fotele na kółkach, lektyki i powozy, dostrzegłem wręcz dwie lub trzy karoce, z których wyglądały zza zasłonek damy i ich ochmistrzynie. Zaraz zakręcili się wokół nich żwawo kupcy obwoźni, proponując im chłodne napoje i smakołyki. Gdym na pojazdy okiem rzucił, rozpoznałem, jak mi się zdało, jeden z nich: czarny był, zaprzężony w dwa muły, i herbu na drzwiczkach nie posiadał. Stangret deliberował nad czymś w gronie gapiów, mogłem przeto aż do samych stopni podejść, przez nikogo niemolestowany. Tam zaś wystarczyły błękitne wejrzenie i jasne loki, bym pewności nabrał, że serce moje, walące mi teraz w piersi niby ptak, co na swobodę chce się wyrwać, nie pobłądziło.

– Do waszych usług – ozwałem się, usiłując z trudem głos swój siłą nasycić.

Zaiste niepojęte dla mnie było, jakim cudem tak młoda osóbka, jaką podówczas była Angelica de Alquezar, potrafiła uśmiechnąć się w sposób, w jaki uśmiechnęła się owego poranka przed Domem pod Siedmioma Kominami. Wszelako tak właśnie się stało. Uśmiech to był niespieszny, bardzo niespieszny, przepełniony jednocześnie pogardą i nieskończoną mądrością. Uśmiech, jakiego żadna podwika nie miałyby czasu nauczyć się od nikogo, uśmiech wrodzony, przenikliwy i połączony z owym dogłębnym spojrzeniem, jakie białogłowy jeno w dyspozycji swej mają. Uśmiech wynikający z odwiecznego przyglądania się w milczeniu wszelakim

głupstwom przez mężczyzn popełnianym. Zbyt nim pacholęciem byłem w owym czasie, bym mógł dostrzec, jacy słabi potrafią być przedstawiciele naszej płci i jak wiele nauki płynie z oczu i uśmiechu niewiasty. Ileż przeciwności losu ominąłbym w toku mego życia dorosłego, gdybym tylko więcej czasu na takie studia poświęcił! Nikt atoli nie rodzi się człkiem wykształconym, a nierzadko gdyś już posiadał wiedzę wszelką, za późno jest, byś mógł ją w pożytek dla zdrowia twego i korzyści obrócić.

Owóz jasnowłosa ślicznotka o oczach błękitnych niczym madryckie niebo zimowe uśmiechnęła się na mój widok, a nawet skłoniła się lekko w mą stronę, szeleszcząc jedwabiami swej sukni, i wsparła swoją białą, subtelną dłoń na ramie okienka. Stałem tuż przy stopniach powozu małej damy, a śmiałość mą podjudzały jeszcze ogólne podniecenie i powszechne rozmowy o szlachetnych czynach. Czułem się też mężniejszy dzięki wspanialszemu przyodziewkowi: miałem na sobie ciemnobrązowy kaftan i stare pludry kapitana Alatryste, które igła i nitka Caridad Cyganichy dopasowały do mej postury i sprawiły, że wyglądały jak nowe.

– Dziś nie ma błota na ulicy – rzekła tonem, który w drżenie wprowadził całe moje jestestwo. Głos miała cichy i uwodzicielski, zgoła niedzieliący. Niemal zbyt dojrzały jak na jej wiek. Takim głosem traktowały swych galantów niektóre damy w farsach i komediach wystawianych w publicznych teatrach. Atoli Angelica de Alquezar – której imienia naówczas jeszcze nie byłem świadom – nie była aktorką, jeno dzieckiem. Nikt jej nie był wpoił owego mrocznego echa, owego sposobu wymawiania słów, który sprawiał, że czułeś się kawalerem z krwi i kości, i ponadto jedynym w promieniu tysiąca mil.

– Nie ma błota – powtórzyłem, nie zwracając uwagi na to, co sam mówię. – I żałuję wielce, bo nie mam widomej możliwości, by móc jej służyć znowu.



Tu dłoń ku sercu uniosłem. Miarkujcie waszmościowie, żem niczego niewłaściwego nie uczynił, że gładka odpowiedź i gest mój odpowiednie były do stanu młodej damy i do okoliczności. Pewnikiem tak się stało, skoro miast się ze mną poróżnić, ponownie się uśmiechnęła. Ja zaś poczułem, że jestem najszcześniejszym, najwytworniejszym i najszlachetniejszym młodzieńcem na świecie.

– To paż tego, o którym wam mówiłam – ozwała się, słowa swe kierując do kogoś, kto obok niej w głębi powozu siedział, dla mnie niewidocznym pozostając. – Imię jego Inigo, mieszka przy ulicy Arcabuz. – Ponownie się zwróciła ku mnie, a gapiłem się w nią z otwartą gębą, urzeczony faktem, że była zdolna zapamiętać moje imię. – Razem z pewnym kapitanem, czyż nie tak?... Niejaki Batiste czy Eltriste.

W mrocznym wnętrzu powozu ruch się zrobił, po czym zrazu dłoń o brudnych paznokciach, potem ramię w czerń spowite zza dziewczęcia wychyło i o krawędź okienka się wsparło. Za nimi pojawił się płaszcz także czarny i kaftan z czerwonym krzyżem Zakonu Calatrava. Nareszcie ujrzałem oblicze mężczyzny liczącego czterdzieści kilka, może pięćdziesiąt lat, okrągłą głowę wyrastającą ponad wąską i źle wykrochmaloną kryzą, na niej liche i rzadkie włosy, siwiejące i pozbawione blasku, podobnie jak wąsik i bródka. Pomimo dostojnych szat z wejrzenia jego aż było nieokreślonym, acz nikczemnym prostactwem. Rysy miał ordynarne i odstręczające, kark tęgi, nos z lekka zaczerwieniony, dłonie o mydło wołające. Sposób zaś, w jaki głowę przekrzywił, i przede wszystkim wyzywający i chytry wzrok plebejusza, który dopiero co zyskał fortunę, wpływy i władzę – wprawiły mnie w niepokój, że indywiduum owo jest współpasażerem, a być może i krewnym, mojej młodziutkiej jasnowłosej lubej. Wszelako najbardziej zatrważający był raptowny błysk oczu, znak

nienawiści i furii, jakim w nich ujrzał, gdy dziewczyna wymówiła nazwisko kapitana Alatryste.



## VII. PARADA ULICZNA



azajutrz była niedziela. Rozpoczęła się od festynu, a mało brakowało, by dla Diega Alatryste i dla mnie zakończyła się tragedia. Ale nie uprzedzajmy wypadków. Odświętna część dnia sprowadzała się do parady, jaką król Filip Czwarty zarządził na cześć swych znakomitych gości, nim ich oficjalnie dworowi i infantce przedstawi. W owym czasie określenie „odbywać paradę” oznaczało tradycyjny przemarsz, jaki cały Madryt odbywał powozami, konno lub piechotą. Jego trasa przebiegała albo wzdłuż ulicy Mayor od kościoła Najświętszej Marii Panny z Almudena po schody pod Świętym Filipem i Puerta del Soi, albo wydłużała się dalej, aż po ogrody księcia de Lerma, kościół Hieronimitów i Błonia tymże nazwę swą zawdzięczające. Co się tyczy ulicy Mayor, był to trakt nie do ominięcia, wiodący z centrum miasta ku Zamkowi Królewskiemu, przy niej skupiał się handel srebrem i klejnotami i w ogólności eleganckie kramy. Dlatego też wraz z zapadnięciem zmroku wyjeżdżały na nią karoce wielkie damy wiozące, na poboczach zaś wykwitkali kawalerowie, którzy na ich względy liczyli. Z kolei Błonia Świętego Hieronima, przyjemne zarówno podczas słonecznych dni zimowych, jak i w letnie wieczory,

porośnięte były drzewami i zieleni pełne, zdobiły je dwadzieścia trzy fontanny oraz liczne ogródki murkami ogrodzone, a środkiem wiodła topolowa aleja, na której roiło się od powozów i przechodniów pogrążonych w serdecznych pogawędkach. Teren ów służył również jako miejsce wyborne do spotkań towarzyskich i do zalotów, sprzyjające ukradkowym schadzkom. Najprzedniejsza śmietanka dworska często tu była widywana. Najtrafniej wszelako owo madryckie paradowanie opisał kilka lat później mości Pedro Calderón de la Barca w jednej ze swych komedii: Rankiem pójdę do kościoła,

*Gdzie waćpanna wznosisz modły,  
Potem w parku, w czas pogodny,  
Przed twym liczkim schylę czoła;*

*Po zachodzie ruszą koła,  
Wioząc mnie na Błonie znowu;  
Tam do nocnych, skrytych łowów  
Wnet przystąpię, byś poczuła  
Sercem piękny ów rytuał:  
    *Kościół, parkan,  
    Błonie, powóz.**

Nie znajdziesz przeto lepszego miejsca, gdzie miłościwy pan nasz Filip Czwarty, stosownie do wieku swego w zalotach biegły, mógłby urządzić pierwsze oficjalne spotkanie swej siostry infantki i dziarskiego pretendenta do brytyjskiego tronu. Wszystko, ma się rozumieć, przebiec miało w granicach obyczajności i wedle protokołu Dworowi Kastylii właściwego. A reguły tego ostatniego tak ściśle były, że na przykład rodzina królewska

zawczasu ustalone miała, co czynić ma w każdym dniu i o każdej godzinie swego życia. Nie dziwota zatem, że nieoczekiwaną wizytę świętego kandydata na szwagra monarcha nasz uznał za sposobną, by przełamać surową pałacową etykietę i naprędce zarządzić festyn i publiczne rozrywki. W mig jęto przygotowania czynić, by karoce wiozące wszelkie co znaczniejsze osobistości mogły w paradzie uczestniczyć, lud zaś świadkiem był owego pokazu dostojności, który tak dumę narodową podsycał, a Anglikom bez wątpienia musiał się jawić czymś zgoła szczególnym i zdumiewającym. Naturalnie gdy przyszły Karol I zagadnął, jak mógłby powitać swą narzeczoną, chociażby zwykłym „dobry wieczór”, hrabia de Olivares i pozostali doradcy królewscy spojrzeli po sobie niespokojnie, po czym zakomunikowali Jego Wysokości słowami dyplomatycznymi wielce i wyważonymi, że co nagle, to po diable. Niemożliwością bowiem było, by ktokolwiek, nawet sam książę Walii, który jeszcze oficjalnie przedstawiony nie został, mógł się do infantki Marii zbliżyć i do niej się ozwać, jak również do którejkolwiek innej damy z Filipowego dworu. Gwoli wszelkich zasad przyzwoitości młodzi mogą się zobaczyć podczas parady i tyle.

Ja sam znajdowałem się w ciżbie wśród ciekawskich i przyznać muszę, że cały spektakl był pokazem galanterii i elegancji najwyższej próby, stawiała się tam cała śmietanka Madrytu w najprzedniejsze stroje odziana. A jednocześnie, z powodu wciąż oficjalnie nieujawnionej tożsamości naszych dostojnych przybyszów, wszyscy zachowywali się zgoła swobodnie, jak gdyby nigdy nic. Książę Walii, Buckingham, ambasador Angielski i hrabia de Gondomar, nasz wysłannik do Londynu, siedzieli w zaryglowanej karocy przy bramie traktu na Guadalajarę – karocy niewidocznej, jako że formalnie zakazane było obdarzanie jej pasażerów nie tylko wiwatami, ale choćby uwagą – i to stamtąd Karol pierwszy raz zobaczył powozy, którymi

przejechała rodzina królewska. W jednym z nich ujrzał wreszcie, tuż obok naszej przecudnej dwudziestoletniej królowej pani Elżbiety z Burbonów, infantkę Marię w pełni rozkwitu jej młodości, jasnowłosą, powabną i skromną, w błyszczące brokaty przyodzianą. Do ramienia przytroczoną miała umówioną błękitną wstążkę, by jej adorator mógł ją rozpoznać. Paradując w tę i nazad wzdłuż ulicy Mayor i wedle Błoni, karoca owa trzykrotnie przejechała przed oczami Anglików, a choć książę ledwie czas miał, by dostrzec modre oczy i złociste włosy przyozdobione piórami i drogimi kamieniami, powiadają, że z miejsca w naszej infantce się zakochał. I tak być musiało, jako że kolejne pięć miesięcy w Madrycie zmitrężył, o jej rękę się starając, a tymczasem król podejmował go jak własnego brata, hrabia Olivares zaś decyzję odwlekał i w sposób wielce dyplomatyczny starał się konkurenta zniechęcić. Taka z tego korzyść, że w nadziei na rychłe zrękowiny Anglicy powstrzymali co nieco swych piratów, korsarzy i swoich niderlandzkich takich owakich przyjaciół, którzy nękali nieustannie nasze galeony z Indii ciągnące. Nie ma więc tego złego.

Puściwszy mimo uszu namowy hrabiego de Guadalmedina, kapitan Alariste ani nóg nie wziął za pas, ani nigdzie się nie ukrywał. Napomknąłem już w poprzednim rozdziale, że tego samego ranka, gdy Madryt wieść o przybyciu księcia Walii obiegnęła, kapitan pojawił się przed Domem pod Siedmioma Kominami, sam go miałem też sposobność w tłumie zoczyć na ulicy Mayor podczas przesławnej parady niedzielnej, jak w zamyśleniu na karocę Anglików popatrywał. Owszem, kapelusz na oczy był nasunął, płaszczem też się czujnie osłonił. Bądź co bądź, dworność i odwaga nie znaczą od razu, by strzepić wszem wobec język po próżnicy.

Nic mi o nocnej przygodzie nie opowiadał, zmiarkowałem atoli, że coś się dzieje. Następnej nocy polecił mi spać u Cyganichy, mówiąc, że musi przyjąć u siebie jakichś ludzi, do których sprawę ma pilną. Później

dowiedziałem się wszelako, że sam do rana czuwał, w pogotowiu trzymając dwa nabite pistolety, rapier i sztylet. Na szczęście do niczego nie doszło, o brzasku przeto mógł spokojnie zasnąć. Takim go znalazłem nazajutrz z rana: dymiący kaganek zgoła bez oliwy, on sam zaś na łóżku wyciągnięty, w pomiętym ubraniu, broń w zasięgu ręki, oddycha ciężko i miarowo przez półprzymknięte usta z zaciętym wyrazem na zafrasowanej twarzy.

Kapitan Alatryste był sceptykiem. Walczył był przecie we Flandrii i na Morzu Śródziemnym, od kiedy w wieku trzynastu lat ze szkół czmychnął, by zaciągnąć się jako paź i doboosz – i może to ów los starego wiarusa odcisnął na nim charakterystyczne piętno, skutkiem którego i niebezpieczeństwa, i złe nawroty fortuny, i w ogólności niedole tudzież gorycz surowego, trudnego żywota przyjmował ze stoicyzmem człeka, co niczego innego spodziewać się nie nawykł. Postawę jego wybornie opisuje definicja, jaką określił nieco później Hiszpanów francuski marszałek Gramont: „Odwaga jest u nich przymiotem naturalnym, jako też cierpliwość w pracy i ufność w nieszczęściu... Panowie wojskowi rzadko dziwią się, gdy klęskę odnieść im przyjdzie, pocieszają się nadzieją na rychły nawrót pomyśl –niejszego losu.... Przytoczę jeszcze inną Francuzkę, Madame d'Aulnoy: „Dojmująca niedola, nędza bywa ich udziałem. A przecież wtedy właśnie, zda, się rośnie ich odwaga, wyniosłość i duma, bardziej niżli w czasie dostatku i dobrobytu". Jak Bóg na niebie, wszystko to najprawdziwsza prawda. Ja sam, którym doświadczył i takiej, i większej krzywdy od losu w czasach późniejszych, mogę tu bez wahania zaświadczyć. Co do Diega Alatryste, dumę i wyniosłość krył wewnątrz siebie, a ich jedynym widomym znakiem było uporczywe milczenie. Mówiłem już waszmościom, że w przeciwieństwie do tylu fanfaronów, co to wąsa podkręcają i pyszną się lada czym na ulicach i placach stołecznych, on przenigdy nie przechwalał się wspomnieniami z pól

bitewnych. Bywało atoli, że jego dawni kompani z wojennego szlaku, wokół karafki dobrego wina skupieni, wyciągali historie o mym kapitanie, których chciwie wysłuchiwałem. Dla mnie, młokosa przecie, Diego Alatryste był jeno kopia ojca mego, który poległ w chwale pod królewskim sztandarem – jednym z tych maluczkich, niezłomnych i dzielnych ludzi, którymi Hiszpania zawsze szcudrze była obdarowana, na dobre i na złe. To o nich pisał Calderón (mój pan Alatryste zechce mi wybaczyć – świeć nad jego duszą, ktokolwiek pieczę nad nią teraz sprawujesz – że miast jego umiłowanego Lopego, co rusz mości Pedra cytuję):

*... W każdej chwili spokój Cenią,  
choćby trzos ich pustką zionął.  
Nigdy nie przyćmił im lęk nagły wzroku,  
Dumę z nich każdy nieraz już powściągnął.  
Znoszą cierpliwie wszelką kolej losu,  
Prócz ordynarnie łającego głosu.*

Pamiętam incydent, który osobliwe wrażenie na mnie wywarł, szczególnie że dobitnie obrazuje on postawę kapitana Alatryste. W Gospodzie Pod Turkiem Juan Vicuña, który był sierżantem jazdy podczas niesławnej klęski naszych regimentów na wydmach Nieuwpoort – nieszczęsne matki, których synów tam posłano! – nie raz i nie dwa opowiadał, przesuając po stole kawałki chleba i karafki z winem, jak do tej sromoty hiszpańskiego żołnierza doszło. On, mój ojciec i Diego Alatryste należeli do tych szczęśliwców, którym dane było zachód słońca ujrzyć, kres owemu fatalnemu dniowi kładący. Czego nie można rzec o pięciu tysiącach naszych rodaków, w tym stu pięćdziesięciu dowódców i kapitanów, poległych pod ciosami Holendrów, Anglików i Francuzów (co



to, choć niejednokrotnie między sobą byli wojowali, gdy przyszło naszym dupy skroić, łącznie sojusz zawiazali...). Pod Nieuwpoort udało im się, że paluszki lizać: zginął marszałek polny mości Gaspar Zapena, a do niewoli poszli admirał wojsk Aragonii i inni ważni dowódcy. Gdy siły nasze już precz pierzchły, Juan Vicuña, widząc, że wszyscy jego przełożeni padli, samemu ranionym będąc w ramię, które gangrena zżarła mu w ciągu kilku następnych tygodni, wycofał się na tyły z niedobitkami zdziesiątkowanej swej kompanii i oddziałów sprzymierzonych. I opowiadał Vicuña, że kiedy ostatni raz za siebie spojrział, nim ostatecznie wziął nogi za pas, zobaczył, jak Stary Regiment z Cartageny (gdzie służyli mój ojciec i Alatryste) usiłuje opuścić usłane nieboszczykami pole bitwy na przekór wrażym strzałom i kulom, lecącym z nieba na podobieństwo ulewy. Jak okiem sięgnąć, żołnierz leżał martwy, dogorywał albo ucieczką się salwował, powiadał Vicuña. I w środku tej katastrofy, pod prażącym słońcem, które zmieniło wydmy w piaszczystą patelnię, wśród silnego wichru, wszędy pył i dymy rozsnuwającego, najeżone pikami siły owego regimentu, uszykowane w kwadrat wokół poszarpanych przez pociski sztandarów, pluły z muszkietów na cztery strony świata i powoli, nie łamiąc porządku, cofały się nieustraszenie, zwierając szyki, gdy tylko artyleria nieprzyjacielska zdołała wyłom jakiś uczynić z daleka. Gdy zatrzymać się przychodziło, żołnierze spokojnie naradzali się ze swymi oficerami, by w mig w dalszą drogę ruszyć, bić się nie przestając. Groźni byli nawet w chwili klęski. Zwarci i spokojni, jakby to paradna musztra była, której tempo wyznaczał powolny warkot tarabanów.

– Regiment z Cartageny dotarł do Nieuwpoort o zmroku – kończył Juan Vicuña, swą jedyną ręką przesuwając po blacie stołu ostatnie okruchy i szklanki. – Jak zwykle w szyku i bez popłochu. Siedmiuset chłopów z tysiąca stu pięćdziesięciu, którzy do bitwy byli przystępowali... Lope Balboa i

Diego Alatryste szli wraz z nimi, czarni od prochu, usychający z pragnienia i na ostatnich nogach. Ocalili skórę, bo nie przerwali szyku, bo krew zimną zachowali, gdy wokół szalała plaga. A wiecie waszmościowie, co odrzekł mi Diego, gdym go uściskał i winszował, że z, życiem ująć zdołał?... Owóż popatrzył na mnie tymi swoimi oczami, zimnymi jak przekłete holenderskie kanały, i powiedział: „Byliśmy zbyt zmęczeni, żeby uciekać biegiem”.

Nie przyszli po niego w nocy, jak się był spodziewał, jeno pod wieczór i na modłę dosyć oficjalną. Gdy stukanie do drzwi słysząc, poszedłem otworzyć, na zewnątrz ujrzałem krzepką postać rotmistrza straży Martina Saldaña. Na schodach i podwórzu stali pachołkowie – z pół tuzina może – w dodatku niektórzy broń mieli na wierzchu.

Saldaña wszedł sam, uzbrojony po zęby, drzwi za sobą zamknął, ale ani kapelusza nie zdjął, ani rapiera od pendentu nie odczepił. Alatryste czekał już na środku izby, stojąc w samej koszuli. Właśnie odkładał sztylet, po który sięgnął był raptownie, słysząc łomotanie.

– Na rany Chrystusowe, Diego, bardzo mi tu wszystko ułatwiasz – burknął Saldaña, udając, że nie dostrzega dwóch pistoletów skałkowych leżących na stole. – Mogłeś chociaż z Madrytu się oddalić. Albo mieszkanie zmienić.

– Nie ciebie się spodziewałem.

– Tak miemam, że nie mnie – Saldaña obrzucił wreszcie krótkim spojrzeniem pistolety, przeszedł kilka kroków, zdjął kapelusz i nakrył nim broń. – Ale kogoś z pewnością.

– Com takiego uczynił?

Stałem wedle drzwi do drugiej izby i wielce się trwożyłem. Saldaña zerknął na mnie i znów przeszedł się kilka kroków. On też przecie we Flandrii stał się druhem mego ojca.

– Niech szczenę, jeśli wiem – odparł kapitanowi. – Mam rozkazy doprowadzić cię żywego lub martwego w razie, gdybyś opór stawiał.

– O co mnie obwiniają?

Dowódca straży wymijająco wzruszył ramionami.

– Nikt cię nie obwinia. Ktoś chce z tobą porozmawiać.

– A kto wydał rozkaz?

– Nie twoja rzecz wiedzieć. Ktoś go wydał i basta – znów spojrział nań ze znużeniem, jak gdyby cały ciężar własnej sytuacji chciał na kapitana rzucić. – Zdradzisz mi, Diego, co się tu święci? Nie masz pojęcia, jakie chmury nad tobą zawisły.

Na ustach Alatrísteego pojawił się krzywy uśmiech bez krzty rozbawienia.

– Jam tylko pracę przyjął, którą mi poleciłeś.

– W złą godzinę tom uczynił i złą sławą się okryłem! – Saldaña westchnął hałaśliwie. – Bóg mi świadkiem, że ci, co cię wynajęli, wyglądają, jakbyś zgoła ich nie zadowolił.

– Bo była to zbyt brudna robota, Martin.

– Brudna?... I cóż ci do tego? Nie pomnę, czym jakkolwiek czystą robotę wykonał w ciągu ostatnich trzech dziesiątków lat. A wątpię, by twoje rachunki były inne.

– Była brudna nawet jak dla nas.

– Nic więcej nie mów – Saldaña uniósł dłonie, jakby zasłaniał się przed pokusą głębszej wiedzy. – O niczym nie chcę słyszeć. W dzisiejszych czasach lepiej wiedzieć za mało niż za dużo... – Jeszcze raz popatrzył na kapitana z niepokojem i twardo zarazem. – Pójdiesz po dobroci czy nie?

– Jakie mam atuty?

Saldaña rozważył rzecz naprędce. Nie zabrało mu to dużo czasu.

– Cóż – ozwał się wreszcie. – Mogę zaczekać tu, aż spróbujesz sił swoich przeciwko ludziom, którzy są tu ze mną... Licho bronią władają, ale jest ich sześcioro. I tuszę, że nim na ulicę dotrzesz, pierwaj parę razy dosięgnie cię czyjś ostrze, a może i jakiś pistolet.

– A po drodze?

– Ryglowany powóz, przeto zapomnij. Trzeba ci było za pas nogi brać, zanim tu przysięliśmy, mądralo. Czasu miałeś aż nadto – spojrzenie Saldańi pełne było wyrzutu. – Niech mnie wszyscy diabli, jeśli spodziewał się ciebie tu zastać!

– Dokąd mnie wiesziesz?

– Tego ci wyznać nie mogę. I tak powiedziałem więcej, niż mi wolno było. – Wciąż stałem w drzwiach do drugiej izby i dowódca straży znów na mnie zerknął. – Chcesz, żebym chłopakiem się zajął?

– Nie, nie trzeba – Alatryste nawet na mnie nie spojrział, własnymi myślami zaprzątnięty. – Cyganicha się nim zaopiekuje.

– Wedle woli. Idziesz?

– Powiedz, Martin, dokąd jedziemy. Tamten pokręcił posępnie głową.

– Mówiłem ci już, że nie mogę.

– Ale nie do królewskiego więzienia, prawda? Milczenie Saldańi było wymowne. Wówczas na obliczu kapitana wykwit! grymas, który czasami rolę uśmiechu odgrywał.

– Masz mnie zabić – zagadnął ze spokojem. Saldańa ponownie głową pokręcił.

– Nie. Słowem mym się klnę, że *rozkaz* brzmiał wyraźnie: dostarczyć cię żywego, o ile nie stawisz oporu. Inna sprawa, czy potem pozwolą ci stamtąd odejść... Atoli wówczas nie ja będę cię miał na łbie.

– Gdyby rzecz całą bez ceregieli chciał ów ktoś załatwić, wykończyliby mnie tu na miejscu – Alatryste pociągnął palcem po gardzieli, naśladując

ruch noża. – Posłali cię, bo im na oficjalnej pieczęci zależy... Aresztować, przesłuchać, może potem na wolność wypuścić i tak dalej. A po drodze ktoś wie, co się zdarzy...

Saldaña bez ogródek się z nim zgodził.

– Takoż i ja mniemam – rzekł roztropnie. – Dziwi mnie, że oskarżeń nijakich nie rzucają, wszak prawdziwe czy fałszywe najłatwiej na świecie spreparować. Boją się może, że zaczniesz ozorem mleć... Zgodnie z rozkazami nie wolno mi z tobą ni słowa zamienić. Mam też nie wpisywać nazwiska twego do rejestru zatrzymanych... Boże Przenajświętszy!

– Pozwól mi mieć przy sobie broń, Martin. Rotmistrzowi straży aż oczy na wierzch wyszły ze zdumienia.

– Mowy nie ma – odrzekł po dłuższym milczeniu. Umyślnie powolnym ruchem kapitan wyjął i pokazał mu swój rzeźnicki nóż.

– Tylko tę.

– Rozum ci odjęło. Masz mnie za głupca? Alatryste pokręcił głową.

– Chcą mnie zamordować – rzekł prosto z mostu.

– W naszym fachu to nic nowego, przychodzi prędzej czy później. Nie chciałbym wszelako *rzeczy* całej ułatwić – tu znów wykrzywił twarz w czymś podobnym do uśmiechu.

– Przysięgam, że przeciwko tobie jej nie użyję.

Saldaña poskrobał się po brodzie starego wiarusa. Szrama, którą skrywała, ciągnąca się od ust po prawe ucho, była dziełem Holendrów, pamiątką po oblężeniu Ostendy, gdy doszło do ataku na reduty Caballo i Cortina. U jego boku tego dnia, i nie tylko, stał wówczas Diego Alatryste.

– Ani przeciwko nikomu z moich ludzi – ozwał się wreszcie.

– Słowo.

Dowódca straży wahał się jeszcze przez moment. W końcu odwrócił się doń plecami, klnąc pod nosem, na czym świat stoi. Kapitan tymczasem

wsunął nóż za cholewę buta.

– Niech to diabli, Diego – burknął Saldaña. – Idźmyż wreszcie, do kroćset.

I poszli, nie strzępiąc więcej ozorów. Kapitan nie zechciał płaszczą wziąć ze sobą, wolał się pewnikiem czuć swobodniej, na co Martin Saldaña zgodę swą wyraził. Zezwolił mu też na przywdzianie napierśnika z bawolej skóry na kaftan. „Nie zmarzniesz” – powiedział z wymuszonym uśmiechem. Ja zaś anim w domu zostałem, anim u Cyganichy się schroniłem. Ledwie po schodach zeszli, niewiele myśląc, pistolety ze stołu i rapier ze ściany pochwyciłem, zawinąłem zgrabnie w płaszcz, pakunek pod pachę wsunąłem i pomknąłem w ślad za nimi.

Dzień w Madrycie chylił się ku zachodowi, dachy i dzwonnice odcinały się na tle ostatnich blasków nad doliną Manzanares i Zamkiem Królewskim. Zmierzch już zapadał, cień brał w posiadanie kolejne ulice, a ja mknąłem trop w trop za zamkniętym powozem zaprzężonym w czwórkę mułów, którym Martin Saldaña i jego pachołki mego kapitana uwozili. Minęli kolegium Towarzystwa Jezusowego w głębi ulicy Toledo, następnie placyk Cebada, i zapewne chcąc uniknąć tłoczniejszych tras, skręcili ku wzniesieniu, na którym znajduje się fontanna Rastro, by zaraz ponownie pojechać w prawo, niemal skrajem miasta. Następnie wedle traktu na Toledo, obok rzeźni i dawnego cmentarza mauretańskiego, które to miejsce do dziś nosi fatalne imię Bramy Duchów. Zważywszy jego makabryczną historię i obecną ponurą porę, okolica ta bynajmniej nie działała na mnie uspokajająco.



Gdy na amen się ściemniło, stanęli przed domem, co ruiną się wydawał, o dwóch niewielkich oknach i olbrzymiej sieni, którą łącznie bramą wjazdową dla zaprzęgów zwać by należało. Jak tuszę, musiał to być niegdyś zajazd dla handlarzy bydłem. Zziąjany i za słupkiem narożnym skryty, obserwowałem ich, nadal ściskając zawiniątko pod pachą. Widziałem przeto, jak Alatryste wychodzi z powozu ze spokojną rezygnacją, otoczony przez Martina Saldañę i jego świtę, a po chwili

ujrzałem, jak oddział wraca już bez kapitana, wsiada i precz odjeżdża. Wielce mnie to zatrwożyło, nie wiedziałem bowiem, kto w środku być może. Gdybym bliżej podszedł, ani chybi wpadłbym w czyjeś łapska. Zdjęty przeto strachem, ale cierpliwy jak prawdziwy wojak – sam Alatryste raz coś takiego był powiedział – wsparłem się plecami o mur, by w ciemność jak najłaciej się wtopić, i postanowiłem czekać. Wyznaję waszmościom, że chłód i lęk przeszły mnie do szpiku kości. Ale jako syn Lopego de Balboa, poległego we Flandrii żołnierza Jego Królewskiej Mości, nie mogłem opuścić mego kapitana w niedoli.





## VIII. BRAMA DUCHÓW



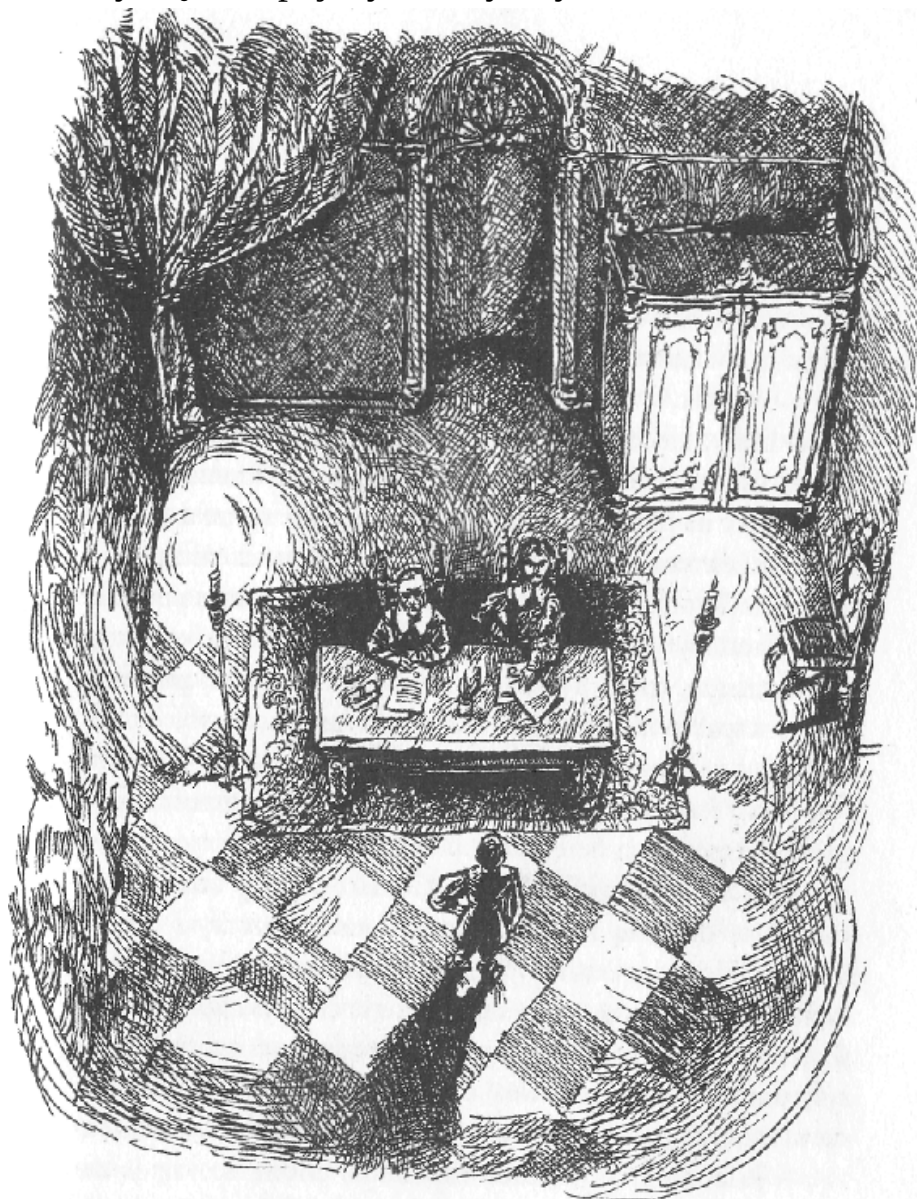
yglądało to jak sąd i Diego Alatryste najmniejszych wątpliwości nie żywił, że przed sądem właśnie stanął. Brakowało tylko jednego z zamaskowanych, owego potężnego, co to znacznego rozlewu krwi chciał uniknąć. Wszelako drugi z nich, o okrągłej czaszce skapo włosami okrytej, był jak najbardziej obecny, z tą samą zasłoną na twarzy. Siedział za długim stołem, na którego blacie znajdował się zapalony kandelabr i przybory do pisania: pióro, papier tudzież inkaust. I byłby człek ów największą trwogę wzbudzał samym swym wyglądem i bycia sposobem, gdyby obok nie zasiadała jeszcze straszliwsza postać, z obliczem odkrytym i kościstymi dłońmi, wysuwającymi się niczym żmije z rękawów habitu – brat Emilio Bocanegra.

Więcej stolców nie było, kapitan przeto całe przesłuchanie spędził na stojąco. Istotnie bowiem było to typowe przesłuchanie, a w tej profesji dominikanin czuł się jak ryba w wodzie. Znać było, że wściekłość go zżera, absolutne przeciwieństwo chrześcijańskiego miłosierdzia. W drżącym świetle kandelabru jego zapadłe, nieogolone policzki wyglądały jeszcze

bardziej złowrogo, a w oczach, którymi przebijał kapitana niemal na wskroś, nienawiść ognie rozpaliała. Wszystko w nim, od sposobu stawiania pytań po najlżejszy ruch, budziło absolutną grozę, przeto Alatryste rozejrzał się na boki, by sprawdzić, gdzie też mogą stać narzędzia, którymi później torturować go będą. Zaskoczyło go, że Saldaña wycofał się wraz ze swymi łotrami, a wokół żadnej straży nie uświadczył. Wyglądało na to, że zebrali się tu jeno człowiek w masce, duchowny i on. Wielce mu się to wszystko wydało dziwne, coś wyraźnie nie pasowało. Albo kryło się tu oszustwo jakoweś, albo pozory go myliły.

Inkwizytor i jego kompan przez dobre pół godziny zadawali mu pytania, ten drugi co chwila nad stołem się pochylał, by pióro w kałamarzu umoczyć i uwagę jakąś zapisać. Po upływie tego czasu kapitan mógł już zmiarkować co nieco co do miejsca i okoliczności oraz czemu wciąż żyw pozostaje i ruszać językiem może, żeby słowo wymówić, a nie leży w jakimś dole niczym bydlę zarżnięty. Zrazu sędziów interesowało, co, jak wiele i komu opowiadał. Siła pytań zadali na temat roli, jaką pamiętnej nocy odegrał Guadalmedina, osobliwie zaś, w jaki sposób hrabia został w rzecz całą wplątany i co o sprawie całej wiedział. Inkwizytorzy dopytywali się również, czy jeszcze ktoś dowiedział się o incydencie i kto mógł poznać szczegóły zlecenia, które tak mizernie wykonał był Diego Alatryste. Ten ze swej strony najwyższą zachował czujność i niczego ani nikogo nie zdradził, utrzymując cały czas, że udział Guadalmediny był zgoła przypadkowy, lubo obydwaj sędziowie zdawali się w to mocno wątpić. W duchu kapitan doszedł do przekonania, że jego rozmówcy mają na królewskim Dworze kogoś zaufanego, który ich powiadamiał o wszelkich ruchach hrabiego podczas incydentu z Anglikami, zarówno w nocy, jak i w trakcie następującego po niej ranka. Wszelako twardo zeznawał, jakoby ani Alvaro de la Marca, ani ktokolwiek inny o spotkaniu z dwoma zamaskowanymi

mężczyznami i dominikaninem pojęcia nie miał. Na odpowiedzi, jakich udzielał, składały się albo pojedyncze sylaby, albo zdawkowe ruchy głową.



Pod napierśnikiem z bawolej skóry odczuwał wielkie gorąco – choć może raczej skutkiem leku, z jakim rozglądał się, sam siebie zapytując, skąd też wyjdą kaci, pewnikiem gdzieś tu ukryci, by rzucić się nań i skutego poprowadzić do samych wrót piekielnych. W pewnym momencie przerwa nastąpiła, podczas której osobnik w masce stawił powoli wprawną

ręką skryby równe litery, klecha tymczasem wbijał w kapitana swe demoniczne, chorobliwe spojrzenie, najbardziej niezłomnemu mężowi włosy na łbie zjeżyć zdolne. Diego Alatryste ze zdziwieniem zmiarkował, że dotąd nikt nie spytał go, czemu podbił był rapier Włocha, widowym było, że jego prywatne pobudki nie obchodziły ich tu ani trochę. I właśnie wówczas brat Emilio Bocanegra, jakby potrafił w myślach mu czytać, poruszył dłonią wspartą na ciemnym, drewnianym blacie, wycelował siny palec w kapitana i ponownie zastygł.

– Co każe człowiekowi szeregi Bożej armii opuścić i na stronę bezbożnych heretyków przechodzić?

Paradne – pomyślał Diego Alatryste – żeby armią Bożą nazwać tę mizerną trójkę, z dominikanina, skryby i owego łajdaka Włocha złożoną. W innych okolicznościach może i zarechotałby w głos, ale teraz jakoś nie do śmiechu mu było. Wytrzymał jeno bez zmruczenia oka świdrujący wzrok inkwizytora i tego drugiego, który pisać właśnie przestał i przypatrywał mu się zgoła bez serdeczności poprzez dziurki w masce.

– Nie wiem – odrzekł kapitan. – Może to, że jeden z nich, gdy śmierć mu w oczy zajrzała, błagał o pomoc nie dla siebie, a dla swego towarzysza.

Inkwizytor i jego kompan zamienili ze sobą krótkie, niedowierzające spojrzenie.

– Boże Przenajświętszy – mruknął duchowny.

Mierzył go oczami przepełnionymi fanatyczną pogardą. Ani chybi jestem trupem – wyczytał kapitan z jego ciemnych, bezlitosnych źrenic. Cokolwiek uczynię, cokolwiek powiem, te mściwe oczy już wydały na mnie wyrok, łącznie to widać i po nich, i po osobliwej apatii, z jaką ów drugi człek jął na powrót na papierze pisać. Życie Diega Alatryste y Tenorio, żołnierza starych regimentów we Flandrii, zabijaki szukającego pracy na ulicach Madrytu pod panowaniem Filipa Czwartego, ważyło teraz tyle, ile

tych dwóch osobników dowiedzieć się odeń chciało. A tego, o ile mógł zmiarkować z obrotu rozmowy, niewiele już pozostało.

– Owóż kompan waszmości owej nocy – osobnik w maseczce mówił, nie przerywając pisania, a jego nieprzyjemny głos zwiastował adresatowi ponurą dolę – zgoła nie miał takich skrupułów.

– Daję wiarę – przyznał kapitan. – Zdawało mi się, że znajduje w tym ukontentowanie.

Tamten zamarł przez chwilę z uniesionym w dłoni piórem i posłał mu kpiące spojrzenie.

– Cóż za niegodziwiec. A waszmość?

– Ja w zadawaniu śmierci nijakiego ukontentowania nie znajduję. Nie żywił to mój, jeno praca.

– Pojmuję – odrzekł skryba, maczając pióro w inkauscie i powracając do przerwane go zajęcia. – Rychło okaże się, że jesteś waszmość uosobieniem miłosierdzia chrześcijańskiego...

– Myli się wasza miłość – powiedział ze spokojem kapitan. – Jestem znany jako człowiek, który łacniej ciosy rapierem rozdaje niżli dobrodziejstwa.

– I jako taki zostałeś waszmość rekomendowany, niestety.

– Bo też prawda to. Wszelako, lubo nieprzychylny los sprawił, żem tak nisko upadł, całe życie przewojowałem jako żołnierz i pewnych rzeczy wyzbyć się nie potrafię.

Dominikanin, który podczas owej wymiany zdań zachował spokój sfinksa, raptem aż się wzdrygnął, po czym pochylił się nad stołem, jak gdyby na miejscu chciał natychmiast kapitana trupem położyć.

– Wyzbyć się?... Wy, żołnierze, to motłoch – oznajmił z niebotyczną odrazą. – Zbrojna banda bluźnierców, rabusiów i wszeteczników. O jakich

to diabelskich skrupułów nam tu perorujesz waszmość?... Życie ludzkie miedziaka nie jest dla was warte.

Kapitan przyjął ten atak w milczeniu i dopiero gdy cisza zapadła, wzruszył ramionami.

– Bez wątpienia słusznie wasza miłość prawi – rzekł. – Są atoli sprawy do wytłumaczenia trudne. Miałem zabić owego Anglika. I uczyniłbym to, gdyby jeno się bronił lub łaski dla siebie samego błagał... Ale on poprosił o zmiłowanie nad tym drugim.

Zamaskowana mężczyzna o okrągłej czaszce na powrót przerwał pisanie.

– Czy wówczas objawili wam swą tożsamość?

– Nie, choć mogli to zrobić i tym samym życie swe może ocalić. Ja wszelako byłem żołnierzem przez trzydzieści lat bez mała. Zabijałem i czyniłem inne rzeczy, za które dusza ma będzie potępiona... Umiem jednak docenić postępki człeka męznego. A ci młodzi ludzie okazali męstwo, choć to schizmatycy.

– Takie znaczenie ma dla waszmości męstwo?

– Czasami tylko to pozostaje – wypalił kapitan. – Osobliwie w obecnych czasach, skoro nawet sztandary i imię Boże służą do załatwiania interesów.

Jeśli po tych słowach jakichś uwag się spodziewał, to na próżno. Człek w masce wpatrywał się weń jeno z atencją.

– Teraz oczywiście wiesz waszmość, kim są owi Anglicy. Alatryste milczał przez chwilę, po czym wydał z siebie głębokie westchnienie.

– A uwierzyłby wasza miłość, gdybym zaprzeczył?... Od wczoraj cały Madryt o tym ćwierka – spojrzał znacząco na dominikanina, a później na człowieka w masce. – I raduję się, że nie obciążylem owej nocy mego sumienia.

Zamaskowany skrzywił się oschle, jakby chciał strząsnąć z siebie to, czego Diego Alatryste nie zechciał wziąć na siebie.

– Nuży nas już wasze nieszczęsne sumienie, kapitanie. Pierwszy raz tak się doń zwrócił. W tonie głosu łącznie ironię wyczuć można było i Diego Alatryste zmarszczył brwi. Nie spodobało mu się takie traktowanie.

– Mało mnie obchodzi, czy was nuży, czy nie – odrzekł. – Ja nie lubię zabijać książąt, nie wiedząc, że nimi są – kręcił wąsa z nieukontentowania. – Nie lubię też, gdy ktoś mnie oszukuje albo za plecami mymi grę toczy.

– A nie bierze waszmości ciekawość – wtrącił brat Emilio Bocanegra, dotąd przysłuchujący się chciwie – co sprawiło, że kilku zacnych ludzi postanowiło o wykonaniu owych wyroków? ... Ze chciało zapobiec, by nieczne łotry nadużyły dobrej woli naszego Pana Najjaśniejszego i infantkę Hiszpanii jak zakładniczkę do ziemi heretyckiej uprowadziły?...

Alatryste z wolna pokręcił głową.

– Anim tego ciekaw. Miarkujże też wasza miłość, że nie próbuję się wywiedzieć, kim jest ten tu pan, co się za maską skrywa... – Popatrzył na obydwu przesłuchujących z kpina i zuchwałością w oczach. – Ani też kim był ów, co przed odejściem dopominał się, by panom Johnowi i Thomasowi Smithom jeno skórę przetrzepać, listów i dokumentów pozbawić, życie im atoli darować.

Dominikanin i jego towarzysz milczeli przez chwil kilka, jakby coś rozważali. W końcu przemówił ten w masce, swym powalany inkaustem paznokciom się przypatrując.

– A domyślasz się waszmość, kim jest ów mąż?

– Nie domyślam się niczego, do kroćset. Wplątałem się w historię, która mnie przerosła, i mocno tego żałuję. Teraz chciałbym tylko wyjść z tego cały.

– Za późno – powiedział duchowny głosem tak cichym, że kapitanowi syk węża przypominał.

– A do naszych dwóch Anglików wracając – odezwał się znów drugi mężczyzna. – Jak może pamiętasz waszmość, po odejściu owego człowieka Jego Wielbność i ja daliśmy wam zgoła inne wskazówki...

– Pamiętam. Ale także pamiętam, że tamtego człowieka darzyłeś waszą miłość osobliwym respektem i że z jego postanowieniami nie dyskutowałeś, zanim zza zasłony nie wyszedł Jego... – Alatryste zerknął z ukosa na dominikanina, który cały czas spokój zachowywał, jakby rzecz cała nie jego dotyczyła – Jego Wielbność. I może to także wpłynęło na moją decyzję, by darować życie obydwu Anglikom.

– Darowaliście je, biorąc uprzednio całkiem grzeczną sumkę.

– Zgoda – tu kapitan sięgnął do pasa. – Oto i ona. Złote monety potoczyły się po stole, błyszcząc w świetle kandelabru. Brat Emilio Bocanegra nawet nie spojrział na nie, jak gdyby zły urok rzucały. Drugi przesłuchujący wszakże dłoń wyciągnął i ją przeliczać pieniądze, układając je w dwa stosiki wedle kałamarza.

– Brakuje czterech dublonów – rzekł nareszcie.

– Tak. Na poczet kosztów własnych. I za to, że dałem z siebie błazna uczynić.

Z bezruchu wytrącił klechę raptowny napad furii.

– Jesteś zdrajcą i lekkoduchem – przemówił głosem drżącym z nienawiści. – Wskutek niewczesnych skrępałów twoich ocaliłeś wrogów Boga i Hiszpanii. Wszystko to odpokutujesz, masz na to moje słowo, ponosząc najdotkliwsze kary piekielne, wcześniej atoli zapłacisz też za to bardzo drogo tu na ziemi, własnym śmiertelnym ciałem... – Słowo „śmiertelne” w jego zimnych, zaciśniętych ustach zabrzmiało osobliwie złowrogo. – Zbyt wiele widziałeś, zbyt wiele słyszałeś, zbyt wiele błądziłeś.



Dalsze istnienie waszmości, kapitanie Alatryste, nie jest już do niczego przydatne. Jesteś trupem, który przedziwnym trafem wciąż jeszcze na nogach własnych stoi. Obojętny na te przerażające groźby człowiek w masce posypywał papier piaskiem, by pismo osuszyć. Następnie złożył i schował dokument, i wówczas Alatryste znów zoczył skrawek czerwonego krzyża Zakonu Calatrava pod czarną szatą. Widział też, jak człek ów przywłaszczył sobie całe pieniądze, jakby nie pomnąc, że ich część pochodziła z kabzy dominikanina.

– Możesz waszmość odejść – powiedział do kapitana, jakby nagle jego obecność sobie uprzytomnił.

Alatryste spojrzał nań zaskoczony.

– Wolny?

– To tylko słowa – wtrącił się brat Emilio Bocanegra z uśmiechem, który zwiastował klątwę. – U szyi uwiązane masz ciężary zdrady swojej i naszego potępienia.

– Takie ciężary unieść łącznie mogę – Alatryste nadal popatrywał podejrzliwie to na jednego, to na drugiego. – Naprawdę mogę odejść tak po prostu?

– Dobrze waszmość słyszałeś. Gniew Boży dosięgnie cię tam, gdzie trzeba.

– Gniew Boży dzisiejszej nocy nie bardzo głowę mi zaprzęta. Ale wasza miłość...

Człowiek w masce i dominikanin powstali.

– My swoje zakończyliśmy – rzekł pierwszy. Alatryste studiował badawczo twarze swych prześladowców. Kandelabr rzucał od dołu na ich oblicza niepokojące cienie.

– Nie mogę uwierzyć – rzekł. – Po tym całym aresztowaniu...

– To – uciął człowiek w masce – nie jest już naszą sprawą.

Wyszli, kandelabr ze sobą unosząc, wszelako Diego Alatryste zdążył pochwycić straszliwe spojrzenie, jakie dominikanin rzucił mu od progu, zanim ręce w rękawy habitu wsunął i wraz ze swym kompanem niby cień zniknął. Instynktem wiedziony kapitan sięgnął dłonią ku rękojeści rapiera, którego nie miał wszak przy sobie.

– Gdzież, na Boga, jest pułapka? – zapytał sam siebie daremnie, przemierzając krokami pustą izbę. Odpowiedzi nie było. Wówczas wspomniął nóż rzeźnicki, który za cholewą buta miał schowany. Schylił się po niego i zacisnął w dłoni, czekając na nadejście oprawców, jacy bez wątpienia musieli lada chwila spaść na niego znienacka. Nikt atoli nie nadchodził. Wszyscy poszli, a on ku własnemu zaskoczeniu został sam w izbie oświetlonej jeno słupem księżycowej poświaty, wykrojonym przez okienną ramę.

Nie wiem, ile czasu na zewnątrz czekałem, wtopiony w mrok i za słupem narożnym schowany. Wtulałem się w zawiniątko z płaszcza i broni kapitana, by się nieco przed chłodem osłonić – wszak za powozem Martina Saldaña i jego pacholków biegłem jeno w kaftanie i pluderkach – i w tej pozycji długi czas strzymałem, zęby zaciskając, żeby nie szczękały. Nareszcie widząc, że ani kapitan, ani nikt inny z budynku nie wychodzi, jąłem się niepokoić. Niewiarygodne mi się wydało, by Saldaña mego pana zamordował, ale w ówczesnym Madrycie wszystko możliwym było. Byłem poważnie zatrwożony. Wpatrując się uważnie w jedno z okien, dostrzegałem chwilami jaśniejszą szparkę, jakby w środku znajdowała się lampa i jacyś ludzie, ale z takiego oddalenia trudno było pewności nabrać. Postanowiłem tedy przybliżyć się, by zbadać rzecz staranniej.

Już miałem wyjść z ukrycia, gdy – wiedziony tym niewytłumaczalnym instynktem, jakiemu nieraz winniśmy nasze życie – nieco dalej, w sieni jednego z sąsiednich domostw, wyczułem jakiś ruch. Było to jak

okamgnienie, cień jakowyś drgnął, jak to cienie pozornie martwe w zwyczaju mają, gdy nagle bezruch swój porzucą. Zaskoczony powściągnąłem więc własną gorączkę i sam zamarłem czujnie, w mrok się wpatrując. Chwilę później ów ktoś poruszył się ponownie i wówczas z drugiej strony niewielkiego placu dobiegł mnie cichutki gwizd, sygnał przypominający. Melodyjka, która brzmiała jakby *timri-ta-ta*. Kiedym ją usłyszał, dosłownie krew mi w żyłach ścięło.

Było ich co najmniej dwóch – uznałem, przeczesując wzrokiem ciemności, którymi spowita była Brama Duchów. Jeden, ukryty w bliższej sieni, był tym cieniem, który pierwszy się poruszył. Drugi zaś, ten, co zagwizdał, stał dalej, lustrując załom placu przyległy do muru rzeźni. Trzy drogi z terenu owego prowadziły, czas jakiś przeto wpatrywałem się w trzecią z nich. Nareszcie, gdy chmura odsłoniła jasny półksiężyc bisurmański nad miastem wiszący, zdołałem dostrzec w jego poświacie jeszcze jedną sylwetkę rozstawioną w mroku.

Sprawa była jasna i wyglądała paskudnie, ja wszelako nie dałbym rady przebiec niezauważony dzielących mnie od domu trzydziestu kroków. Myśląc gorączkowo, ostrożnie rozwinąłem płaszcz i położyłem sobie na kolanach jeden z pistoletów. Użycie ich było surowo zakazane królewskim edyktem, wiedziałem przeto, że jeśli straż mnie przyłapie, moje młode członki łącznie galery zasilą i wiek mój nie będzie tu miał wiele do gadania. Jednak w owym momencie moja baskijska rogata dusza nie dbała o to. Podobnie, jak to nieraz kapitan czynił, sprawdziłem po omacku, czy skałka jest na swoim miejscu, i odwiodłem kurek, starając się trzask płaszczem wytłumić, by zamek i broń całą do strzału przygotować. Następnie wsunąłem pistolet za pazuchę, narządziłem drugi i czekałem, trzymając go w dłoni, drugą zaś rapier ściskając. Uwolniony od zawartości płaszcz narzuciłem na ramiona i znów zamarłem.

Dalsze wypadki nie zwlekały. Ogromna sień domu rozjarzyła się światłem na moment, z jednej z uliczek wynurzył się niewielki powóz. Obok niego pojawiła się czyjaś czarna sylwetka, która zbliżyła się do domu i wdała się w krótką pogawędkę z dwiema postaciami, które opuściły właśnie jego wnętrze. Chwilę później sylwetka powróciła na swe miejsce, dwa cienie wsiadły do powozu i ruszyły. Czarne muły i złowrogi zarys siedzącego na koźle woźnicy przemknęły tuż obok mnie i przepadły w mroku.

Nie było czasu, by tajemniczemu pojazdowi uwagę poświęcić. Jeszcze nie umilkło echo kopyt, gdy z miejsca, gdzie stała czarna sylwetka, dobiegł ponowny gwizd, jeszcze raz owo *tiruri-ta-ta*, na co cień najbliższy odpowiedział nieomylnym dźwiękiem wysuwanej z pochwy głowni. Rozpaczliwe do Boga prośby zanosilem, by zechciał znowu chmury z księżycą przepędzić i widok lepszym uczynić. Ale pies szczeka, karawana idzie dalej. Stwórca Przepotęźny zapewne zajęty był akurat innymi sprawami, bo chmury ani drgnęły. Powoli traciłem głowę i świat zaczynał mi w niej wirować, spuściłem tedy płaszcz na ziemię i powstałem, by lepiej widzieć to, co się wnet wydarzyć miało. I wówczas w sieni ukazała się postać kapitana Alatryste.

Od tej chwili wypadki potoczyły się błyskawicznie. Cień, który znajdował się najbliżej mnie, wyszedł ze swego ukrycia i ku kapitanowi ruszył niemal w tym samym momencie, co ja. Wstrzymałem oddech i postępowałem miarowo za nim, jeden krok, drugi, trzeci. Wciąż mnie nie spostrzegął. I oto Bóg zechciał burzę pod moją czaszką uciszyć i chmury przegnał, dzięki czemu w słabym świetle półksiężycy mogłem zobaczyć krzepkie plecy mężczyzny z obnażoną bronią w ręku. Kątem oka widziałem, że także pozostałe dwa cienie wynurzyły się ze swych ciemnych zakamarków. Ja rapier kapitański zaciskałem w lewej dłoni, prawą

uniosłem z gotowym do strzału pistoletem. Diego Alatryste tymczasem na środku placyku stanął, zaciskając rękę na bezużytecznym w tej sytuacji krótkim nożu rzeźnickim. Postąpiłem jeszcze dwa kroki i niemal oparłem lufę o plecy człeka, który przede mną naprzód się posuwał, gdy ten wreszcie mnie posłyszał i w tył się obrócił. Zdażyłem ujrzeć jego oblicze, gdym spust nacisnął, a błysk wystrzału wydobył z ciemności zaskoczona minę napastnika. Huk prochu odbił się echem w Bramie Duchów.

Dalsze wydarzenia nastąpiły jeszcze szybciej. Krzyknąłem, a może mi się tylko zdawało, na poły, by kapitana ostrzec, na poły z powodu okropnego bólu, jaki odrzut broni mi sprawił, niemal ręki pozbawiając. Ale sam strzał wystarczająco kapitana zaalarmował i kiedym rapier mu rzucił ponad człowiekiem, który dopiero co stał przede mną, już po niego biegł, uskoczył w bok, by się nań nie nadziać, i chwycił go w dłoń, ledwie ten na ziemię upadł. Miesiąc znów za chmurę się schował, ja odrzuciłem pusty pistolet, wyciągnąłem drugi i wycelowałem w kierunku dwóch pozostałych cieni, atoli dłonie tak mi się trzęsły, że drugi nabój posłałem gdzieś na ślepo, w mroczną pustkę, odrzut zaś sprawił, że na ziemię plecami upadł. Przez sekundę, nim od blasku ognia oślepiłem, widziałem jeszcze dwóch mężczyzn w rapiery i noże zbrojnych i kapitana Alatryste, który szermował z nimi jak sam diabeł.

Diego Alatryste ujrzał, jak podchodzą, chwilę przed pierwszym wystrzałem. Oczywiście spodziewał się czegoś w tym sposobie, ledwo na zewnątrz wyszedł, wiedział też, jak paradnie wygląda obrona własnej skóry przy pomocy lichego noża. Huk pistoletu wytrącił go z równowagi nie mniej niż pozostałych, w pierwszym momencie mniemał, że sam jest celem. Potem krzyk mój usłyszał, i nim pojął, co u diabła robię o tak niewdzięcznej porze w owej okolicy, spostrzegł rapier swój jakoby z nieba ku niemu lecący. W okamgnieniu chwycił go, by czoło stawić żelazu, które

już wściekle nań nacierało. Zaraz drugi pocisk przeleciał z furkotem między nim a jego przeciwnikami, wszelako błysk tego wystrzału pozwolił mu lepiej zmiarkować, jak wygląda sytuacja. Przyjął zatem dogodną pozycję, widząc, że jeden naciera nań od lewej, a drugi od frontu, i atakują z grubsza pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Ten z przodu starał się go związać ze sobą tak, by drugi mógł zadać śmiertelne pchnięcie w lewy bok albo w brzuch. Kapitan bywał już w podobnej sytuacji, gdy trzeba bić się z jednym, a bronić przed drugim, korzystając jeno z krótkiego sztyletu. Starał się przeto gwałtownie zwracać co chwila ku każdemu z napastników, by skrócić im pole manewru, atoli ostrożność podpowiadała mu, by baczyć osobliwie na tego z lewej. Przeciwnicy podchodzili doń coraz bliżej, po wymianie z tuzina fint i pchnięć pełen krąg wokół kapitana zdołali zatoczyć. Dwukrotnie ostrze sztyletu ześliznęło się już po grubym napierśniku. Szczęk i brzęk toledańskiej stali wypełniał cały placyk i nie wątpię, że gdyby miejsce to było bardziej zaludnione, ów hałas i moje strzały wywołałyby do okien spory tłumek. I raptem szczęście, niczym zbrojne ramię fortuny, co zawsze przednim i niezłomnym wojakom sprzyja, przecież i Biegowi Alatryste z pomocą przyszło. Zechciał oto Bóg, by jedno z jego pchnięć minęło jelce rękojeści i palców lub nadgarstka jednego z napastników dosięgło. Ten, ranę zadaną odczuwszy, wycofał się o dwa kroki, klnąc w żywe kamienie. Nim do siebie przyszedł, Alatryste zadał trzy błyskawiczne cięcia oburącz drugiemu nacierającemu, który, zaskoczony nagłym atakiem, stracił kontenans i takóż krok w tył zrobił. To wystarczyło, by kapitan równowagę i spokój odzyskał, toteż gdy ranny do walki powrócił, mój pan nóż z lewej dłoni wyrzucił i twarz sobie otwartą dłonią osłaniając, zrobił wypad, by tamtemu głownię rapiera w piersi zatopić. Dzieła dopełnił impet nacierającego, który zachwiał się w obydwie strony i

z okrzykiem „Jezu!” wypuścił z ręki rapier. Za plecami kapitana rozległ się metaliczny odgłos upadającego żelaza.

Drugi zabijaka zamarł w pół kroku. Alatryste cofnął się, rapier swój w bezwładnym ciele zatopiony wyszarpnął i stawił czoło ostatniemu przeciwnikowi, oddech próbując odzyskać. Chmury rozeszły się na tyle, by w świetle księżycy rozpoznał Włocha.

– A zatem jesteśmy sam na sam – rzekł, dysząc, kapitan.

– Przyjemność po mojej stronie – odrzekł tamten z jaśniejącym od bieli zębów uśmiechem. I jeszcze mówić nie skończył, gdy zadał szybki cios od spodu, równie dostrzegalny, co atak żmii. Kapitan zdołał być dobrze Włocha podpatrzyć podczas potyczki z Anglikami, tedy spodziewał się tego ataku. Uchylił się przeto, sparował lewą ręką i wraz ostrze przebiło pustkę. Atoli cofając się, kapitan poczuł, że sztylet ugodził go w wierzch dłoni. Licząc, że Włoch żadnego ścięgnię mu nie przeciął, wyprowadził prawe ramię do przodu, dłonią ku górze, a głownią w dół, parując w ten sposób kolejne pchnięcie, zadane równie zniecka, co poprzednie. Włoch dał krok do tyłu i znów obydwaj stali naprzeciw siebie, sapiąc donośnie. Zmęczenie dawało im się już we znaki. Kapitan palcami przeciętej dłoni poruszył, z ulgą miarkując, że ma nad nimi władzę – ścięgnię pozostawały nietknięte. Czuł jeno krew, która ściekała mu po palcach ciepłymi kroplami.

– Czy porozumienie w grę wchodzi? – zapytał. Tamten milczał chwilę, po czym pokręcił głową.

– Nie – odrzekł. – Byłeś waszmość zbyt nieostrożny poprzednim razem.

W jego posepnym głosie znać było znużenie i kapitanowi do głowy przyszło, że obydwaj mają tak samo dosyć całej historii.

– A zatem, co teraz?

– Teraz albo waszmość, albo ja.

I znów milczenie nastąpiło. Tamten poruszył się nieco, Alatryste w ślad za nim, wciąż mając się na baczności. Krążyli z wolna wokół siebie i mierzyli się wzrokiem. Pod napierśnikiem koszula kapitana była już całkiem od potu mokra.

- Czy mogę imię waszmości poznać?
- Ono nie ma znaczenia.
- Zatem skrywasz je jak ostatni łotr. Włoch zaśmiał się oschle.
- Być może. Ale jestem łotrem żywym. A waszmość jesteś trupem, kapitanie Alatryste.

- Jeszcze nie tej nocy.

Przeciwnik zdawał się oceniać sytuację. Rzucił okiem na nieruchome ciało drugiego napastnika, potem zerknął w kierunku, gdzie leżałem wciąż na ziemi nieopodal trzeciego kamrata, który właśnie zaczął się słabo poruszać. Wielce musiał go strzał mój pokiereszować, bo słychać było, jak jęczy z cicha i księdza wzywa.

- Nie – zawyrokował Włoch. – Masz chyba waszmość rację. Dzisiejszej nocy nie mam nastroju.

Mówiąc to, uczynił gest, jakby chciał odejść, i w tym samym momencie cisnął lewą dłonią sztylet swój z niezwykłą precyzją w kierunku kapitana, który cudem jeno zdołał śmierci uniknąć.

- Skurwysyn – mruknął Alatryste.
- Na Boga – odrzekł tamten. – Nie spodziewałeś się chyba, że o pozwolenie prosić będę.

Przez moment stali w milczeniu i z uwagą mierzyli się wzrokiem. Nareszcie Włoch niewielki ruch uczynił, Alatryste odpowiedział podobnym, obydwaj unieśli ostrożnie rapiery, trącili się głowniami z lekkim brzękiem, by w końcu na powrót je opuścić.

- Na Lucyfera – westchnął chrapliwie Włoch. – Do trzech razy sztuka.



I jął w tył kroczyć, cały czas oczu z kapitana nie spuszczać. Oddalał się bardzo powoli, z rapierem w pogotowiu. Dopiero gdy do rogu ulicy niemal dochodził, odważył się plecami odwrócić.

– Aha – powiedział na moment przed tym, jak w mroku się rozplątał. – Nazywam się Gualterio Malatesta, słyszysz?... Pochodzę z Palermo... Miej to w swej pamięci, gdy śmierć będę ci zadawał!

Człowiek postrzelony z pistoletu nadal księdza wołał. Miał pokaźną ranę w ramieniu, złamany obojczyk wystawał na zewnątrz strzaskanym końcem. Diabli niedługo mieli czekać na przybycie kolejnego gościa. Diego Alariste obrzucił go szybkim, obojętnym spojrzeniem, zabrał mu sakiewkę, podobnie jak uprzednio uczynił to z zabitym napastnikiem, po czym podszedł do mnie i ukląkł. Nie podziękował ani nie powiedział niczego, co na usta się ciśnie, gdy ci trzynastoletnie pacholę życie uratuje. Zapytał jeno, czy dobrze się czuję, a gdym odrzekł, że tak, wsunął rapier pod pachę, drugim ramieniem objął mnie w pól i pomógł wstać. Wąs jego przy tym musnął mi policzek i wówczas spostrzegłem, że jego oczy, jarzące się w świetle księżycy jak nigdy dotąd, wpatrują się we mnie z niezwykłą uwagą, jak gdyby pierwszy raz mnie widziały.

Dogorywający zabijaka jęknął ponownie, chcąc się wypowiedzieć. Kapitan zwrócił się w jego stronę i widziałem, że nad czymś rozmyśla.

– Mknij do Świętego Andrzeja – rzekł wreszcie – i znajdź jakiegoś księdza dla tego nieszczęśnika.

Popatrzyłem nań z wahaniem i w mroku odgadłem na jego obliczu jakiś posepny, gorzki grymas.

– Nazywa się Ordóñez – dodał. – Znamy się z Flandrii. Następnie podniósł z ziemi pistolety i ruszył naprzód.

Zanim polecenie wypełniłem, podszedłem do słupka po płaszcz, podbiegłem za kapitanem i podałem mu go. Przerzucił go sobie przez

ramię, drugą dłonią zaś pogłaskał mnie lekko po policzku z niezwykłą jak na niego serdecznością. I wciąż spoglądał na mnie tak jak chwilę przedtem, gdy pytał, czy wszystko ze mną dobrze. A ja, na poły zawstydzony, na poły dumny, poczułem na twarzy kroplę krwi z jego zranionej dłoni.



## IX. NA SCHODACH POD ŚWIĘTYM FILIPEM



o owym nocnym święcie stali toledańskiej nadeszło kilka dni spokoju. Wszelako, jako że Diego Alatryste zakazane miał z miasta się ruszać albo gdziekolwiek ukrywać, żyliśmy w czujności nieustającej, rzekłbyś – jak na wojnie. W dniach owych mogłem łącznie zmiarkować, że zachować życie więcej wysiłku kosztuje niżli dać się zabić, a do tego musisz posługiwać się wszystkimi pięcioma zmysłami. Kapitan sypiał raczej za dnia, nie nocą, a najlżejszy dźwięk, czy to kot po dachu przechodzący, czy skrzypnięcie deski pod czyimiś krokami, sprawiał, że się z łóżka podrywał. Nieodmiennie widziałem go podówczas, jak wyprostowany siedział w swej pościeli, z lewakiem albo pistoletem w dłoni. Po potyczce w Bramie Duchów usiłował mnie był posłać na czas pewien z powrotem do matki czy do jakiegoś przyjaciela swego, atoli zapowiedziałem mu, że nie zamierzam z pola boju czmychać, że losy nasze są złączone i że skoro potrafiłem dwa strzały oddać, zdołam oddać następnych dwadzieścia, jeżeli potrzeba zajdzie. Determinację moją podkreśliłem jeszcze zapewnieniem, że ucieknę z każdego miejsca, do którego by mnie wysłał. Trudno mi orzec, czy kapitan Alatryste docenił moją postawę, czy też nie, nadmieniałem już

waszmościom, że nie należał on do ludzi skorych do ujawniania swych uczuć. Tyłem osiągnął, że ramionami wzruszył i do sprawy więcej nie powracał. Co więcej, nazajutrz na poduszce znalazłem zacny sztylet, kupiony dopiero co na ulicy Espaderos, o damaszkowej rękojeści, krzyżu ze stali oraz długiej i wąskiej, hartowanej głowni z obustronnym ostrzem. Sztylety takie dziadowie nasi zwali byli mizerykordiami, a to z powodu, że służyły do dobijania rycerzy padłych i na ziemi dogorywających, co czyniono, wrażając je poprzez szpary między płytami zbroi albo przyłbicy. Była to pierwsza biała broń, jaką w życiu posiadałem, i przechowywałem ją starannie z wielką estymą przez kolejnych lat dwadzieścia – aż do dnia, gdy pod Rocroi musiałem ostawić ją w napierśniku pewnego Francuza. Jak na tak grzeczny sztylecik, nie był to wcale zły koniec.

Owóz spaliśmy z kapitanem na jedno oko, na widok własnego cienia się strachając, Madryt tymczasem hulał na festynach z okazji przyjazdu księcia Walii zarządzonych, który to fakt ogłoszono już oficjalnie. Dni upływały na wyścigach konnych, balach w Zamku Królewskim wyprawianych, bankietach, przyjęciach i maskaradach. Był też turniej połączony z walką z bykami na placu Mayor, z pewnością jeden z najświetniejszych w swoim rodzaju, jaki pamiętam z habsburskiego Madrytu; wziął w niej udział sam kwiat dworskiego rycerstwa z naszym królem na czele, popisując się brawurą i męstwem, gdy tak w siebie laskami ciskali i ścierali się z roslymi bykami z Jaramy. Byczy festyn, podobnie jak i dziś, był ulubioną rozrywką pospólstwa w samym Madrycie, ale i wielu innych miejscowościach Hiszpanii. Sam król i nasza nadobna królowa Elżbieta, choć córka Henryka Czwartego Wielkiego, pana na Bearn, a zatem Francuzka, wielkie w niej znajdowali upodobanie. Mój Najjaśniejszy Pan, Filip Czwarty, co jest wiadomym, przednim był jeźdźcem i dobrym strzelcem, zapalonym myśliwym i w koniach rozkochanym (kiedyś jednego stracił w lesie, gdy

własnoręcznie w jednym dniu trzy dziki ubił) – i takim go uwiecznił na płótnie Diego Velazquez. W poezji to samo uczyniło siła pisarzy i poetów, już to Lope, już to mość Francisco de Quevedo, już to wreszcie mość Pedro Calderón de la Barca w sławetnej komedii *Wstęga i kwiat*:

*Któż to Baliosa dosiada,  
Zapiera dech ostrogami,  
Czyjeż to ramię wytworne  
Swego rumaka tak jarzmi,  
Któż okiem swym dumnym sięga  
Po same granice Hiszpanii,  
Gdy strzemię w strzemię podąża  
Tuż przy Najjaśniejszej Pani?*

Mówiłem to już przy innej okazji, że gdy nasz król liczył osiemnaście, dwadzieścia wiosen, a i później czas dłuższy, człkiem był sympatycznym, dziarskim, bawidamkiem, miłowanym przez poddanych, przez ów poczciwy i nieszczęsny lud hiszpański, który zawsze gotów był władców swoich uznawać za ludzi największego ducha i serca, jakie tylko być mogą. A działo się tak nawet, gdy władztwo ich podupadało, zarówno podczas krótkiego panowania Filipa Trzeciego, na którym cieniem kładła się działalność królewskiego faworyta, przekupnego ignoranta, jak i potem, kiedy to nasz młody monarcha, zacny rycerz, choć bezwolny i do rządów nieskory, zdany był na łaskę trafnych bądź mylnych posunięć hrabiego, z czasem i diuka, de Olivares – a tych drugich było więcej... Bardzo się od owych czasów zmienił nasz naród – albo to, co zeń pozostało. Dumę i podziw zastąpiła wzgarda, entuzjazm – ostra krytyka, sny o potędze – dojmujące zniechęcenie i powszechny pesymizm. Pamiętam jak dziś, a

wydarzyło się to podczas święta byków dla uczczenia księcia Walii albo niewiele później, że jedno ze zwierząt wskutek dzikości swej nie dawało się ni podciąć, ni obalić, i nikt, nawet straż hiszpańska, burgundzka i niemiecka, które nad miejscem pieczę miały, nie ośmielił się doń zbliżyć. Wówczas król nasz Filip, na balkonie Domu Piekarzy zasiadający, z całym spokojem poprosił jednego z gwardzistów, by arkebuzą mu użył, po czym z absolutną galanterią, nic ze swej królewskiej godności ni postury nie tracąc, zszedł na plac, żwawo płaszcz zwinął, statecznie o kapelusz się upomniał i do strzału się złożył, a tak to uczynił, że podniesienie broni do policzka, wystrzał i śmierć byka w jednym niemal nastąpiło momencie. Publiczność jęła brawo bić i wiwatować, i przez całe miesiące jeszcze wydarzenie owo opisywano w prozie i w wierszu: Calderón, Hurtado de Mendoza, Alarcón, Yelez de Guevara, Rojas, Saavedra Fajardo, sam mość Francisco de Quevedo i każdy na Dworze, co tylko umiał pióro w inkaucie umoczyć, Muzę przywoływał, by rzecz całą uwiecznić i monarchę pod niebiosa wynieść, porównując go już to do Jowisza gromowładnego, już to do Tezeusza, co byka na polach Maratonu trupem położył. Pomnę, że sławny sonet mości Francisca rozpoczynał się od słów:

*O Iberze wielki, tyś zgładził mężnie  
Tego, co twe władztwo, Europę, porwał...*

I nawet sam wielki Lope, zwracając się do królewską dłonią porażonego bydlęcia, takie strofy ułożył:

*Szcześliwy, niefortunny przypadł los ci,  
Bo wprawdzie życie miałeś zgoła marne,  
Chwalebna śmierć przydała mu wartości.*

A trzeba waszmościom wiedzieć, że Lope w owym czasie nie musiał się nikomu przypochlebiać. Niechże więc waszmościowie zmiarkują, jako się sprawy miały, z jakiej gliny my Hiszpanie i nasza Hiszpania, jako to poczciwością naszego ludu frymarczyć łatwo i jak nietrudno przychylność tegoż zaskarbić sobie skutkiem naturalnej jego skłonności, popychając nas wszystkich tym samym ku przepaści, czy to przez niegodziwość, czy przez ułomność, chociaż zawsze na lepszą dolę zasługiwaliśmy. Choćby Filip Czwarty stanął na czele starych, wyborowych regimentów i Niderlandy odzyskał, Ludwika Trzynastego francuskiego i jego ministra Richelieu pokonał, Atlantyckie Morze z piratów, a Śródziemne Morze z Turków oczyścił, choćby wreszcie Anglię najechał, krzyż świętego Andrzeja na szczycie Tower i na Wysokiej Porcie zatknął – i tak nie wzbudziłby takiego entuzjazmu wśród poddanych, jak byka zabijając z iście monarszym wdziękiem... Jakże inny to Filip Czwarty od tego, któremu lat trzydziiesiątki później osobiście towarzyszyłem, wdowca, którego dziatki albo pochowane, albo słabowite i zwyrodniałe, a on w powolnym orszaku opustoszałą Hiszpanię przemierzał, przez wojnę, głód i nędzę w perzynę obróconą, niemrawo pozdrawiany przez tę garstkę nieszczęsnych wieśniaków, jaka jeszcze siłę miała na skraj gościńca wylec! Spowity kirem, sędziwy, markotny, ciągnął ku granicy do Bidasoa, by przełknąć tam gorycz upokorzenia i oddać francuskiemu królowi córkę za żonę, przypieczętowując tym samym zgon owej udęczonej Hiszpanii, którą sam był do zguby przywiódł, gdy złoto i srebro z Indii przywiezione na próżne uroczystości wydawał lub na wypchanie kies urzędników, duchownych, sprzedajnych szlachciców i faworytów, a walecznymi mężami groby zapełniał na polach bitewnych w połowie Europy.

Atoli uprzedzanie faktów ni lat przeskakiwanie niczemu nie służy. Od epoki, o której prawie, wiele wody jeszcze miało upłynąć, nim tragiczna przyszłość nastąpiła, a Madryt wciąż mienił się stolicą obojga Hiszpanii i świata szerokiego. Owe dni, podobnie jak następne tygodnie i miesiące, kiedy to nasza infantka Maria i książę Walii w stanie narzeczeńskim trwali, miasto i Dwór spędzali na festynach wszelkiego rodzaju, najcudniejsze damy i najszykowniejsi mężowie przy rodzinie królewskiej i jej wyśmienitym gościu blasku zażywali podczas parad wzdłuż ulicy Mayor i Błoni lub w trakcie wytwornych przechadzek po ogrodach pałacowych, wedle Stalowej Fontanny i po zagajniku wokół Domu Letniego, przy całkowitym poszanowaniu reguł ścisłej etykiety i czci obojga młodych, którzy ani na chwilę sami pozostać nie mogli, zawsze bowiem, ku rozpaczy ognistego młodzieńca, cała zgraja majordomusów i dam dworu pilne baczenie na nich miała. Nie zważając na cichą wojnę dyplomatyczną w kancelariach toczoną w imię przyszłego małżeństwa albo przeciw niemu, szlachta i lud madrycki prześcigały się w hołdach składanych dziedzicowi brytyjskiej korony i świcie jego rodaków, którzy z wolna jęli przybywać na nasz dwór. W stolicy huczało od plotek, jakoby infantka do nauki angielskiej mowy przystąpiła, powiadano nawet, że sam Karol żywo z teologami rozprawia o katolickiej nauce, tak bardzo chce prawdziwą wiarę przyjąć. Nic dalszego od prawdy, jak mieliśmy się niebawem przekonać. Chwilowo wszakże nastroje utrzymywały się wyśmienite, a pogłoski takie przysparzały młodemu pretendentowi jeszcze większej sławy, którą już był zyskał dzięki powierzchowności, ogładzie i wytwornej postawie. Ów zapas dobrej woli pozwolił ludziom później usprawiedliwić impertynencję i kaprysy Buckingham, który rósł w dumę (ich król Jakub dopiero co diukiem go był mianował), a ponieważ wraz z Karolem rychło pojęli, że do ślubu daleka i wyboista droga, jął zachowywać się jak źle ułożony,



beztroski i arogancki faworyt królewski. Niełatwo było to przełknąć nawykłym do surowości hiszpańskim magnatom, osobliwie w trzech kwestiach, które podówczas za święte poczytywano: protokół, religia i niewiasty. Jakkolwiek daleko zagalopowały się Buckingham w swych afrontach, tylko gościnności i dobrym manierom naszych szlachciców zawdzięczał, że oblicza jego nikt rękawicą nie potraktował w odpowiedzi na jego zniewagi i że potem sprawy nie trzeba było rozstrzygać w należyty sposób, za pomocą rapierów i w towarzystwie sekundantów, o brzasku na Błoniach Świętego Hieronima lub pod Bramą Zuławną. Co się zaś Olivaresa tyczy, jego stosunki z Buckinghamem po pierwszych dniach wymuszonej kurtuazji politycznej pogarszały się coraz bardziej, co z czasem źle się dla Hiszpanii i jej interesów skończyło, gdy widoki na porozumienie się rozwiały. Dziś, gdy lata od owej epoki upłynęły, sam się zapytuję, czy nie lepiej by się stało, gdyby pamiętnej nocy Diego Alatryste sito z Anglika uczynił, choćby wbrew własnemu sumieniu i pomimo męstwa, jakim ponoć przeklęty heretyk się był wykazał. Ale któż to mógł wiedzieć...! Z pewnością rachunki wyrównano z naszym przyjacielem Yilliersem kilka lat później na jego rodzinnej wyspie, kiedy to pewien purytański oficer nazwiskiem Felton, rzekomo poduszczony przez niejaką Milady de Winter, do chóru potępieńców go przyłączył, więcej razy patrochy mu dziurawiąc, niżli ksiądz podczas mszy *oremus* powiada.

Ale, ale. Okoliczności te łącznie w ówczesnych dokumentach znaleźć można. Tam też odsyłam czytelnika więcej szczegółów poznać skorego, bo z dalszym rozwojem naszej opowieści ścisłego związku już nie mają. Napomknę tylko, że kapitan Alatryste ani ja udziału w uroczystościach dworskich nie braliśmy, bo ani nas kto zapraszał, ani też samiśmy ochoty za diabła nie mieli, nawet gdyby ktoś taki fawor nam uczynił. Przypomnę, że dni, jakie po zajściu przy Bramie Duchów nastąpiły, w spokoju upływały,

pewnikiem dlatego, że ci, co za sznurki pociągali, zbytnio byli wówczas pochłonięci ważącymi się losami księcia Walii, by się drobiazgami zajmować – a mówiąc o drobiazgach, nas dwóch mam na myśli. Atoli byliśmy świadomi, że prędzej czy później ktoś rachunek nam wystawi, a opiewać on będzie na kwotę okazałą. Ostatecznie, choćby nie wiadomo jak gęste chmury niebo zasnuwały, cień i tak zawsze się jawi do twoich stóp przyszyty. A od cienia własnego umknąć nigdy nie zdołasz.

Wspominałem wyżej o ulubionych miejscach spotkań towarzyskich w stolicy, gdzie próżniacy czas mitrężyli i gdzie wszelkie po Madrycie krążące wieści, ploteczki i pogłoski w mig trafiały. Trzy miejsca osobliwe miały wzięcie, jako to kościół Świętego Filipa, dziedziniec Pałacu i Gmach Reprezentantów, z nich zaś najtłumniej odwiedzano schody kościoła Augustianów pod wezwaniem świętego Filipa, położone między ulicami Correos, Mayor i Esparteros. Schody stanowiły wejście do kościoła, wypiętrzając się ponad poziom ulicy Mayor, a u stóp ich wyrosła cała gromada kramów i straganów, gdzie kupczono zabawkami, gitarami i różnymi drobiazgami. Całość skrywał rozległy dach przed niepogodą chroniący, pokryty kamiennymi płytami, który służył jako galeria spacerowa okolona balustradą. Ów taras sposobny był, żeby zeń obserwować przechodniów i przejeżdżające dołem powozy lub też by czas na nim spędzać na spacerach i pogawędkach. Święty Filip był najgwarniejszym, najruchliwszym i najpopularniejszym miejscem w ówczesnym Madrycie. Dzięki stojącej w sąsiedztwie Stacji Kurierów poczty królewskiej, gdzie listy i nowiny z całej Hiszpanii i ze świata docierały, a także dzięki usytuowaniu wedle głównego traktu stołecznego, stał się ogromnym targowiskiem opinii i plotek. To tu najgłośniej przechwalali się weterani, tu duchowni wymieniali zawzięcie pogłoski, tu nareszcie niejeden złodziej sakwę potrafił zwędzić, a poeta talentem

zabłysnąć. Lope, mość Francisco de Quevedo i Meksykanin Alarcón, by tylko ich trzech wymieniść, częstymi byli tu gośćmi. Każda wiadomość, fama czy bujda w obieg tu puszczona rychło krążyć zaczynała, tysiękrotne przybierając rozmiary, i nic tutejszym wszechwiedzącym językom nie umknęło, i ani król, ani łajdak najpodlejszy nie byli od nich bezpieczni. Wiele lat później wspominał owo miejsce Agustin Moreto, każąc w jednej ze swych sztuk taką konwersacje prowadzić pewnemu chłopu z walecznym żołnierzem: – *Czy pomóc ci opuścić mam te schody?*

– *Tu wszyscy zażyć mogą wszak swobody I schodzą tutaj jak zauroczeni.*

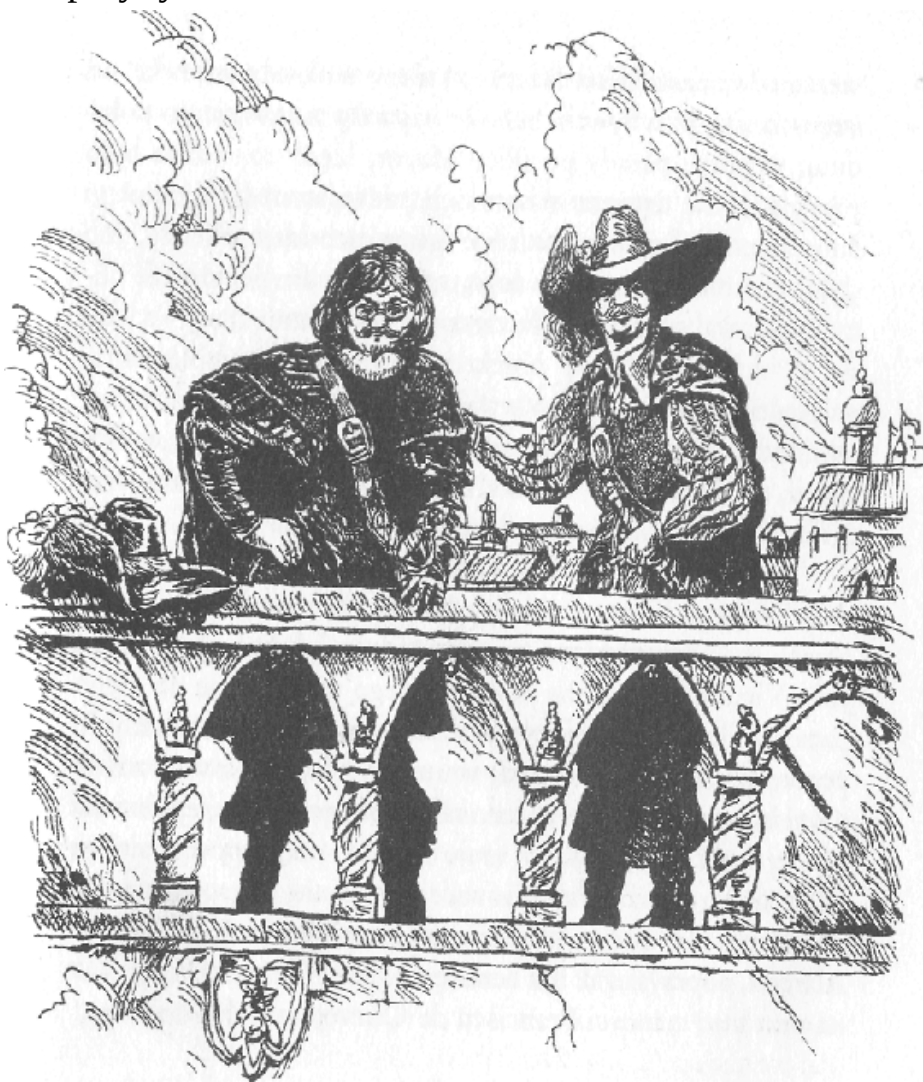
*Na całym świecie nie znalazłem ziem  
Łgarstwami równie płodnej.*

I nawet wielki Miguel de Cervantes, niechże go Pan ma w najczulszej opiece, zapisał w swej *Podróży na Parnas*:

*Bywajcie, zacne schody Filipowe,  
Gdzie jak z weneckiej dowiesz się gazety,  
Czy Turek nie szykuje wojny nowej.*

A cytuję waszmościom te strofy, byście sami zmiarkowali, jaką sławą miejsce owo okryte było. Dyskutowano tu o wydarzeniach we Flandrii, w Italii i w Indiach z zapamiętałością godną Rady Kastylii, powtarzano tu żarty i epigramy, szkalowano honor dam, aktorek i rogatych mężów, wypowiedano kąśliwe uwagi pod adresem hrabiego de Olivares, komentowano po cichu frywolne przygody króla... Było to zatem miejsce wyborne i skrzące się dowcipem, najświeższymi nowinami i złośliwościami. Tłum schodził się tu dzień w dzień około jedenastej, by

godzinę później, gdy dzwon na wieży kościelnej bił na *Anioł Pański*, kapelusze z głów zdjąć i rozejść się, robiąc z kolei miejsce dla żebraków, ubogichstudentów, panienek i łazarzy, którzy na biedapolewkę od augustianów przybywali.



Schody ożywały ponownie po południu, w porze parady po ulicy Mayor, kiedy to można było przyglądać się damom w karocach, niewiastom podejrzanego autoramentu, które za wielkie panie uchodzić chciały, lub dziewczętom z pobliskich lupanarów – po drugiej stronie ulicy znajdował się jeden taki, cieszący się znaczną famą – a każda z nich stawała się

obiektem rozmowy, komplementu, względnie facecji. I tak to trwało aż do dzwonów na nieszpory, kiedy to gawieź, pomodliwszy się z kapeluszami w dłoniach, do domów się rozchodziła, a Bóg udawał się tam wraz z nimi. Aż do następnego dnia.

Mówiłem wyżej, że mość Francisco de Quevedo na schodach Świętego Filipa zwykł się pojawiać. Niejednokrotnie w spacerach tych towarzyszyli mu przyjaciele, jak licencjat Calzas, Juan Vicuña lub kapitan Alatryste. Jego upodobanie do mego pana wynikało między innymi także ze względów praktycznych: poeta bezustannie wdawał się w utarczki słowne i zwady z różnymi kolegami po piórze, fenomen typowy dla owej epoki i dla każdej właściwie w naszym kraju Kainów, podstępów i zawiści, gdzie słowo obraża i zabija równie skutecznie, co rapier, a może i bardziej. Niektórzy, jak Luis de Góngora albo Juan Ruiz de Alarcón, poprzysięgali mu zemstę, i to nie tylko rymowaną. Tak na przykład o mości Franciscu de Quevedo pisał Góngora:

*Próżno szuka wciąż natchnienia.  
Palce jego z każdą chwilą  
Gardzą poetycką lirą,  
Po mych błędzą zaś kieszeniach.*

Nazajutrz z kolei odpowiedź. Mość Francisco kontratakował najcięższą artylerią:

*Jaki szczyt jest występku wszetecznego?  
Miast śpiewu syren słysząc tu pierdnięcia.  
Owóz i dupa Gongory miernego,  
Jąź samcołozne otworzą zakłęcia*

Albo składał także inne strofy, sławetne swą śmiałością, które całe miasto obiegly, równając Gongorę z najgorszym łachem:

*Z człowiekiem tym nikt w brudzie się nie zrównał,  
Może raptem kto z rodziny.  
O ile ja wiem, przenigdy  
Z ust swych na ziemię nie uronił gówna*

Podobne klejnociki dedykował nieubłagany mość Francisco nieszczęsnemu Ruizowi de Alarcón, z którego fizycznej ułomności – a mianowicie garbu – natrzasał się z bezlitosnym upodobaniem:

*Komuż to łopatkę, boki  
Oraz piersi liszaj zdobi? Garbuskowi*

Takie to wierszyki krążyły niby anonimowo, atoli wszyscy doskonale wiedzieli, czyje to najbardziej niecne podniety powołały je do życia. Inni naturalnie nie pozostawali dłużni i latały w powietrzu sonety i decymy, i wszędy odczytywano je w miejscach publicznych, i wszędy ostrzył swe pióro umoczone w najjadowitszej żółci mość Francisco, atakując rywali i kontratakując. A gdy nie przeciwko Gongorze lub Alarconowi się kierował, ofiarą jego mógł paść każdy. We dnie, kiedy nasz poeta wstawał z łóżka lewą nogą, strzelał ogniem koszącym we wszystko, co się ruszało:

*Na łbie twym, panie X, dwa rogi prężne,  
Dwa pola lamo czołem swym zaorzesz;  
Lecz zlituj że się, podkaszze poroże,*

*Inaczej w bruździe własnej wnet ugrzęźniesz.*

I tym podobne. Nie dziwota więc, że choć zgryźliwy poeta człkiem był mężnym i rapierem dziarsko władającym, spokojniej się czuł, gdy na wypadek niezadowolenia któregoś z przeciwników miał obok siebie kogoś w rodzaju Diega Alatryste. Bo właśnie wspomniany w sonecie pan X – względnie ktoś, kto uznał postać tam pokazaną za swój portret, jako że po ówczesnym Bożym Madrycie rogacze przechadzali się stadami – stawiał się na schody pod Świętym Filipem, by żądać wyjaśnień, a towarzyszył mu jeszcze kompan jeden. Owego poranka mość Francisco spacerował właśnie z kapitanem Alatryste. Sprawę rozstrzygnięto po zmroku, szczęknęło żelazo za murem ogrodu Recoletos, a w rezultacie, gdy domniemany rogacz i jego przyjaciel wylizali się już byli z ran prosto w pierś otrzymanych, jęli prozę czytać i więcej na żaden sonet nawet nie spojrzeli.

Owego dnia tematem powszechnym rozmów na schodach Świętego Filipa był książę Walii i infantka, aczkolwiek ploteczki dworskie mieszały się z doniesieniami ze wznowionego frontu flamandzkiego. Pamiętam, że słońce jasno świeciło, niebo rozpościerało swój błękit przeczysty ponad dachami pobliskich domów, ludzi zaś było co niemiara. Kapitan Alatryste, który nadal bez trwogi pokazywał się publicznie (dłoń, obandażowana po zajściu przy Bramie Duchów, z dnia na dzień dobrzała), miał na sobie sztylpy, szare pludry i kaftan ciemny, pod samą szyję zapięty. A choć poranek chłodem nie przejmował, mój pan płaszcz na ramiona narzucił, żeby skryć kolbę pistoletu, który wetknął był z tyłu za pas obok rapiera i sztyletu. Inaczej niżli większość ówczesnych weteranów, Diego Alatryste nie miał upodobania do barwnych dodatków i ozdób, jedynym przeto jaskrawym elementem jego stroju pozostawało czerwone pióro, wieńczące rondo szerokiego kapelusza. Wszelako i tak kontrastował kapitan z

czarnym, powściągliwym odzieniem mości Francisca de Quevedo, od którego odbijał jeno krzyż świętego Jakuba na piersi naszyty, częściowo skryty pod równie czarnym, krótkim płaszczem. Przystali na to, bym im towarzyszył, jako że dopiero co wysłał w ich imieniu plik listów z pobliskiej Stacji Kurierskiej. Kompanię dopełniali licencjat Calzas, Vicuña, Klecha Perez i jeszcze kilku znajomków i wspólnie gawędzili przy balustradzie tarasu, spoglądając w dół na ulicę Mayor. Właśnie dyskutowano ostatni wyskok Buckingham, który – jak donosiły wiarygodne źródła – ośmielił się cholewki smalić do małżonki hrabiego de Olivares.

– Podstępny Albion – rzucił licencjat Calzas, który białej gorączki dostawał na myśl o Anglikach, a datowało się to od czasów, gdy podczas powrotu z Indii Zachodnich ledwie umknął łajdackim łapom samego Waltera Raleigh, korsarza, co jeden maszt zdołał im obalić i piętnastu mężów zgładzić.

– Ciężką łapą – podsunął Vicuña, zaciskając swą jedyną pięść. – Ci schizmatycy rozumieją tylko, kiedy im przyłożyć ciężką łapą... I tak to się za gościnność naszego Najjaśniejszego Pana odwdzięczają!

Pokiwało głowami całe towarzystwo, wśród nich także dwóch wąsatych rzekomych weteranów, co to żadnego wystrzału z arkebuza w życiu nie słyszeli, dwóch czy trzech próżniaków, jeden wysoki student z Salamanki w znoszonym płaszczu, nazwiskiem Juan Manuel de Parada albo de Pradas, na którego obliczu głód się malował, dalej pewien młody malarz od niedawna w stolicy bawiący i zarekomendowany mości Franciscowi przez jego przyjaciela Juana de Fonseca oraz szewc z ulicy Montera o nazwisku Tabarca, znany z tego, że przewodniczył grupie tak zwanych muszkietarów: tłuszczy gromadzącej się w teatrze w miejscu dla pospólstwa, która śledziła treść sztuk na stojąco, już to wiwatując, już to gwizdząc, i na tę modłę



decydując o sukcesie bądź porażce przedstawienia. Ów Tabarca, lubo człek prosty i niepiśmienny, mężem był poważnym, groźnym, co to nijakich wątpliwości nie pozostawiał u słuchaczy, starym chrześcijaninem i szlachcicem podupadłym – jak niemal wszyscy wokoło. Dzięki mirowi, jakim cieszył się pośród teatralnej publiczności, o względy jego zabiegali autorzy na Dworze poklasku szukający, a i tacy, co już go byli zyskali.

– Nieważne – wtrącił znów Calzas, przymykając cynicznie oko. – Ponoć małżonka naszego faworyta fochów nie stroi, gdy jej dusery prawią. A Buckingham gładki młodzian...

Klecha Perez oczy ku niebiosom wzniosł: – Na Boga, panie licencjacie!... Powściągnijże się waszmość. Znam jej spowiednika i przysiąc mogę, że wielmożna pani Ines de Zuñiga to niewiasta święta i wielkiej pobożności.

– Wielkiej pobożności – odparł bezwstydnik Calzas – a chętnie Angliczanina ugości.

Zarechotał przewrotnie, patrząc, jak Klecha zegna się pośpiesznie i na boki z trwogą zerka. Kapitan Alatryste z kolei spojrział surowo na mówcę, niekontent, że tak zuchwałe uwagi w przytomności mej wygaduje, a tymczasem młody malarz z Sewilli, na oko ze dwadzieścia trzy, może cztery wiosny liczący, nazwiskiem Diego de Silva, mówiący z silnym akcentem, przypatrywał się całej kompanii, zapytując siebie w duchu, gdzież to go los przywiał.

– Za pozwoleniem, wasze miości... – zaczął nieśmiało, palec zbrukany farbą olejną w górę unosząc.

Nikt wszelako nań uwagi nie zwracał. Pomimo rekomendacji od owego przyjaciela, niejakiego Fonseki, mość Francisco de Quevedo nie potrafił zapomnieć, że młody malarz, ledwo do Madrytu zawitał, już był sporządził portret Luisa de Góngora, i lubo nic przeciwko owemu młodzianowi nie

niał, postanowił grzech ów ukarać kilkudniową pokutą i jak powietrze go traktował. Atoli rzecz trzeba, że wkrótce mość Francisco i młody malarz przyjaźń zadzierzgnęli i najlepszy konterfekt poety, jaki dla potomności się zachował, jest właśnie pędzla owego młodego sewilczyka. Stał się on także bliskim druhem Diega Alatryste i moim, ale to stało się w czasach, gdy sławę już zyskał pod nazwiskiem swej matki: Velazquez.

Ale, ale. Przerwałem opowieść, gdy malarz bezskutecznie usiłował w rozmowie wziąć udział. Ktoś napomknął wówczas o sprawie Palatynatu i wszyscy nuże debatować nad polityką hiszpańską w Europie Środkowej. Szewc Tabarca swoje trzy grosze wtrącił z całkowitą powagą, twierdząc, że elektor Palatynatu Maksymilian Bawarski i papież bez wątpienia dogadują się potajemnie. Tu jeden z domniemanych chwalebnych weteranów się ozwał, donosząc, jakoby posiadał najświeższe nowin w tej sprawie przez szwagra, co na Dworze służy, dostarczone. Rozmowa urwała się, gdy wszyscy, wyjąwszy Klechę Pereza, skłonili się przy balustradzie ku grupie dam, co w odkrytej bryczce przejeżdżały, otulone spódnicami, brokatami i krynolinami, ku kramom złotniczym przy bramie traktu na Guadalajarę pędząc. Były to kurtyzany, czyli wykwintne ładacznice. Cóż, w habsburskiej Hiszpanii nawet dziwki szyku zadawały.

Wnet panowie głowy na powrót nakryli i rozmowa od nowa rozgorzała. Mość Francisco de Quevedo, który niewielką wagę do jej treści przykładał, przysunął się do Diega Alatryste i gestem podbródka wskazał mu dwóch osobników, którzy nieopodal pośród tłumu stali.

– Za waszmością tak chodzą, kapitanie? – zagadnął, udając, że mówi o czymś zgoła innym. – Czy też za mną?

Alatryste zerknął ukradkiem na podejrzaną parę. Wyglądali na pacholków albo najemników. Zmiarkowawszy, że są obserwowani, odwrócili się lekko jakby nigdy nic.

– Przypuszczam, że za mną, mości Francisco. Wszelako z waszmością i jego wierszami nigdy nie wiadomo.

Poeta spojrział na mego pana zafrasowany.

– Powiedzmy, że za waszmością. Sprawa poważna?

– Niewykluczone.

– Można przysiąc, że tak. W takim razie bić się przyjdzie... Potrzebujesz waszmość pomocy?

– Chwilowo nie – kapitan przypatrywał się zabijakom spod półprzymkniętych powiek, jak gdyby ich twarze w pamięci zakarbować się starał. – Poza tym dość kłopotów masz waszmość, by jeszcze mymi się zadręczać.

Mość Francisco milczał przez moment, nareszcie węża podkreślił, szkła na nosie poprawił i otwarcie skierował na tamtych zagniewane, twarde spojrzenie.

– W każdym razie – zawyrokował – gdyby doszło co do czego, dwóch na dwóch to proporcja właściwa. Możesz waszmość na mnie liczyć.

– Wiem – odrzekł Alatryste.

– Ciach, ciach, myk i na nich – poeta wsparł dłoń na rękojeści rapiera, która wystawała mu spod poły krótkiego płaszcza. – Jestem waszmości dłużny znacznie więcej. A wszak nie Pacheco jest moim mistrzem.

Tu i kapitan uśmiechnął się złośliwie. Luis Pacheco de Narvaez był najświetniejszym w Madrycie nauczycielem fechtunku, uczył samego króla i siła traktatów o sztuce szermierczej był napisał. Pewnego razu, gdy w siedzibie przewodniczącego Rady Kastylii z mością Franciskiem de Quevedo się spotkał, doszło między nimi do dyskusji na temat niektórych punktów i konkluzji. Chwycili wraz za żelazo, by towarzyski pojedynek stoczyć, ale już przy pierwszym ataku mość Francisco trafił mistrza Pacheco w głowę, kapelusz mu strącając. Od tamtej pory śmiertelną się

darzyli nienawiścią. Jeden zadenuncjował drugiego przed trybunałem Inkwizycji, tamten zaś sportretował go bez cienia litości w swej książce *Żywot młodzika niepocziwego imieniem Pablos*, która wprawdzie drukiem ukazała się dopiero jakie dwa, trzy lata później, ale już krążyła w rękopisach po całym Madrycie.

– Nadchodzi Lope – ozwał się ktoś.

Wszyscy głowy odkryli z uszanowaniem, gdy Lope, wielki Felix Lope de Vega Carpio wśród ludzi się ukazał, fetowany przez ustępujący przed nim tłum. Na chwilę zatrzymał się na krótką pogawędkę z mością Franciskiem, który pogratulował mu komedii, nazajutrz wystawianej na podwórku Principe (był to spektakl, na który Diego Alatryste zobowiązał się mnie zaprowadzić, zwłaszcza że nigdy dotąd w teatrze nie był). Wreszcie mość Francisco dokonał prezentacji.

– Kapitan mość Diego Alatryste y Tenorio... Wasza miłość znasz już Juana Vicuñe... Diego Sika... A ten tu chłopak to Inigo Balboa, syn żołnierza, co we Flandrii poległ.

Na te słowa Lope musnął mą głowę w geście nagłej sympatii. Wówczas to pierwszy raz go na oczy widziałem, lubo później zdarzyły się jeszcze okazje. I na zawsze zapamiętam jego sędziwy wygląd, godną postawę duchownego w czarnym odzieniu, wysuszone lice o krótkich, niemal białych włosach, siwy wąsik i serdeczny uśmiech, cokolwiek nieobecny, znużony może, którym obdarzył nas wszystkich, zanim w dalszą drogę ruszył, zewsząd pozdrawiany z wielkim respektem.

– Nie wolno ci tego człowieka ni dnia tego nigdy zapomnieć – powiedział do mnie kapitan, klepiąc mnie przyjaźnie w to samo miejsce, gdzie wcześniej spoczęła dłoń Lopego.

I nie zapomniałem nigdy. Dzisiaj jeszcze, choć lat tyle upłynęło, unoszę rękę ku czubkowi głowy i nadal czuję tam dotyk dłoni Feniksa Geniuszy. Nie masz już ani jego, ani mości Francisca de Quevedo, ani Velazqueza, ani kapitana Alatryste, ani wreszcie owej nieszczęsnej i wspaniałej epoki ówczesnej. Pozostał atoli w bibliotekach, w księgach, na płótnach, w kościołach, w pałacach, na ulicach i placach – niezatarty ślad, jaki odcisnęli owi mężowie, po ziemi stąpając. Wspomnienie ręki Lopego rozwieje się, gdy i ja umrę, podobnie jak akcent andaluzyjski Diega de Silva, dźwięk złotych ostróg kulejącego mości Francisca, jasne i spokojne spojrzenie kapitana Alatryste. Wszelako ich osobliwe losy będą się echem odbijać tak długo, jak długo istnieć będzie to nieopisane miejsce, ta mieszanina ludów, języków, dziejów, krwi i marzeń na wiarołomstwo wystawionych. Ta cudowna i tragiczna scena zwana Hiszpanią.

Nie zapomniałem również tego, co wydarzyło się zaraz potem. Zbliżała się właśnie pora na *Anioł Pański*, kiedy to na wprost kramików u stóp kościoła zatrzymał się czarny powóz, który tak dobrze już znał. Stałem oparty o balustradę nieco z boku, przysłuchując się konwersacji starszych. Wówczas to przechwyciłem uważne, wbite we mnie spojrzenie, w którym odbijało się całe madryckie niebo, rozpościerające się ponad naszymi głowami i burymi dachami stolicy. I wszystko, cokolwiek mnie otaczało, wyjąwszy ów kolor, owo niebo czy może owo spojrzenie, sprzed oczu mych znikło. Sprawiało to wrażenie słodkiej, błękitnej agonii światłości pełnej, której oprzeć się było nie sposób. Jeżeli pewnego dnia umrzeć przyjdzie – pomyślałem w owej chwili – tak właśnie niech się to odbędzie, niech utonę w takim błękicie. Oderwałem się od towarzystwa i z wolna w dół ruszyłem, niemal bezwolnie, jak pod działaniem hipnotyzującego eliksiru. I kiedym tak szedł od świata oderwany po schodach Świętego

Filipa ku ulicy Mayor, przez okamgnienie poczułem, jak z odległości tysięcy mil podąża za mną zafrasowany wzrok kapitana Alatryste.



## X. NA PODWÓRCU PRINCIPE



padłem w pułapkę. A mówiąc dokładniej, pięć minut rozmowy wystarczyło, by tę pułapkę zastawić. Jeszcze dzisiaj, po tylu latach, wolę wierzyć, że Angelica de Alquezar była jeno dziewczęciem przez dorosłych kierowanym – ale nawet potem, gdym lepiej ją poznał, nie mogłem co do tego pewności nabrać. Zawsze, aż po jej śmierć, domyślałem się w niej czegoś, czego nauczyć się nie sposób: zimnej, inteligentnej nikczemności, z którą niektóre niewiasty na świat przychodzą. A może noszą ją w sobie jeszcze dawniej, od stuleci. Kto jest za to rzeczywiście odpowiedzialny, to inna sprawa, którą długo należałoby roztrząsać, lecz tu ani miejsce, ani okazja po temu. Ujmijmy przeto na razie rzecz pokrótce: gdy mowa o broni, jaką niewiasta może dysponować, by się przed głupotą i okrucieństwem mężczyzny obronić, to Angelikę de Alquezar Bóg obdarzył zaiste obficie.

Nazajutrz pod wieczór, gdym z kapitanem na podwórzec Prncipe się udawał, jej wspomnienie w okienku czarnej karocy wedle świętego Filipa wciąż mi doskwierało, jakbym podczas niemal doskonale zagranego koncertu posłyszał jakąś niepewną lub fałszywą nutę czy drgnienie. A

przecież poprzedniego dnia podszedłem jeno i słów kilka zamieniłem, jej jasnymi lokami i uśmiechem tajemniczym zauroczony. Podczas gdy jej dworka sprawunki czyniła przy kramikach, a stangret siedział bez ruchu na koźle i uwagi na mnie nie zwracał (co winno czujność mą obudzić), Angelica de Alquezar, z powozu nie wysiadając, ponownie za pomoc przeciw oczajduszom na ulicy Toledo jęła mi dziękować, o służbę moją u tego kapitana Batiste czy Triste rozpytywać, zainteresowanie też okazała moim życiem i planami. Wyznaję, że się trochę poprzehwalał. Owe oczęta błękitne i szeroko rozwarte, tak – wydawało się – zasłuchane, wyzwały mnie, bym naopowiadał więcej niżli prawda obejmowała. O Lopem, którego dopiero co byłem poznałem na górze schodów, mówiłem jak o starym znajomym. Wspomniałem też o zamiarze obejrzenia wraz z kapitanem przedstawienia komedii *Arenal*, które na dzień następny w podwórcu Principe przewidzianym było. Porozmawialiśmy jeszcze troszkę, zapytałem, jak ma na imię, a ona zawahała się przez rozkoszną chwilkę, gładząc wargi drobnym wachlarzem, po czym wyznała mi je. „Angelica to znaczy anielska” – rzekłem w zachwyceniu. A ona bez słowa spojrzała na mnie rozbawiona, a trwało to tak długo, że się poczułem uniesiony pod same wrota Raju. Wkrótce atoli wróciła opiekunka, stangret mnie upomniał, powóz się oddalił, ja zaś pozostałem jak słup wbity wśród śpieszącej ciżby, z uczuciem, jakby mnie trach! – z jakiegoś cudnego zakątka wyrwano. Dopiero nocą, gdy ciągle myśli o niej sen ode mnie odpędzały, i nazajutrz po drodze do teatru jęły do mnie docierać pewne osobliwe szczegóły owej rozmowy – w końcu żadnej dziewczynce z dobrego domu nie zezwalano podówczas konwersować z nieznanymi młodzieńcami na środku ulicy – i zaczęło kiełkować we mnie podejrzenie, że oto poruszam się po krawędzi tajemnego niebezpieczeństwa. Zacząłem sam się zastanawiać, czy nasze spotkanie nie miało związku z dramatycznymi wydarzeniami sprzed kilku



dni. Uznałem wszelako, że ów anioł modrooki nic wspólnego z łotrami spod Bramy Duchów mieć nie może. A poza tym perspektywa obejrzenia sztuki Lopego do reszty odjęła mi jasność myślenia. Tak to Bóg – mówi tureckie przysłowie – zaślepia tych, co skorzy są przegrać.

Za Filipa Czwartego cała Hiszpania, od monarchy po ostatniego jałmużnika, szalała na punkcie teatru. Komédie dzieliły się na trzy dni, czyli akty, i pisane były zawsze wierszem, za to różnymi strofami i rymami. Najwięksi autorzy sztuk, jak to widzieliśmy już przy okazji Lopego, cieszyli się ogromną miłością i respektem, popularność zaś aktorów i aktorek była niebotyczna. Każda premiera i wznowienie słynnego dzieła gromadziły tłumy pospólstwa i dwór, i wszyscy z zapartym tchem tudzież z podziwem wielkim śledzili wydarzenia na scenie przez bite trzy godziny – tyle bowiem trwały spektakle. Organizowano je podówczas przy świetle dziennym, po południu zaraz po obiedzie, pod gołym niebem na ogrodzonych podwórcach. Madryt miał je dwa: Prncipe, zwany także La Pacheca, i de la Gruz. Lope gustował osobliwie w tym drugim, który także i nasz król sobie upodobał, sam wielki admirator teatru, jak zresztą i jego małżonka, królowa Elżbieta z Burbonów. Nie ukrywajmy wszelako, że miłość do teatru naszego monarchy, młodzieńca o krwi gorącej, rozciągała się także potajemnie na najurodziwsze aktoreczki, chociażby na Marię Calderón, czyli Kotlicę, która dała mu syna, drugiego Juana de Austria.

Owego dnia wszakże właśnie w podwórku Prncipe powracała na scenę słynna komedia Lopego *Arenal* i oczekiwania w związku z tym były przeogromne. Od wczesnej pory ciągnęły w tamtym kierunku całe rzesze, już w południe doszło do pierwszych tumultów w sąsiadującym z klasztorem Świętej Anny wąskim zaułku, gdzie na podwórzec wnijscie było. Kiedyśmy dotarli z kapitanem, towarzyszyli nam już od jakiegoś czasu Juan Vicuña i licencjat Calzas, również w Lopem rozmówiani, a na

samej ulicy Prncipe dołączył do nas mość Francisco de Quevedo. Wspólnie wcisnęliśmy się w bramę wiodącą na podwórzec teatralny, bowiem poruszać się normalnie w tej ciżbie niepodobna było. W środku stawili się przedstawiciele wszelkich stanów stołecznego miasta i Dworu: od osób najszlachetniejszych, zasiadających w bocznych kwaterach z oknami zwróconymi ku scenie, po prostą publiczność zaludniającą schody naokoło podwórca i sam dziedziniec, gdzie ustawione były drewniane ławy, dalej galerię, czyli podwyższenie przeznaczone dla niewiast (obie płcie pozostawały od siebie oddzielone zarówno w kościele, jak i w teatrze). Wolną przestrzeń pod samym budynkiem przeznaczano dla tych, którzy rzecz całą obserwowali na stojąco: słynnych muszkieterów, którzy już tam zamęt siali pod wodzą swego przywódcy, szewca Tabarki. Ten na nasz widok skłonił się poważnie i solennie, własną rolą do cna przejęty. O drugiej po południu ulica Prncipe i wejścia na podwórzec zaroily się od handlarzy, rzemieślników, paziów, studentów, duchownych, skrybów, żołnierzy, sług, giermków i lada szubrawców, którzy z tej okazji przywdziali płaszcze i broń różnorodną przypięli, każąc się zwać szlachetnymi kawalerami, i gotowi byli bić się o dogodne miejsce, skąd sztukę podziwiać by mogli. Do tego zgiełkliwego i niezwykłego obrazu dodajmy jeszcze białogłowy, które wśród szumu spódnic, mantylek i wachlarzy na galerię wchodziły, gdzie stawały się z miejsca celem bystrych spojrzeń każdego galanta, jaki w kwaterach czy na dziedzińcu zasiadał. I one spory wiodły o wolne miejsce i nierzadko do interwencji władzy dochodziło, by spokój w tym pomieszczeniu zaprowadzić. Trzeba waszmościom wiedzieć, że nietrudno było o kłótnie o miejsce siedzące, o próby wejścia bez opłaty czy o to, by w okamgnieniu kto krewki za broń chwycił, dlatego na widowni zawsze musiał się znaleźć sędzia królewski wraz ze strażnikami. I nawet szlachta nie stroniła od podobnych utarczek:

diukowie de Feria i de Rioseco, rywalizujący o względy pewnej aktorki, z nożami kiedyś ku sobie skoczyli w połowie jakiejś komedii, a to pod pretekstem sporu o miejsce do siedzenia. Licencjat Luis Quiñones de Benayente, skromny toledańczyk i pocziwina wielki, znajomy kapitana Alatraste i mój, w jednej ze swych lekkich romanc opisał ową gęstą atmosferę, pełną szczęku broni:

*Już przy wejściu na podwórzec  
Spada ostry grad sztyletów,  
Na komedię ciżba wali  
Z ostrą bronią miast biletów.*

Charakterny naród, nieprawdaż? Jak to ktoś dużo później napisał, stawiać czoło niebezpieczeństwu, walczyć, rzucać wyzwanie możliwym, wystawiać własne życie albo swobodę na szwank – to rzeczy powszechne w każdym zakątku świata, do których popychały ludzi głód, ambicja, nienawiść, rozpasanie, honor, względnie patriotyzm. Ale chwytać za szpady i dźgać się nawzajem po to, by móc wejść na teatralny spektakl – o, to wyłączna specjalność owej habsburskiej Hiszpanii, z którą na dobre (co nieco tego było) i na złe (zdarzyło się nawet więcej) związał mnie los za młodu: Hiszpanii sławnej próżną donkichoterią, Hiszpanii, która zawsze rozumu swojego i swych przywilejów szukała w blasku obnażonych ostrzy.

Dotarliśmy, jak wspomniałem, do bramy podwórca, lawirując wśród grupki takich jak my i wśród żebraków, którzy wszędy o jałmużnę błagali. Naturalnie połowa z nich to samozwańczy szlachcice, co udawali, że są ślepi, chromi, bezręcy lub sparaliżowani i żebrzą nie dla potrzeby, jeno skutkiem wypadku. Chwilami wręcz trzeba było wykręcać się uprzejmym „wasza miłość wybaczy, nie mam przy sobie pieniędzy”, aby uniknąć

karczemnej awantury. Wiedźcie waszmościowie, że także w sposobach dziadowania łącno różnice między narodami dostrzec można: Niemcy śpiewają chórem, Francuzi zebrzą z pokorą, zmawiając modlitwy i dokonując aktów strzelistych, Portugalczycy lamenty wznoszą, Włosi prawią długo o swych niedolach i krzywdach, Hiszpanie zaś grożą buńczucznie, pyskują i wybuchają niecierpliwie.

Daliśmy miedziaka przy pierwszej bramie, trzy wedle drugiej jako jałmużnę dla szpitala i dwadzieścia marawedi za miejsce siedzące na ławie. Lubośmy za nie zapłacili, i tak już były dawno zajęte, ale że kapitan nie chciał się w utarczki wdawać w mej przytomności, wspólnie z mością Franciskiem i resztą kompanii postanowili, że staniemy z tyłu, pospołu z muszkietierami. Ja na wszystko oczy wybałuszałem, co zrozumieć łatwo, tak wielkie wrażenie robił ów tłum, sprzedawcy miodów i słodyczy, gwar rozmów, szum krynolin, spódnic i baskin dobiegający z galerii niewieściej, tudzież wystawne stroje osób szlchetnych, które zasiadały w oknach wyższych kwater. Powiadano, że sam król osobiście tam często przebywa, gdy rad incognito jakąś sztukę obejrzeć. Owego popołudnia również tak być mogło, na co wskazywała obecność strażników królewskich w przejściach na piętra, bez uniformów, atoli z wielkim przejęciem malującym się na ich obliczach. Wypatrywaliśmy naszego młodego monarchy lub jego królowej małżonki w oknach, ale nie rozpoznaliśmy ich, choć co raz spoza *zaluzji* ukazywała się jakaś magnacka twarz. Owszem, dostrzegliśmy za to samego Lopego, którego widok donośny aplauz całej publiczności wywołał. Ujrzelśmy także hrabiego de Guadalmedina w towarzystwie przyjaciół i dam. Alvaro de la Marca lekkim uśmiechem odpowiedział na gest kapitana Alatryste, który skraju kapelusza dłonią dotknął, by wybawcę swego pozdrowić.

Jacyś znajomi mości Francisca de Quevedo ofiarowali mu miejsce obok siebie na ławie, przeprosił nas przeto i ku nim pokuśtykał. Juan Vicuña i licencjat Calzas stanęli na stronie i jęli rozprawiać o sztuce, którą wnet mieliśmy obejrzeć, a której Calzas wielkim był admiratorem od czasu jej premiery przed laty. Diego Alatriste trzymał się blisko mnie, robiąc mi miejsce koło dźwigara budynku, by mi muszkietierowie widoku nie zasłaniali na wydarzenia na scenie. Zakupił był wcześniej opłatki i andruty, którym teraz wniebowzięty chrupał łakomie, on zaś rękę trzymał na mym ramieniu wspartą, żebym od szturchnięć nie ucierpiał. Raptem poczułem, że dłoń mu zeszywniała i powoli powędrowała ku rękojeści rapiera.

Podążyłem za spojrzeniem jego naraz poważniejących oczu i w ciżbie zoczyłem owych dwóch osobników, którzy poprzedniego dnia na schodach pod Świętym Filipem wokół nas się byli kręcili. Zajmowali miejsce wśród muszkietierów i odniosłem wrażenie, że wymieniali porozumiewawcze znaki z innymi dwoma mężczyznami, dopiero co przybyłymi przez pobliską bramę. Kapelusze mieli nisko na oczy opuszczone, płaszcze podwinięte, zawadiackie wąsiki i łotrowskie brody, oblicza bliznami tu i ówdzie poorane, stali na szeroko rozstawionych nogach i rozglądali się z ukosa, co razem nie pozostawiało wątpliwości, że okazji do potyczki szukają. Od takich na całym podwórku aż rojno było, to prawda, owi czterej wszakże osobliwą uwagą nas raczyli darzyć.

Odezwał się gong, stanowiący sygnał do rozpoczęcia przedstawienia, „Kapelusze!” – zakrzyknęli muszkietierowie, wszyscy zebrani głowy odkryli, kurtyna rozjechała się na boki i mój wzrok nieuchronnie oderwał się od zawadiaków, by ku scenie powędrować, gdzie już pojawiły się postacie panny Laury i pani Urbany, w mantylki odziane. Na tle tylnej zasłony widniała niewielka, pomalowana kulisa z kartonu, naśladowująca Żółtą Wieżę.

- *Arend nasz cieszy oko!*
- *A czyż może być inaczej?*
- *Nigdzie w świecie nie masz raczej Cudniejszego wszak widoku.*

Po dziś dzień wzruszam się, wspominając owe pierwsze wersy, jakim w życiu ze sceny teatralnej usłyszał. Osobliwie dla tej przyczyny, iż aktorka rolę panny Laury odtwarzająca, nadobna Maria de Castro, miała w późniejszych latach poczesne zająć miejsce w życiu kapitana Alatryste i moim. Owego popołudnia atoli w podwórku Principe była wciąż dla mnie jeno piękną Laurą, która wraz z ciotką swą Urbana nawiedza port w Sewilli, gdzie galery właśnie kotwice podnoszą i gdzie trafem napotyka mość Lopego i jego sługę Toledo.

*Pośpiech cnotą bywa przecie,  
Skoro przyszedł czas odpływać.  
Ten zwycięża, co się skrywa  
Przed ogniem broni niewieściej1.*

Wszystko wokół się rozwiało, a ja dałem się całkiem omotać słowom płynącym z ust aktorów. I wnet sam znalazłem się pośrodku Arenal w Sewilli, do szaleństwa zakochany w Laurze, i pragnąłem dzielnością dorównać kapitanom Fajardowi i Castellanosowi, wdać się w pojedynki ze strażnikami i ich pachołkami, by na koniec zaciągnąć się do królewskiej floty ze słowami, które właśnie mość Lope wypowiadał:

*Przyszło mi za rapier chwycić.  
Przyszło mi to zrobić łącno,  
Przeciw szlachetnej osobie,*

*Ten tak czyni, kto o sobie  
Może mieć mniemanie zacne.  
Z tym, co despekt sieje wokół,  
Hańbą jest krzyżować bronie.  
Tylko ten tak czyni, kto nie  
Ceni siebie zbyt wysoko*

W tym właśnie momencie jeden z widzów, przed kapitanem stojący, odwrócił się ku niemu, by go o milczenie upomnieć, choć pan mój ani słowem nie pisnął. Rozejrzałem się zaskoczony i ujrzałem, że kapitan z wielką uwagą przypatruje się owemu awanturnikowi o gębie szubrawca, jego złożonemu we czworo na ramieniu płaszczowi i dłoni zaciśniętej na rękojeści rapiera. Przedstawienie trwało dalej, dałem się znów pochłonąć sztuce, ale lubo Diego Alatryste wciąż milczał i słowa nie mówił, tamten jeszcze raz się odwrócił z zaczepką, po czym zmierzył kapitana nieprzychylnym spojrzeniem i wymamrotał coś na temat takich, co to teatru uszanować nie potrafią i zagłuszają aktorów. Poczułem, że dłoń, którą chwilę wcześniej kapitan na mym ramieniu na powrót położył, teraz znowu się ode mnie odrywa, zauważyłem też, że mój pan płaszcz lekko odsuwa, by zyskać swobodny dostęp do lewaka, który miał za pas po lewej stronie pleców zatknięty. W tym momencie dobiegł kresu pierwszy akt, rozległy się wiwaty, a Alatryste i ów osobnik jęli się w siebie w milczeniu wpatrywać i na tym całe zajście mogło się zakończyć. Pozostałych czterech nieznanomych, po dwóch z każdej strony, nie spuszczało z nas wzroku.

Podczas tanecznego interludium kapitan odszukał wzrokiem Vicuñę i licencjata Calzasa, po czym polecił mi ku nim się udać, wmawiając mi, że z tamtego miejsca lepiej będę mógł podziwiać drugi akt. Nagle dał się słyszeć donośny aplauz publiczności i wszyscy zwróciliśmy głowy ku jednej z łóż,

gdzie ludzie rozpoznali naszego Najjaśniejszego Pana, który wśliznął się był ukradkiem na początku pierwszego aktu. Wtedy pierwszy raz mogłem przyjrzeć się jego blademu licu, jasnym kędziorom nad czołem i na skroniach, tudzież owej wydatnej dolnej wardze, tak charakterystycznej dla Habsburgów i wciąż jeszcze nieukrytej pod prostym wąsikiem, jaki król nasz zapuścił później. Monarcha odziany był w czarny aksamit z wykrochmaloną krezą i skromnymi guzikami ze srebra – zgodnie z dekretem o umiarze w zbytkach, jaki sam dopiero co wydał – a w szczupłej, białej dłoni o niebieskich żyłkach trzymał niedbale zamszową rękawiczkę, którą co czas jakiś do ust podnosił, by uśmiech przesłonić albo kilka słów ze swą kompanią zamienić. Rozentuzjasmowany tłum rozpoznał w królewskiej świcie, wśród wielu hiszpańskich magnatów, także księcia Walii i diuka Buckingham, których Jego Wysokość uznał za stosowne na spektakl zaprosić, aczkolwiek nadal przy zachowaniu oficjalnego incognito – goście głowy mieli nakryte, jak gdyby króla tam zgoła nie było. Posępna powaga Hiszpanów ostro odcinała się od piór, wstążek, kokard i klejnotów, jakimi skrzyły się stroje obydwu Anglików. Ich młody i dumny wygląd wywoływał u wypełniającej podwórzec publiczności zgoła uwielbienie, nie mówiąc o galerii niewieściej, skąd damy słały zalotne uśmiechy i obezwładniające spojrzenia, uderzając o usta wachlarzami.

Rozpoczął się drugi akt, który również oglądałem z najwyższą uwagą, chłonąc każde słowo i gest występujących na scenie. I oto akurat w momencie, kiedy kapitan Fajardo wygłaszał kwestię:

*Ponoć jest „kuzynką”.*  
*Nie wiem,*  
*Czy kuzynka to prawdziwa,*  
*Czy też fałsz jakowy skrywa,*



*By człek prawdy nie był pewien.*

... znów Diega Alatryste zaczepił ów zuchwalec z płaszczem we czworo złożonym. Tym razem dołączyło do niego dwóch z czterech podejrzanych typów, którzy podczas interludium zdążyli znacznie się przybliżyć. Kapitan sam nieraz już podobne sztuczki stosował, sprawa wydawała się zatem jasna jak słońce, osobliwie i dlatego, że pozostała dwójka zabijaków również z wolna przesuwała się ku miejscu zajścia. Pan mój rozejrzał się, by móc się w swej sytuacji zorientować. Ot, szczegół znaczący: ani sędzia królewski, ani strażnicy, którzy winni porządku podczas spektaklu pilnować, nie znajdowali się teraz w zasięgu wzroku. Co się tyczy pomocy z innej strony, licencjat Calzas nie parał się szermierką, a pięćdziesięciolatek Juan Vicuña nie za wiele by zdziałał, tylko jedną dłoń mając do dyspozycji. Z kolei mość Francisco de Quevedo siedział dwa rzędy dalej, z uwagą treść sztuki śledził i pojęcia nie miał, co też się za jego plecami wyprawia. A najgorsze, że pod wpływem zaczepnych słów awanturników niektórzy widzowie również jęli na kapitana złym okiem popatrywać, jak gdyby istotnie im przeszkadzał. Dalszy ciąg wypadków był oczywisty jak to, że dwa i dwa to cztery. No, w tym konkretnym przypadku trzy i dwa sumowało się do pięciu. A pięciu na jednego dawało miażdżącą przewagę, nawet jak dla kapitana. Usiłował wycofać się ku najbliższemu wejściu. Gdyby do potyczki zmuszony został, miałby więcej swobody na ulicy niżli tutaj w tłumie, gdzie jak amen w pacierzu zaraz dostałby nożem pod żebro. W pobliżu znajdowało się też parę kościołów, gdzie można się było skryć pod ołtarzem, gdyby na koniec wtrąciła się jeszcze straż miejska. Ale już pozostała dwójka zastąpiła mu drogę od tyłu i cała rzecz jęła nabierać paskudnych barw. Właśnie drugi akt się zakończył, rozbrzmiały wiwaty, a napastnicy tylko wzmoogli swe połajanki. Okoliczny motłoch już

się w krąg ustawiał. Słowa padały coraz grubsze, ich ton był coraz głośniejszy. I wreszcie, ni stąd, ni zowąd, ktoś rzucił: „Łajdak!”. Diego Alatryste westchnął przeto głęboko, zrozumiawszy, że nie ma odwrotu, sięgnął ku pochwie i wyciągnął swój rapier. Przynajmniej – pomyślał przelotnie, gdy ujmował rękojeść broni – paru z tych skurwysynów dostanie za swoje, zanim współ z nim do piekieł się dziś wybierze. Nawet pozycji obronnej nie przyjmując, sieknął poziomo ostrzem w prawo, by do dystansu zmusić najbliższych dwóch łotrów, jednocześnie lewą dłoń ku małemu futerałowi zawieszonemu u pasa z tyłu wyciągnął, by lewaka dobyć. Publiczność rejwach czyniła, miejsce dla walczących robiąc, niewiasty na galerii wrzawę podniosły, a z magnackich łóż wychynęły ciekawskie głowy. Jak wiecie waszmościowie, w owych czasach nie należały do rzadkości wypadki, kiedy to akcja sztuki przenosiła się ze sceny na dziedziniec, przeto wszyscy gotowali się na dodatkową darmową atrakcję. W jednej chwili wokół uczestników zajścia wytworzył się zwarty krąg. Kapitan, świadom, że długo przeciwko pięciu uzbrojonym i w boju zaprawionym osobnikom nie strzyma, zrezygnował z popisowej szermierki i miał własne zdrowie chronić, jął cudze nadszarpywać. Zaatakował tego z płaszczem złożonym we czworo i nie spoglądając na rezultat – nienadzwyczajny zresztą – rzucił się, by podciąć drugiego lewakiem. Zgodnie z tym, co nam arytmetyka podpowiada, pięć rapierów i pięć pugińców daje razem dziesięcioro ostrzy śmigających w powietrzu. Sztychy padały gęsto jak grad. Jeden zdołał kapitanowi odciąć rękaw kaftana, drugi pewnikiem przeszyłby mu ciało, gdyby w płaszczu nie ugrzązł. Mój pan obracał się, wywijając młynki i siekąc na prawo i lewo, zmusił dwóch przeciwników do odstąpienia, związał głównie z kolejnym, a lewaki z jeszcze innym i w tym momencie poczuł, jak ktoś dosięgnął jego głowy: zimny, nagły dotyk ostrza i strumyczek krwi spływający pomiędzy brwiami. No to cię, Diego,

dopadło kurewskie przeznaczenie – pomyślał w ostatnim przebłysku dowcipu. Wreszcie dotarł do kresu. Odczuwał potężne znużenie. Ręce ciążyły mu jak ołów, krew zalewała oczy. Uniósł lewą rękę, tę z puginałem, by wierzchem dłoni twarz obetrzeć, i wówczas ujrzał rapier ku jego gardzieli mierzący i mość Francisca de Quevedo, który wołając potężnym głosem: „Alatriste! Do mnie! Do mnie!", skoczył przez ławy ku dźwigarowi i własną bronią sparował wraży cios.

– Pięciu na dwóch to już lepsza proporcja! – zakrzyknął poeta, unosząc szpadę i wesołym ruchem głowy pozdrawiając kapitana. – Bić się nam przyszło!

I rzeczywiście jął się bić jak sam diabeł, wywijając toledańską szpadą, a chroma noga nic a nic mu w tym nie przeszkadzała. Z pewnością dumał przy tym o decymie, jaką miał zamiar o całym incydencie ułożyć. Szła mu na pierś opadły, na sznureczku dyndając wedle czerwonego krzyża świętego Jakuba. On zaś nacierał, cały spocony, ze straszliwą furią, jaką rezerwował zazwyczaj dla bohaterów swych poetyckich docinków, ale potrafił też manifestować ją w ogniu potyczki. Wypadł z impetem i całkiem niespodziewanie, co pięciu napastników z pantałyku zbiło, a i jeden ranę w ramię otrzymał, gdy broń mości Francisca przeszła rzemień pendentu. Po chwili jednak tamci przyszedli do siebie, zwarli na nowo szyki i walka na powrót rozgorzała, wypełniając powietrze furkotem głowni. I nawet aktorzy wyszli na scenę, by potyczkę móc podziwiać.

Wypadki, które nastąpiły później, przeszły do historii. Jak powiadają świadkowie, w loży, gdzie zasiadali rzekomo incognito król, księżę Walii, Buckingham i świta, wszyscy baczenie bójce się przypatrywali, lubo różne uczucia względem jej uczestników żywili. Nasz monarcha, co jest rzeczą zrozumiałą, nieswojo się czuł, widząc, że ktoś bezwstydnie zakłóca publiczny ład w jego najjaśniejszej obecności, choć obecność owa miała

charakter ledwo półoficjalny. Atoli, jako człek młody, prędko i rycerskiego ducha, zarazem z niejakim, acz skrytym ukontentowaniem przyjął fakt, że jego cudzoziemscy goście mogą oglądać taki niespodziany popis sztuki bojowej ze strony jego poddanych, z którymi niejednokrotnie musieli się spotykać na polu bitwy.



Widomym było, że człek, który przeciwko pięciu napastnikom stawał, bił się z niezwykłą desperacją i odwagą, jego wściekłe ciosy rychło

zaskarbiły mu sympatię zgromadzonych, a widok coraz ciaśniejszego potrzasku, w jakim mąż ów się znalazł, wywołał zatrwożone okrzyki dam. Wahał się przeto nasz król, jak powiadają, pomiędzy protokołem a własnym zamiłowaniem, dlatego też zwlekał z rozkazem, by dowódca jego straży, przebranej za włościan, zaprowadził nareszcie porządek. Lecz w chwili, gdy już miał usta otworzyć, by mocą majestatu swego w nieodwołalny sposób zareagować, wszyscy z wielkim podziwem ujrzeni, jak do bitki włączył się mość Francisco de Quevedo, poeta jak zły szeląg znany na Dworze.

Ale największa niespodzianka dopiero nadejść miała. Albowiem poeta nazwisko Alatryste wykrzyknął, gdy w wir walki się rzucał. A król nasz miłościwy, z trudem za wydarzeniami nadążający, spostrzegł, że na dźwięk tego słowa Karol i diuk Buckingham wymieniają spojrzenia.

– Alatruieste! – zawołał książę Walii ze swoim młodocianym, szkockim, ściśniętym akcentem. Przechylił się następnie przez balustradę okna, rzucił okiem na sytuację na dziedzińcu, po czym ponownie ku Buckinghamowi i ku królowi się zwrócił. Przez te kilka dni, jakie w Madrycie był spędził, miał czas nauczyć się kilku słów i zwrotów po hiszpańsku, teraz przeto tak oto ozwał się do naszego monarchy: – Wibacz, Najjaszniejszy Pane... Tamten człowik i ja welki dług... Zawdżęczam żicze.

Co powiedziawszy, z flegmą i spokojem bardziej do salonu Pałacu Świętego Jakuba pasującymi zrzucił kapelusz, poprawił rękawiczki i sięgając po rapier, popatrzył na Buckinghama z doskonale zimną krwią.

– Steenie – rzekł.

Po czym z bronią w ręku, dłużej nie mieszkając, ruszył schodami w dół, a Buckingham w ślad za nim, również za rękajeść chwytając. Zaś Filip Czwarty tak oniemiał, że nie wiedział, czy ma ich zatrzymywać, czy też na nowo przez okno baczyć, a kiedy równowagę odzyskał, obydwaj Anglicy

już byli na dziedzińcu podwórca i nacierali chwacko na pięciu awanturników, którzy usiłowali mość Francisca de Quevedo i Diega Alariste dopaść. Była to potyczka z tych, co to do legendy przechodzą. Wszystkie loże, amfiteatr, galeria, ławy i cały podwórzec gromkimi wiwatami i oklaskami wybuchły, zadziwione widokiem Karola i Buckinghamama z żelazem w dłoniach. Natenczas nasz pan i władca w końcu podjął decyzję, stanął na równe nogi i ku swej świcie się zwracając, nakazał, by całe to szaleństwo natychmiast kresu dobiegło. A gdy to uczynił, rękawiczka mu upadła na podwórzec. Jak na kogoś, komu przez czterdzieści i cztery lata panowania ani razu powieka publicznie nie drgnęła ni mina nie zrzędła wobec nieprzewidzianych sytuacji, znak to był widomy, że władca Starego i Nowego Świata owego wieczoru w podwórku Prncipe omal majestatu nie utracił.



## XI. PIECZĘĆ I LIST



krzyki gwardii hiszpańskiej, burgundzkiej i niemieckiej, podczas zmiany warty przed bramą Zamku Królewskiego wydawane, dobiegały do uszu Diega Alatryste przez otwarte okno. W przestronnej izbie całej drewnem wyłożonej leżał jeden tylko kobierzec, na którym stał wielki, ciemny stół, przykryty papierami, zwojami i księgami i równie dostojny, jak siedzący za nim człowiek. Mąż ów skrupulatnie wczytywał się w kolejne listy i noty, co jakiś czas zapisując coś na marginesie piórem, maczanym raz za razem w kałamarzu z talawerskiego fajansu. Czynił to bez ustanku, jak gdyby myśli spływały po papierze z równą łatwością co inkaust i tak szybko, jak oczy po zapisanym tekście biegną. Pochłonięty dłuższy czas lekturą, nawet głowy nie uniósł, kiedy dowódca straży Martin Saldaña, w towarzystwie sierżanta i dwóch żołnierzy gwardii królewskiej, przyprowadził doń sekretnymi korytarzami Diega Alatryste, po czym się dyskretnie wycofał. Człowiek za stołem nadal z uwagą przekładał kolejne listy, jakby sam zgoła w pomieszczeniu przebywał, dzięki czemu kapitan czasu miał w bród, by się gospodarzowi przypatrzeć. Był to człek tęgawej postury, o sporej głowie i cerze rumianej, włosach czarnych i gęstych, na

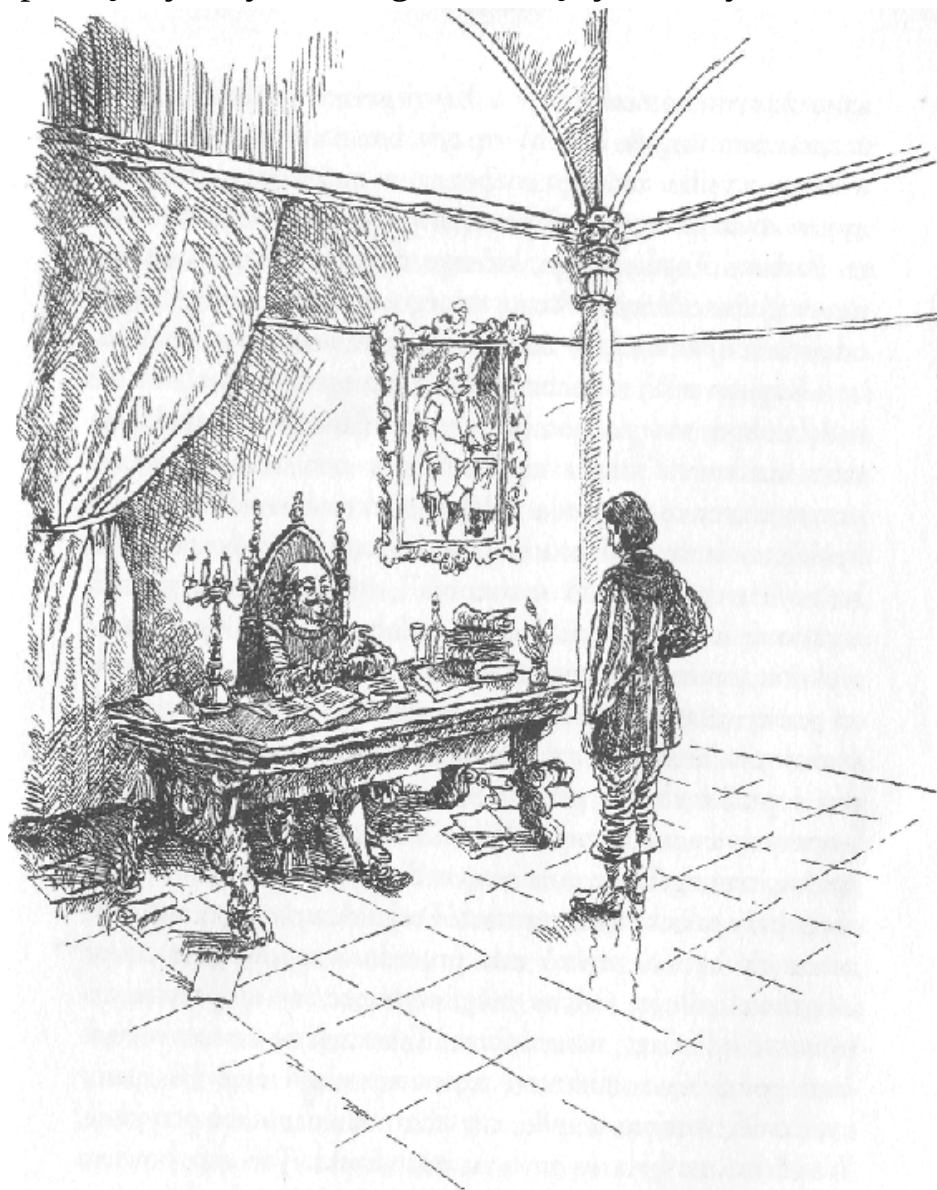
uszy opadających, ciemnej brodzie porastającej szczelnie podbródek i sumiastych wąsach, podkręconych na policzkach. Odziany był w szatę z ciemnobłękitnego jedwabiu z czarnymi naszywkami oraz w trzewiki i pończochy tejże barwy. Na piersi jego widniał czerwony krzyż Zakonu Calatrava, który obok białej krezy i wąskiego łańcucha ze złota stanowił jedyną ozdobę surowego poza tym stroju.

Lubo Gaspar de Guzman, trzeci hrabia de Olivares, diukiem miał zostać dopiero dwa lata później, już teraz cieszył się ogromnymi wpływami. Był grandem Hiszpanii i dysponował ogromną władzą, jaka w wieku trzydziestu pięciu lat niewielu była udziałem. Młody monarcha, bardziej ku zabawom i polowaniu się skłaniający niżli ku sprawom państwa, pozostawał ślepym narzędziem w jego rękach, a każdy, kto mógłby go przyćmić, bywał zmuszany do bezwzględnej uległości albo skazywany na śmierć. Jego dawni protektorzy, faworyci poprzedniego króla, diuk de Uceda i brat Luis de Aliaga, przebywali na wygnaniu, diuk de Osuną popadł był w niełaskę, a włości jego zostały skonfiskowane, diuk de Lerma umknął spod szafotu pod kapelusz kardynalski – *przecież nigdy purpurata nie dosięgnie ręka kata*, jak głosiła śpiewka – a Rodrigo Calderón, jeszcze jedna wpływowa osoba za czasów poprzedniego króla, został stracony na placu miejskim. Nikt już tedy nie przeszkadzał owemu inteligentnemu, wykształconemu i ambitnemu patriocie w drodze do przejęcia pełnej kontroli nad głównymi sprawami najpotężniejszego imperium, jakie istniało na ziemi.

Stał tedy Diego Alatryste przed wszechpotężnym ministrem w przestronnym pomieszczeniu, w którym poza kobiercem i stołem jedyną ozdobę stanowił portret nieboszczyka Filipa Drugiego, dziadka obecnego monarchy, wiszący nad wygaszonym kominkiem – i łatwo sobie wyobrazić, jakie uczucia nim targały. Osobliwie gdy bez najmniejszej wątpliwości ni



wysiłku żadnego rozpoznał w nim jednego z dwóch zamaskowanych mężów z pamiętnej nocy koło rogatek Świętej Barbary.



Tego samego, którego drugi, z okrągłą czaszką, nazywał Ekscelencją, i tego samego wreszcie, który przed odejściem upomniał, by Anglikom nie za wiele krwi upuścić. Kapitan miał w duchu nadzieję, że egzekucji na nim nie będą dokonywać za pomocą garoty. Również perspektywa tańca na końcu sznura nie budziła w nim zachwytów, ale przynajmniej oszczędzała człękowi wkręcania w kark owej haniebnej śruby, od której twarze

skazańcom purpurowiały, gdy tymczasem kat mamrotał: „wybaczy wasza miłość, wykonuję jeno polecenie” i tym podobne, niech Bóg pokarze wykonujących polecenia na równi z wydającymi, bo przecie na dobrą sprawę jedni drugich warci. Nie mówiąc o uprzednich formalnościach, czyli o ciągnięciu kończyn, przypiekaniu i przesłuchaniu przed sędzią, oskarżycielem, pisarzem i oprawcą, co miało zapewnić, że badany akuratnie winę wyśpiewa, nim zgoła już połamany w diabły posłany będzie. Niestety przy takich instrumentach Diego Alatryste śpiewał marnie a niechętnie, przeto cała procedura zapowiadała się na uciążliwą i długą. Gdyby mógł wybierać, wolałby życie zakończyć od żelaza, raz a dobrze. Takie zejście ze sceny skądinąd godzi się żołnierzowi zapewnić: niech żyje Hiszpania i tak dalej, witajcie, aniołki, czy kogo tam napotkać przyjdzie. Wszelako nie była to pora na zachcianki. Tak oto bowiem ozwał się był doń zafrasowany Martin Saldaña, gdy skoro świt przyszedł go zbudzić w turmie królewskiej, aby go na Zamek poprowadzić: – Jak mi Bóg miły, Diego, tym razem wpadłeś naprawdę.

– Bywało gorzej.

– Nie. Gorzej nigdy jeszcze nie miałeś. Stamtąd, gdzie cię prowadzę, nikt jeszcze szpadą sobie drogi powrotnej nie wyrąbał.

Alatryste *zresztą* i tak nie miałby czym rąbać. Kiedy go pochwycili po potyczce na podwórku teatralnym, odebrali mu nawet nóż rzeźnicki za cholewę zatknięty. Obecność Anglików tyle choć sprawiła, że na miejscu życia go nie pozbawiono.

– Jesteżmi teraz kwita – powiedział Karol, gdy straż przybyła, by walczących rozdzielić albo jego samego ochroną otoczyć, co w sumie na jedno wychodziło. Schował broń do pochwy, odwrócił się i wraz z Buckinghamem przestali zwracać uwagę na dalsze wypadki, szli tylko, owacje wniebowziętego tłumu przyjmując. Mość Francisco de Quevedo

odszedł wolno, na co otrzymał osobiste zezwolenie króla, któremu najwyraźniej spodobał się był jego ostatni sonet. Natomiast z piątki zabijaków dwóch zdołało w ciżbie czmychnąć, jednego odniesiono, bo ciężko był raniony, dwóch pozostałych zaś pospołu z kapitanem Alatryste ujęto i w sąsiedniej celi osadzono. Gdy nazajutrz z rana kapitan wraz z Saldaña wychodził, cela za ścianą była pusta.

Hrabia Olivares nadal zatrudniał się przeglądaniem poczty, Alatryste zerknął przeto ku oknu z ponurą nadzieją. To mogło mu oszczędzić spotkania z katem i skróciłoby cały proces, aczkolwiek upadek z wysokości trzydziestu stóp na dziedziniec nie zwiastował ostatecznego rozwiązania – przeżyłby i zostałby zaciągnięty zaprzęgiem pod stryczek, gdzie zawisłby z połamanymi nogami, co splendoru by mu nie przysporzyło. Do czego jeszcze jeden kłopot dochodził: jeżeli po tamtej stronie jest Ktoś, na wariant okienny z pewnością będzie patrzył nieprzychylnie przez całą wieczność, która wprawdzie nie jest pewna, ale wcale przez to mniejszym lękiem nie napawa. Zatem jeśli mają zatrzeć mu na odwrót, niech odejdzie z sakramentami i z cudzej ręki, ot, na wszelki wypadek. Ostatecznie – pocieszał się – lubo cierpień doświadczysz i długo umierać będziesz, przecież jednak w końcu umrzesz. A kto umiera, odpoczywa.

Takimi to wesołymi rozmyślaniami czas zabijał, gdy spostrzegł, że faworyt właśnie skończył zajmować się listami i przygląda mu się z uwagą swymi mrocznymi, czarnymi, żywymi oczyma. Alatryste pożałował, że tak szpetnie wygląda, bowiem kaftan jego i pludry nosiły ślady nocy w celi spędzonej. Gdyby choć policzki mógł być ogolić, już byłoby lepiej. Przydałby się też skrawek czystego bandaża do rany na czole tudzież woda, by krew zaschła z oblicza obmyć.

– Widziałeś mnie waszmość wcześniej?

Tym pytaniem Olivares wytrącił kapitana z równowagi. Szósty zmysł, przypominający dźwięk noża na osetce, podpowiedział mu najwyższą ostrożność.

- Nie. Nigdy.
- Nigdy?
- Jakom rzekł Waszej Ekscelencji.
- Nawet na ulicy, podczas jakiejś uroczystości?
- Cóż – kapitan przesunął dwa palce po wąsach, jakby usiłował sobie przypomnieć. – Może na ulicy... To znaczy na placu Mayor, na Błoniach Hieronimitów, w takich miejscach – skinął głową w geście umyślnej szczerości. – Możliwe, że tak.

Olivares nie spuszczał zeń wzroku.

- Nigdzie poza tym?
- Nigdzie poza tym.

Przez mgnienie oka kapitan dostrzegł w głębi gęstej brody faworyta coś, co mogło być uśmiechem. Pewności atoli nie miał. Olivares sięgnął po jeden z leżących na blacie plików i jął go od niechcienia przeglądać.

– Służyłeś waszmość we Flandrii i w Neapolu, jak widzę. A także przeciw Turkom w Lewancie i w Berberii... Długa droga żołnierska.

- Od trzynastu lat, Ekscelencjo.
- „Kapitan”, jak tuszę, to jeno przydomek?
- Coś w tym rodzaju. Nigdy wyżej od sierżanta nie zaszedł, a i tego stopnia mnie pozbawiono po pewnej bijatyce.

– Tak, piszą tu o tym – minister dalej wertował plik papierów. – Starłeś się waszmość z jakimś chorążym i kilka razy go zraniłeś... Aż dziw, że waszmości za to nie powiesili.

– Zamiar owali, Ekscelencjp, atoli owego dnia nasze wojska pod Maastricht bunt podniosły, bo pięć miesięcy bez żołdu już były. Ja w buncie

udziału nie wziąłem, przez co miałem szczęście bronić przed żołnierzami pana marszałka polnego, mość Miguela de Orduña.

– Nie w smak ci bunty?

– Nie w smak mi, gdy mordują oficerów. Faworyt uniósł brwi z nieukontentowaniem.

– Nawet takich, którzy mieli waszmości powiesić?

– Jedno to jedno, a drugie to drugie.

– Broniąc waszmościnego marszałka, jak tu czytam, zaszlachtowałeś dwóch czy trzech.

– To byli Niemcy, Ekscelencjo. Zresztą pan marszałek polny powiedział: „Do pioruna, Alatriste, skoro mają mnie zabić buntownicy, niechże to przynajmniej będą Hiszpanie”. Przyznałem mu rację, ruszyłem do walki i zasłużyłem na odpuszczenie.

Olivares słuchał z widomą uwagą. Co chwila rzucał okiem w papiery, po czym spoglądał na Diega Alatriste zadumany i zaniepokojony.

– Jasne – rzekł. – Mamy tutaj również list polecający od starego hrabiego de Guadalmedina i osobistą pochwałę od mości Ambrosia di Spmola, podpisaną przezeń własnoręcznie, w której dopomina się dla waszmości o nawiązkę w wysokości ośmiu eskudów za dobrą służbę w walce z wrogiem... Otrzymałeś to waszmość?

– Nie, Ekscelencjo. Inne są intencje generałów, a inne sekretarzy, administratorów i skrybów... Oprotestowali tę sumę, zredukowali mi ją do czterech eskudów, a i tych ostatecznie na oczy nie obaczyłem.

Minister pokiwał z wolną głową, jakby i jemu co czas jakiś wstrzymywali wypłatę nagród lub pensji. A może jeno wyrażał w ten sposób aprobatę dla niechęci sekretarzy, administratorów i skrybów, by pieniądzem publicznym szastać. Alatriste obserwował, jak Olivares ze skrupulatnością urzędnika dalsze papiery studiuje.

– Urlopowany po Fleurus z uwagi na ciężką i piękną ranę... – ciągnął faworyt. Teraz spoglądał na opatrunek widniejący na czole kapitana. – Masz waszmość, jak widzę, osobliwą skłonność do odnoszenia ran.

– I do ich zadawania, Ekscelencjo.

Diego Alatriste wyprostował się nieco, podkrecając wąsa. Najwyraźniej nie lubił, gdy ktokolwiek, nawet osoba mogąca wysłać go w tym momencie na egzekucję, kpi sobie z jego ran. Ohvares z zaciekawieniem przyglądał się groźnemu błyskowi w oczach kapitana, po czym do pliku dokumentów powrócił.

– Na to wygląda – skonstatował. – Lubo doniesienia o waszmości przygodach z dala od wojskowych sztandarów są mniej chwalebne niż waszmościna karta wojskowa... Mamy tu jakąś potyczkę w Neapolu, ktoś zginął... A! I jeszcze nieposłuszeństwo podczas tłumienia buntu Morysków w Walencji – tu faworyt zmarszczył czoło. – Czyżby nie spodobał się waszmości dekret o ich wygnaniu, podpisany przez Jego Wysokość?

Kapitan zwlekał z odpowiedzią.

– Byłem żołnierzem – odrzekł wreszcie. – Nie rzeźnikiem.

– Sądziłem, że lepiej służysz waszmość Naszemu Panu.

– Owszem. Lepiej mu służę nawet niż Bogu, bo tu złamałem wszystkie dziesięcioro *przykazań*, a królewskiego ani jednego.

Minister uniósł brew.

– *'Zawsze* byłem przekonany, że w Walencji prowadziliśmy chwalebną kampanię...

– Ktoś Waszą Ekscelencję źle poinformował. Nijakiej chwały nie widzę w rabowaniu domów, gwałceniu niewiast i zarzynaniu bezbronnych włościan.

Olivares słuchał z nieprzeniknionym obliczem.

– Wszyscy oni to wrogowie prawdziwej religii – oznajmił. – I odmawiali wyparcia się Mahometa.

Kapitan jeno ramionami wzruszył.

– Być może – odparł. – Ale to nie była moja wojna.

– Hola – tu minister obie brwi uniósł z udawanym zaskoczeniem. – A zabijanie w cudzym imieniu owszem?

– Ja nie zabijam dzieci ni starców, Ekscelencjo.

– Jasne. To dlatego ostawiłeś waszmość swój regiment i zamustrowałeś się na galery w Neapolu?

– Tak. Skoro miałem dźgać niewiernych, wolałem stanąć przeciw silnym, w boju zaprawionym Turkom, którzy bronić się mogli.

Faworyt popatrywał nań dłuższą chwilę, nic nie mówiąc, następnie zaś ponownie do papierów na stole wrócił. Wydawało się, że medytuje na temat ostatnich słów kapitana.

– W każdym razie zaiste godne osoby za waszmością się wstawiają – rzekł wreszcie. – Na przykład młody Guadalmedina.

I mość Francisco de Quevedo, który tak niespodziewanie wczoraj do akcji wkroczył, choć akurat Quevedo równie często popiera, jak i niszczy swych druhów, zależnie od tego, czy dola, czy też niedola staje się jego udziałem – tu faworyt zamilkł znacząco na czas dłuższy. – ... A także, jak widać, płomienny diuk Buckingham ma dług wobec waszmości – znów przerwał, tym razem na jeszcze dłużej. – ... I księżę Walii.

– Nie wiem – Alatryste znów ramionami wzruszył, nic po sobie nie pokazując. – Atoli ci dwaj szlachetni panowie wczoraj uczynili tyle, że wszelkie rachunki, prawdziwe albo wyimaginowane, z naddatkiem wyrównali.

Olivares z wolną głową pokręcił.

– Nie bądź waszmość taki pewien – westchnął ze zniecierpliwieniem. – Dzisiejszego ranka Karol Stuart uznał za stosowne dopytywać się o waszmości los. I nawet Najjaśniejszy Pan, który wyjść ze zdumienia po wczorajszych wypadkach nie może, chce, by mu donoszono o wszystkim co rychlej... – Cisnął plik papierów na bok. – Wszystko to razem stawia nas w sytuacji mocno nieprzyjemnej. Bardzo delikatnej.

Tu faworyt zmierzył wzrokiem Diega Alatryste od stóp do głów, jak gdyby dumał, co ma z nim począć.

– Szkoda – ciągnął – że tych pięciu zawadiaków nie wypełniło lepiej swego zadania. Ten, co ich wynajął, zgoła tak bardzo nie błądził... W jakimś sensie to by wiele rozwiązało.

– Żałuję, że nie podzielam waszego rozczarowania, Ekscelencjo.

– Domyślam się... – Spojrzenie ministra uległo zmianie, teraz miał oczy surowe i nieprzeniknione. – Czy jest prawdą, co powiadają, żeś waszmość kilka dni temu ocalił życie pewnemu podróżnemu angielskiemu, gdy waszmości kompan zamierzał go zabić?

Uwaga. Chwytajcie za broń, warczą bębny, trąby grają – pomyślał Alatryste. Na horyzoncie pojawiło się groźniejsze niebezpieczeństwo niżli nocny wypad Holendrów przeciwko słodko śpiącemu w zbożu całemu regimentowi. Takie rozmowy prowadzą prostą drogą ku schodom wiodącym na szafot. Poczuł, że jego głowa jest coraz bliżej kata.

– Wybacz Wasza Ekscelencja, ale nie przypominam sobie takiej sytuacji.

– Nalegam, byś waszmość wysilił pamięć.

Po wielekroć już mu grożono, a tym razem miał pewność, że cało stąd nie wyjdzie. Ponieważ już dawno było mu wszystko jedno, zachował spokój, atoli słowa dobierał nadzwyczaj starannie: – Nie wiem nic o tym, bym komukolwiek życie ocalił – rzekł po krótkim namyśle. – Pamiętam



atoli, że kiedy dostawałem pewne zadanie, najwyższy dostojnik wśród moich zleceniodawców mówił, że nie życzy sobie, by ktokolwiek zginął.

– Coś takiego. Tak mówił?

– Otóż to.

Żrenice faworyta przewiercały kapitana niczym dwa pociski z arkebuzą.

– A kim był ów najwyższy dostojnik? – zagadnął niebezpiecznie łagodnym tonem.

Alatriste nawet nie mrugnął.

– Nie wiem, Ekscelencjo. Miał na obliczu maskę. Olivares patrzył teraz nań z nowym zaciekawieniem.

– Skoro takie były rozkazy, czemu wasz kompan postanowił posunąć się dalej?

– Nie wiem, o jakim kompanie Wasza Ekscelencja raczy mówić. W każdym razie pozostali panowie, którzy owemu dostojnikowi towarzyszyli, wydali potem inne zalecenia.

– Inni?... – ministra mocno zainteresowała liczba mnoga. – Na rany Chrystusowe, rad bym poznać ich nazwiska. Albo dowiedzieć się, jak wyglądali.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Jak zapewne Wasza Ekscelencja zauważył, mam dość słabą pamięć. A do tego te maski...

Widział, jak Olivares uderza dłonią o blat, chcąc ukryć zniecierpliwienie. Atoli spojrzeniem, jakie kapitanowi posłał, raczej szacował go, niżli mu groził. Widać było, że coś w głębi rozważa.

– Zaczyna mnie nużyć waszmościna zła pamięć. I ostrzegam, że niektórzy kaci potrafią polepszyć ją wielokrotnie.

– Błagam Waszą Ekscelencję, by zechciał mi prosto w oczy spojrzeć.

Olivares, nie przestając się kapitanowi przyglądać, gwałtownie czoło zmarszczył, ni to rozsierdzony, ni to zdumiony. Jego oblicze spoważniało i

Alatriste już był pewien, że zaraz po straż zawoła, by wyprowadzili go natychmiast i powiesili. Faworyt wszakże ani drgnął, w milczeniu wpatrywał się jeno w twarz kapitana, jak go proszono. Coś, co dostrzegł w jego mocnym podbródku czy może w jasnych, zimnych oczach, które nawet nie mrugnęły podczas tego pojedynku, zdołało go zapewne przekonać.

– Może i masz waszmość rację – skinął głową minister.

– Właściwie mógłbym przysiąc, że jesteś waszmość zapominalski. Albo niemowa.

Zadumał się na moment, spoglądając na rozłożone na stole dokumenty.

– Muszę jeszcze kilka spraw załatwić – powiedział.

– Mam nadzieję, że możesz waszmość jeszcze trochę tu poczekać.

Uniósł się, podszedł do chwostu dzwonka zwisającego wedle ściany z sufitu i pociągnął jeden raz, po czym wrócił do stołu, więcej kapitanowi uwagi nie poświęciwszy.

Osobnik, który wszedł wówczas do izby, wyglądał znajomo, a wrażenie to wzmocniło się jeszcze, gdy Alatriste głos jego posłyszał. Paradne. Wszystko to zaczynało mu przypominać spotkanie starych znajomych, jeno brata Emilia Bocanegry i włoskiego zabijaki brakowało, by skompletować oddział. Nowo przybyły głowę miał okrągłą, którą nieco okrywały rzadkie włosy, trochę brunatne, trochę siwe. W ogóle lichy i skąpo był zarośnięty: bokobrody ledwie boki twarzy mu porastały, wąska bródka widniała tuż pod dolną wargą, po nadętych policzkach zaś, pokrytych czerwonymi żyłkami podobnie jak i wydatny nos, pełzały zakręcone, niepokazne wąsy. Odziany był na czarno, a pomimo krzyża Zakonu Calatrava znać było po nim, że prostakiem jest, a to wskutek brudnej, źle wykrochmalonej krezy i owych zbrukanych inkaustem dłoni, przez które wrażenie skryby parweniusza sprawiał, pyszniącego się złotym sygnetem na małym palcu

lewej dłoni. Oczy wszelako żywe miał i inteligentne, a dzięki lewej brwi, wyżej wykreślonej niż prawa, wyglądał na człeka ostrożnego i nieufnego. Gdy spostrzegł Diega Alatryste, twarz jego nabrała chytrego i złowrogiego wyrazu, a początkowe zaskoczenie miejsca zimnej wzdardzie ustąpiło.

Był to Luis de Alquezar, osobisty sekretarz króla Filipa Czwartego. Tym razem nie miał na sobie maski.

– Podsumowując – rzekł Olivares. – Wpadliśmy na trop dwóch spisków. Jeden miał na celu udzielenie lekcji pewnym angielskim podróżnikom i odebranie im tajnych dokumentów. Drugi zmierzał do tego, by ich po prostu zabić.

O pierwszym doszły mnie jakieś słuchy, o ile pamięć mnie nie myli... Ale ten drugi to dla mnie zgoła nowość. Być może waszej miłości, mości Luisie, jako sekretarzowi Najjaśniejszego Pana i osobie najgłębsze tajemnice Dworu znającej, obito się cokolwiek o uszy.

Faworyt mówił niezwykle powoli, cedząc słowa i długie pauzy po każdym zdaniu czyniąc, nie spuszczał przy tym wzroku z nowo przybyłego. Ten słuchał na stojąco, co jakiś czas jeno ku Biegowi Alatryste ukradkowe spojrzenia rzucał. Kapitan stał z boku i w głowę zachodził, czym to wszystko u diabła się skończy. Każdy z tamtych swoją pieczęć chce tu przyrządzić. A on sam już rozeń blisko czuje.

Olivares skończył mówić i teraz zamienił się w słuch. Luis de Alquezar chrząknął.

– Lękam się, że niewielki pożytek Wasza Wysokość mieć ze mnie będzie – rzekł przezornie i słychać było, że wskutek obecności kapitana Alatryste wielkiej nabawił się konfuzji. – Słyszałem co nieco również na temat owego pierwszego spisku... Co zaś do drugiego... – popatrzył na kapitana, a uniesiona lewa brew wygięła się groźnie niczym turecki kindzał. – Nie mam pojęcia, co też ten tu osobnik, hm, naopowiadał.

Faworyt zabębnił niecierpliwie palcami w stół.

– Ten tu osobnik niczego nie naopowiadał. Czeka tu, aż załatwię z nim zgoła inną sprawę.

Luis de Alquezar dłuższą chwilę przypatrywał się ministrowi, medytując nad tym, co właśnie usłyszał. Wreszcie przełknął, zerknął na kapitana i znów przeniósł wzrok na Olivaresa.

– Ale... – zaczął.

– Żadnych ale.

Alquezar znów odchrząknął.

– Jako że Wasza Wysokość porusza tak delikatne kwestie w obecności osób trzecich, sądziłem, że...

– Otóż źle wasza miłość sądziłeś.

– Proszę o wybaczenie – sekretarz patrzył z niepokojem na spoczywające na blacie papiery, jakby obawiał się czegoś, co w nich się znajduje. Oblicze wielce mu pobladło. – Ale nie wiem, czy w przytomności obcego powinienem...

Faworyt podniósł władczo dłoń. Przyglądając się całej scenie, Alatryste mógł przysiąc, że Olivares doskonale bawi się całą rozmową.

– Powinieneś.

Czwarty już raz Alquezar ślinę przełknął, by gardło przeczyścić. Tym razem wszelako uczynił to donośnie.

– Zawsze jestem na rozkazy Waszej Wysokości – na przemian bladł i czerwieniał, jakby go fale zimna i gorąca na przemian zalewały. – Otóż jeśli mogę coś domniemywać na temat owego drugiego spisku...

– Staraj się wasza miłość domniemywać ze szczegółami, byłbym bardzo rad.

– Oczywiście, Ekscelencjo – oczy Alquezara daremnie usiłowały wczytać się w dokumenty ministra. Wyraźnie instynkt urzędnika

podpowiadał mu, że tam znajduje się przyczyna całego incydentu. – ... Otóż jak mówiłem, domniemywam czy też przypuszczam, że gdzieś po drodze skrzyżowały się pewne interesy. Na przykład Kościoła...

– Kościół to bardzo rozległa instytucja. Wasza miłość mówi o kimś konkretnym?

– Cóż. Są w nim tacy, co obok władzy duchownej posiadają też władzę świecką. I nie podoba im się, gdy jakiś heretyk...

– Rozumiem – uciął minister. – Mówisz o tych świętych mężach, na przykład w rodzaju brata Emilia Bocanegry.

Alatriste zobaczył, że sekretarz z trudem ukrywa zdenerwowanie.

– Ja o Jego Wielebności nie wspominałem – rzekł Aląquezar, odzyskując zimną krew. – Wszelako skoro Wasza Wysokość raczył wymienić to nazwisko, to nie będę zaprzeczał. Powiedziałbym, że istotnie brat Emilio należy do tych, którzy nieprzychylnym okiem patrzą na sojusz z Anglią.

– Zdumiewa mnie, że nie przyszedł wasza miłość do mnie, skoro takie powziął podejrzenia.

Sekretarz westchnął, przywołując na twarz dyskretny, koncyliacyjny uśmiech. W miarę, jak trwała rozmowa, coraz pewniej dobierał ton i czuł, że jakoś sobie poradzi.

– Wie Wasza Wysokość, jak to jest na Dworze. Niełatwo lawirować pomiędzy Scyllą a Charybdą. Ścierają się wpływy. Naciski... Poza tym wiadomo, że i Wasza Wysokość nie jest zwolennikiem sojuszu z Anglią... W sumie starałem się jak najlepiej Waszej Wysokości służyć.

– Klnę się na Boga, że za taką służbę niejednego już powiesić kazał – oczy Olivaresa przeszywały królewskiego sekretarza na wylot. – Lubo podejrzewam, że złoto Richelieu, Sabaudii i Wenecji także miało z tym coś wspólnego.

Porozumiewawczy i służalczy uśmiech, który już się rysował pod nosem sekretarza, znikł jak kamfora.

– Nie wiem, o czym Wasza Wysokość prawi.

– Nie wiesz? A to ciekawe. Moi szpiedzy donieśli mi o dostarczeniu znacznej sumy pieniędzy pewnej dworskiej osobistości, aczkolwiek nazwiska nie podali... Teraz zaczyna mi się wszystko co nieco rozjaśniać.

Alquezar położył dłoń dokładnie na krzyżu Calatravy, na piersi wyszytym.

– Żywię nadzieję, że Wasza Wysokość nie podejrzewa mnie o...

– Podejrzewać waszą miłość? Nie wiem, jaka mogłaby być twoja rola w takim przedsięwzięciu – Olivares machnął ręką z odrazą, jakby odganiał myśl niemądrą, co widząc, Alquezar uśmiechnął się z lekką ulgą. – ... Ostatecznie wszyscy wiedzą, że to ja mianowałem waszą miłość sekretarzem Najjaśniejszego Pana. Mam do waszej miłości całkowite zaufanie. I lubo ostatnimi czasy zyskałeś na znaczeniu, wątpię, byś ośmielił się spiskować na własny rachunek. Prawda?

W uśmiechu sekretarza już nie było widocznej jeszcze przed chwilą ulgi.

– Naturalnie, Ekscelencjo – rzekł cicho.

– A tym bardziej – ciągnął Olivares – w kwestiach, gdzie w grę wchodzi cudzoziemskie interesy. Bratu Emiliowi Bocanegrze może to ujść na sucho, albowiem to człowiek Kościoła i solidnie na Dworze umocowany. Wszelako niewykluczone, że inni zapłaciliby głową.

Co mówiąc, skierował na Alquezara straszliwe, znaczące spojrzenie.

– Wasza Wysokość wie – niemal bełkotał sekretarz, znów na przemian blednąc i purpurowiejąc – że jestem mu absolutnie wierny.

Faworyt patrzył nań z niebotyczną ironią.

– Absolutnie?

– Jakom rzekł, Ekscelencjo. Wierny i przydatny.

– Otóż pozwolę sobie przypomnieć, mości Luisie, że od współpracowników absolutnie wiernych i przydatnych cmentarze pękają w szwach.

Wygłosiwszy tę okrągłą sentencję, która w jego ustach nabrała złowieszczego, posępnego wyrazu, hrabia Olivares chwycił w zamyśleniu za pióro, ujmując je w dwa palce, jakby do podpisania wyroku się sposobił. Alatryste widział, że Alquezar śledzi ruchy pióra z najwyższym lękiem.

– A skoro już o cmentarzach mowa – ozwał się raptem minister. – Chciałbym przedstawić waszej miłości Diega Alatryste, bardziej znanego jako kapitan Alatryste... Znałeś go?

– Nie. To znaczy, hm. Nie znam go.

– Jak dobrze poruszać się wśród ludzi roztropnych. Nikt nikogo nie zna.

Na ustach Olivaresa ponownie błąkał się uśmiech, wszelako na stałe na nich nie zagościł. Po chwili hrabia wskazał piórem kapitana.

– Mość Diego Alatryste – powiedział – to człek prawy, z wyśmienitą kartą żołnierską. Atoli niedawno odniesiona rana i zły los postawiły go w sytuacji niezręcznej. Jak sądzić można, jest waleczny i zaufania godny... Najtrafniej można by go określić słowem: solidny. Niewielu jest takich jak on. I pewien jestem, że jeśli fortuna dopisze, nadejdą dlań lepsze czasy. Wielce szkoda byłoby, gdybyśmy w przyszłości zostali pozbawieni jego usług – tu popatrzył przenikliwym wzrokiem na sekretarza królewskiego. – Mam rację, prawda, mości Alquezar?

– Całkowitą – pośpiesznie przytaknął tamten. – Sądząc wszakże po trybie życia, jaki zdaje się ten pan Alatryste prowadzić, może go spotkać jakieś przykre zdarzenie... Wypadek czy coś podobnego. Nikt nie mógłby wziąć za to na siebie odpowiedzialności.

Tu Alquezar posłał kapitanowi pełne nienawiści spojrzenie.

– Zdaję sobie sprawę – ozwał się faworyt, czując się podczas tej rozmowy jak ryba w wodzie. – Byłoby atoli wskazane, żebyśmy postarali się zapobiec w miarę możliwości takim przykrym wydarzeniom. Czy wasza miłość podziela moją opinię?

– Absolutnie, Ekscelencjo – głos Alquezara drżał ze złości.

– Byłbym bardzo niekontent.

– Zrozumiałe.

– Wielce niekontent. Odczułbym to jako osobistą zniewagę. Zdruzgotany Alquezar wyglądał, jakby opił się żółci do nieprzytomności. Grymas trwogi, usta mu wykrzywiający, zapewne miał uśmiech udawać.

– Oczywiście – wybełkotał.

Minister podniósł palec, jak gdyby coś sobie przypominał, jął w papierach czegoś szukać, po czym wyciągnął jeden dokument i podał go sekretarzowi króla.

– Może chociaż to nas nieco uspokoi, jeśli wasza miłość zechce sprawie bieg nadać. W liście tym, osobiście podpisanym przez mość Ambrosia di Spinola, zaleca się, by panu Biegowi Alatryste cztery eskudy wypłacić za służbę we Flandrii. To mu pozwoli porzucić na czas jakiś życie od potyczki do potyczki... Czy to jest jasne?

Alquezar trzymał kartkę koniuszkami palców, jakby jadem była pokryta, i patrzył na kapitana rozbieganym wzrokiem. Krew nabiegła mu do twarzy, a zęby zgrzytały z bezsilnego gniewu.

– Jasne jak słońce, Ekscelencjo.

– Zatem możesz wasza miłość powrócić do swoich zajęć. I nie podnosząc wzroku znad papierów, najpotężniejszy człowiek w Europie pożegnał sekretarza królewskiego niechętnym machnięciem dłoni.

Gdy pozostali sami, Olivares uniósł oblicze i uważnie na kapitana popatrzył.



– Niczego tu waszmości nie wyjaśnię, anim nawet skory do tego – rzekł wreszcie z niezadowoleniem.

– Ja nie prosiłem o nijakie wyjaśnienia, Ekscelencjo.

– Gdybyś waszmość prosił, już byś leżał w grobie. Albo się ku niemu zbliżał.

Zapadło milczenie. Faworyt powstał i do okna podszedł, za którym widać było zwiastujące ulewę chmury. Splótł dłonie za plecami i obserwował musztrę gwardzistów na dziedzińcu. Pod światło jego mroczna sylwetka jeszcze większej nabrała okazałości.

– Wszelako – rzekł, nie odwracając się – możesz waszmośó Bogu dziękować, żeś żyw.

– To prawda, sam się zdumiałem – odparł Alatryste.

– Osobliwie po tym, com właśnie usłyszał.

– Zakładając, że istotnie coś waszmość usłyszałeś.

– Zakładając.

Wciąż patrząc w okno, Olivares wzruszył potężnymi ramionami.

– Jesteś waszmość żywy, ponieważ nie zasługujesz na śmierć, ot co. W tej przynajmniej sprawie. Poza tym ktoś jest waszmością bardzo zainteresowany.

– Jestem nadzwyczaj wdzięczny Waszej Ekscelencji.

– Niepotrzebnie – faworyt odsunął się od okna i po izbie kilka kroków uczynił, stukając głośno o podłogę. – Jest i trzeci powód: są tacy, dla których pozostawienie waszmości przy życiu będzie najgorszą obelgą, na jaką mnie w obecnej chwili stać – ruszył znów, kiwając z ukontentowaniem głową.

– To ludzie bardzo przydatni, albowiem są przekupni i władzy żądni. Ale ta ich przekupność i ambicja co jakiś czas wodzi ich na pokuszenie i zaczynają działać na własną rękę, albo i w cudzym interesie... Cóż począć!

Z ludźmi prawymi można wojny wygrywać, ale nie rządzić królestwami. A w każdym razie nie tym.

Stanął przed kominkiem i zadumał się, spoglądając na wiszący wysoko portret Filipa Drugiego. Po chwili westchnął głęboko i szczerze. Raptem przypomniał sobie o obecności kapitana i ponownie ku niemu się zwrócił.

– Co się tyczy łaski, jaką może waszmości wyświadczyłem – ciągnął – nie ciesz się zbyt. Wyszedł stąd przed chwilą ktoś, kto nigdy waszmości nie wybaczy. Alquezar to jeden z tych szczywanich, mętnych Aragończyków, ze szkoły jego poprzednika Antonia Pereza się wywodzący... Jego jedyną znaną słabością jest bratanica, jeszcze dziewczę, dworka pałacowa. Strzeżże się go jak zarazy. I pamiętaj waszmość, że o ile przez czas jakiś moje rozkazy mogą go *trzymać* od waszmości z dala, o tyle nijakiej władzy nie posiadam nad bratem Emiliem Bocanegrą. Na miejscu kapitana Alatryste wykurowałbym się co rychlej z tej rany i w te pędy do Flandrii powrócił. Waszmościni generał Ambrosio di Spinola sposobi się kolejne bitwy dla nas wygrywać. Nie od rzeczy byłoby, gdybyś waszmość dał się zabić raczej tam, a nie tu.

Raptem na twarzy faworyta odmalowało się znużenie. Popatrzył na zawalony papierami stół, jakby dostrzegł tam niekończącą się, uciążliwą katorgę. Powoli podszedł do fotela, usiadł, ale nim się z kapitanem pożegnał, otworzył sekretną szufladę i wyjął z niej hebanowy kuferek.

– Jeszcze jedna rzecz – powiedział. – W Madrycie przebywa pewien angielski podróżny, który z niezrozumiałych powodów uważa się za dłużnika waszmości... Oczywiście trudno przypuszczać, by wasze drogi kiedykolwiek zdążyły się jeszcze przeciąć. Prosił mnie przeto, bym waszmości to przekazał. Wewnątrz znajdziesz sygnet z jego pieczęcią i list, który naturalnie przeczytałem: to coś w rodzaju rozkazu czy glejtu, który zobowiązuje każdego poddanego Jego Wysokości Króla Wielkiej Brytanii,

by kapitanowi Diegowi Alatriście pomocy udzielił, jeśliby ten takowej potrzebował. Podpisano: Karol, księżę Walii.

Alatriście otworzył czarną skrzyneczkę, inkrustowaną po wierzchu kością słoniową. Sygnet był ze złota i miał wygrawerowane trzy pióra następcy brytyjskiego tronu. List zaś stanowiła złożona we czworo niewielka karta, zapisana po angielsku i przypieczętowana tym samym stemplem, który widniał na sygnecie. Gdy kapitan uniósł wzrok, zobaczył, że faworyt patrzy na niego i że pomiędzy gęstą brodą a wąsami maluje się melancholijny uśmiech. – Ileż ja bym dał – rzekł Olivares – za podobny list.





## EPILOG



iebo nad Zamkiem pęczniało od nieuchronnego deszczu, ciężkie, mknące od zachodu chmury zdawały się szorować o ostry czubek iglicy Złoconej Wieży. Otuliłem się starym, krótkim płaszczem kapitana, który dla mnie pełnił rolę peleryny, i dalej siedziałem na kamiennym słupku na placu, wpatrując się we wrota pałacowe, skąd wartownicy trzykrotnie mnie już przepędzili. Tkwiłem tam już od dłuższego czasu – o świcie zbudziłem się zaspany po nocy spędzonej przed królewskim więzieniem, gdzie spędziliśmy noc (kapitan w środku, ja na zewnątrz), i ruszyłem w ślad za powozem, którym strażnicy rotmistrza Saldańi powieźli mojego pana na Zamek, wjeżdżając tam boczną bramą. Nie miałem nic w ustach od poprzedniego wieczora, kiedy to mość Francisco de Quevedo, nim na spoczynek nocny się udał (a chciał wykurować się z draśnięcia otrzymanego podczas utarczki), zahaczył po drodze o więzienie, by o los kapitana zapytać, a widząc mnie przy wnijsciu, zakupił w pobliskim szynku nieco chleba i suszonego mięsa. Taka to właśnie dola mi przypadła, że znaczną część życia spędzałem, czekając, aż zły los kapitanowi Alatryste odpuści. I zawsze pustkę czując w żołądku, a niepokój w sercu.

Zimna mżawka jęła kropić po kamiennych płytach, jakimi plac przed Zamkiem był wyłożony, z wolna przybierając na sile i przesłaniając szarą kurtyną fasady pobliskich gmachów, które wkrótce zaczęły się odbijać w nawierzchni u mych stóp. Zabijałem przeto czas, przyglądając się owym niewyraźnym zarysom pomiędzy mymi trzewikami, gdy naraz posłyszałem, że ktoś gwizdże znajomą melodyjkę, coś jakby *timri-ta-ta*. Zaraz też szare i bure odbicia znikły, a w ich miejsce pojawiła się ciemna, nieruchoma plama. A gdym oczy poniósł, ujrzałem przed sobą dobrze już mi znany czarny płaszcz, kapelusz i sylwetkę Gualteria Malatesty.

W pierwszym odruchu na widok człeka, któregom poznał przy Bramie Duchów, gotów byłem wziąć nogi za pas, atoli nie uczyniłem tego. Zaskoczenie odebrało mi mowę i zdolność ruchu, mogłem przeto zastygnąć w tej samej pozycji i patrzeć, jak czarne, błyszczące oczy Włocha baczenie mnie lustrują. Kiedym tylko co nieco kontenans odzyskał, dwie myśli do głowy mi przyszły, obydwie bardzo konkretne, a przy tym wzajemnie sprzeczne. Pierwsza: uciekać. Druga: za sztylet chwycić, z tyłu do pasa pod okryciem przytroczony, i spróbować przedziurawić nim wraże trzewia. Coś wszakże w zachowaniu Malatesty odwiodło mnie od jednego i od drugiego. Nadal wyglądał złowrogo z tym czarnym płaszczem i kapeluszem, z tą wychudłą twarzą o zapadłych policzkach, pokrytą śladami po ospie i bliznami, atoli czułem, że tym razem nie przychodzi w złych zamiarach. I w tym momencie, jak gdyby ktoś po obliczu jego raptownie pędzłem pociągnął w białej farbie umoczonej, pojawił się na nim uśmiech.

– Czekasz na kogoś?

Wpatrywałem się weń bez słowa, wciąż siedząc na słupku. Krople deszczu, mnie po twarzy spływające, jemu zatrzymywały się na rondzie kapelusza i w fałdach płaszcza.

– Chyba niedługo wyjdzie – powiedział po krótkim milczeniu swoim matowym, chrapliwym głosem, nie przestając mi się przyglądać na stojąco. Na te słowa również nic nie odrzekłem. On zaś po chwili spojrzał poza moje ramię, po czym rozejrzał się i zatrzymał wzrok na froncie Pałacu.

– Ja też na niego czekałem – dodał zadumany, nie odrywając oczu od bramy zamkowej. – Dla innej przyczyny niżli ty, ma się rozumieć.

Był pogrążony, w myślach, niemal rozbawiony jakąś stroną całej sytuacji.

– Dla innej – powtórzył.

Przejechał powóz ze stangretem owiniętym w nieprzemakalną pelerynę. Rzuciłem okiem, usiłując pasażera dostrzec i rozpoznać. Nie był to kapitan. Włoch tymczasem znów jął mi się przypatrywać. Nadal z tym swoim posępnym uśmiezkiem.

– Nie martw się. Powiedzieli mi, że wyjdzie o własnych siłach. Wolny.

– A skąd wasza miłość to wie?

Moim słowom towarzyszył ostrożny ruch ku części pasa pod płaszczem skrytej, co nie umknęło uwadze Włocha. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– No cóż – wycedził. – Ja też na niego czekałem, tak jak i ty. Chciałem przekazać mu przesyłkę. Powiedziano mi wszelako, że przesyłka nie jest na razie konieczna... Że została odłożona *sine die*.

Spojrzałem nań z nieufnością tak czytelną, że Włoch aż śmiechem się zaniósł. Śmiechem suchym i trzaskającym jak łamany chrust.

– Idę, mały. Mam sprawy do załatwienia. Ale chciałem cię prosić o przysługę. Mam wiadomość dla kapitana Alatryste... Byłbyś uprzejmy?

Patrzyłem na niego podejrzliwie, ni słowa nie mówiąc. Ponownie przez ramię moje zerknął, potem się rozejrzał, a mnie zdało się, że wzdycha wolno i cichutko, gdzieś w głębi. Owa czarna nieruchoma postać, stojąca na deszczu, też robiła wrażenie znużonej. Może niegodziwcy męczą się tak

samo, jak ludzie prawi – pomyślałem. Ostatecznie nikt losu swego nie wybiera.

– Powiedz kapitanowi – powiedział Włoch – że Gualterio Malatesta nie zapomina o naszych niewyrównanych rachunkach. I że życie jest długie... do czasu. I rzeknij mu również, że znów się spotkamy i że tym razem postaram się być odeń bardziej przebiegłym i zgładzić go. Bez gorączki, bez rankoru, za to spokojnie. Będzie na to czas i miejsce. To sprawa osobista. A nawet zawodowa. I pewien jestem, że zrozumiemy się jak dwaj zawodowcy... Przekażesz mu tę wiadomość? – I znów biała błyskawica rozjaśniła mu twarz. – Klnę się na Boga, żeś zacny chłopak.

Zapatrzył się w jakiś nieokreślony punkt zasnutego szarością placu, po czym drgnął, jakby do odejścia się szykował, ale jednak się zatrzymał.

– Aha – dodał, nie patrząc na mnie – tamtej nocy przy Bramie Duchów stawałeś dzielnie. Strzelać z tak bliska... Do kroćset. Jak tuszę, Alatryste wie, że życie ci zawdzięcza.

Strząsnął wodę z płaszcza i szczelnie się nim owinął. I w końcu utkwiał we mnie swe czarne oczy, twarde jak kawałki agatu.

– Podejrzewam, że jeszcze się zobaczymy – powiedział i ruszył. Raptem stanął i obrócił się lekko. – Chociaż, wiesz co? Powinienem z tobą skończyć teraz, kiedy jeszcześ młokos... Zanim dorośniesz i sam mnie zabijesz.

Nareszcie pokazał mi plecy i odszedł, na powrót stając się czarnym cieniem, którym był zawsze. Słyszałem tylko, jak poprzez padające krople śmiech jego odpływa w dal.

*Madryt, wrzesień 1996*